

Adler Elizabeth

Spotkanie w Wenecji

Adler Elizabeth

Spotkanie w Wenecji

*„ Jestem w niebezpieczeństwie. Musisz mi pomóc. Błagam, spotkaj się ze mną w Wenecji” .
Właścicielka paryskiego antykwariatu jest zaskoczona rozpaczliwym telefonem od obcej kobiety.
Tym bardziej, że nieznajoma twierdzi, że wie coś o jej narzeczonym, który dzień przed planowanym
ślubem zniknął bez słowa wyjaśnienia... Z niepokojem, ale i z nadzieją Pershy wyrusza do Wenecji.
Nie podejrzewa, że została uwikłana w sieć kłamstw, podstępów i zbrodni.*

Prolog

Ana Yuan, młoda kobieta w niebieskiej sukience i sandałkach, nie przeczuwała niebezpieczeństwa, gdy wsiadała do dwupoziomowego pociągu jadącego z Szanghaju do Suzhou nad jeziorem Taihu.

Za oknem widać było senne krajobrazy, mnóstwo wody i niskie wzgórza otoczone przez pola uprawne. Starożytne miasto przecinały liczne kanały, nad którymi wznosiły się łagodne łuki mostów. Jego urok tworzyły cieniste alejki, stuletnie pawilony i słynne ogrody, które przetrwały cztery dynastie. Nic dziwnego, że Marco Polo nazwał Suzhou Wenecją Wschodu.

Podróż trwała zaledwie półtorej godziny, ale na miejscu Ana z przykrością stwierdziła, że pada. Na szczęście, przyzwyczajona do nagłych zmian pogody, zabrała ze sobą parasolkę. Żeby nie zniszczyć niebieskiej sukienki i sandałków, pobiegła do taksówki.

Kiedy dojechała na miejsce, zapłaciła kierowcy, wysiadła, rozłożyła parasolkę i ruszyła wzdłuż kanału alejką wyłożoną kocimi łbami. Było późno i pusto. Deszcz padał coraz mocniej, a ciemne chmury, mrok i grafitowa woda w połączeniu z gęstymi zaroślami otaczającymi alejkę sprawiały, że w ciemności poczuła się bardzo samotna. Zaniepokojona rozejrzała się nerwowo, ale nikogo nie dostrzegła.

Jej sandałki stukały głośno na mokrym bruku, gdy szła na miejsce spotkania. Skulona pod parasolką, drżąc z zimna, nie zauważyła napastnika, który skradał się za nią, ukryty wśród drzew.

Zatrzymała się przy mostku, skonstruowanym jak mosty weneckie, rozejrzała się i uśmiechnęła lekko. Nie słyszała, jak mężczyzna zbliża się cichym krokiem. Podciął jej nogi tak, że runęła na ziemię. Uderzyła głową w kamień, oczy uciekły jej w głąb czaszki, straciła przytomność. Zaciągnął ją nad brzeg kanału i zepchnął do wody. Panującą wokół ciszę zakłócił głośny plusk, a potem głuchy odgłos jego oddalających się kroków. Deszcz zmył z bruku ślady krwi. Morderstwo doskonałe.

Następnego ranka znaleziono ciało Any, w ślicznej niebieskiej sukience, zaplątane w przybrzeżne trzciny rosnące nieco dalej w głębi kanału. Uznano, że jej śmierć to tragiczny wypadek; poślizgnęła się na mokrym bruku, uderzyła w głowę, nieprzytomna wpadła do wody i utonęła.

Pochowano ją z wielką pompą w grobowcu bogatej rodziny Yuan w Szanghaju. Jej przystojny mąż, Amerykanin Bennett Yuan, szlochał zrozpaczony, ale chińscy krewni, choć załamani, zachowali spokój i godność.

Co za tragedia, szeptali żałobnicy. Taka miła dziewczyna, dopiero co wyszła za mąż, miała całe życie przed sobą. Ale właściwie po co w ogóle pojechała do Suzhou?

Część 1

Precious

Rozdział 1

Szanghaj pół roku później

Lily Song jadła śniadanie w herbaciarni Kanarek, skromnym lokalu w zaułku odchodzącym od ulicy Renmin, nazwanym tak na cześć ptaszków trzymanyh w bambusowych klatkach, które umilały posiłek klientom melodyjnym śpiewem. Codziennie jadała w tej knajpce, zawsze o tej samej porze, o ósmej, zawsze to samo – krewetki dim sum, warzywa i zieloną herbatę z ziarnami pszenicy, które pęczniały jak miniaturowe kule armatnie i smakowały jak śliski śrut. Poza nią w lokalu znajdowali się sami mężczyźni, ale to jej nie przeszkadzało; gazety i makaron absorbowały ich do tego stopnia, że nie zwracali na nią uwagi, choć była atrakcyjną kobietą.

Drobna i bardzo szczupła, miała lśniąca czarne włosy do ramion i brązowe oczy, tak ciemne, że one wydawały się czarne. Odziedziczyła jasną karnację po europejskiej matce i płaski nos chińskiego ojca, a ubierała się albo w konserwatywne europejskie kreacje kupowane w ekskluzywnych butikach przy ulicy Nanking, albo w tradycyjne brokatowe szaty, *qipao*, w odcieniach szarości, które szył dla niej świetny krawiec w malutkim zakładzie przy ulicy Bijącej Studni. Choć nie piękna, wyglądała na atrakcyjną kobietę sukcesu. I w pewnym sensie nią była.

Tego ranka jednak włożyła wąskie czarne spodnie i czarną koszulę. Związała włosy z tyłu głowy, ukryła oczy za ciemnymi okularami. W szanghajskim tłumie nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Podniosła wzrok, gdy do herbaciarni wszedł mężczyzna, zatrzymał się i rozejrzał. Cudzoziemiec, starszy, elegancki, w beżowym garniturze, ze skórzaną aktówką. Lily skinęła ręką, przywołując go. Podszedł i usiadł naprzeciwko niej. Burknął coś na powitanie, kładąc aktówkę na stole. Dyskretny kelner przyjął zamówienie Lily dla jej gościa – zwykła zielona herbata. Zapytała, czy jest głodny, ale zaprzeczył z grymasem niesmaku na twarzy. Był Szwajcarem i konserwatystą, nie odpowiadała mu chińska kuchnia. Nie umówiłby się też na spotkanie w herbaciarni, ale to Lily dyktowała warunki w tej rozgrywce.

– Mój klient jest zainteresowany wszystkim, co może mu pani pokazać. – Od razu przeszedł do rzeczy. – Oczywiście pod warunkiem, że jest pani w stanie udowodnić autentyczność towaru.

Lily robiła już z nim interesy. Nie знаła nazwiska jego klienta, co bardzo jej odpowiadało. Dzięki temu nie musiała się męczyć z kapryśnymi bogaczami, którym się wydaje, że wiedzą więcej od niej. Antyki, zwłaszcza kradzione, to jej dziedzina, odkąd skończyła szesnaście lat, i znała się na swoim fachu.

– Mam coś, co zainteresuje pana klienta – zaczęła cicho, bo nigdy nie wiadomo, kto może usłyszeć prywatną rozmowę. – W najbliższym czasie spodziewam się sporej dostawy zastawy stołowej...

– Kiedy? – Przyglądał się jej badawczo, sprawdzał, czy nie blefuje. – Nienawidziła go za to, ale niczego po sobie nie pokazała. Uśmiechnęła się tylko.

– Za kilka tygodni. A tymczasem mogę zaoferować coś naprawdę wyjątkowego, najcenniejszą, najważniejszą rzecz, jaka kiedykolwiek trafiła w moje ręce.

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej zdjęcie i podała mężczyźnie. Przyjrzał się uważnie fotografii.

– Mojego klienta nie interesuje biżuteria – odparł krótko.

– Sądzę, że zmieni zdanie, kiedy pozna historię tego przedmiotu. – Lily upiła łyk zielonej herbaty

i spojrzęła mężczyźnie w oczy. – Pański klient na pewno słyszał o Smoczycy Cixi, Wielkiej Regentce Chin?

Przeliterowała imię i zaznaczyła, że wymawia się CziSzi, chcąc, żeby wszystko poprawnie zanotował.

– Cixi zaczynała jako konkubina, ale z czasem przejęła władzę i mówi się, że była potężniejsza niż jej europejska rówieśniczka, królowa Wiktoria. Cesarzowa żyła w wielkim przepychu w Zakazanym Mieście, sama wybudowała sobie imponujący grobowiec, ogromny kompleks świątyni, wrót i pawilonów, mieniący się złotem i klejnotami. W końcu spoczęła tam, w koronie i cesarskich szatach, cała w klejnotach i ozdobach. Zanim zamknięto trumnę, zgodnie z cesarską tradycją, wsunięto jej w usta ogromną, bardzo rzadką perłę wielkości ptasiego jaja. Wierzono, że uchroni cesarskie ciało od rozkładu.

Lily zamilkła na chwilę i przyglądała się mężczyźnie. Patrzył na fotografię. Widać było, że opowieść go zaintrygowała, choć udawał, że jest inaczej. Chodzi o pieniądze, pomyślała cynicznie. Ale czy zawsze nie chodzi o to samo?

– Dwadzieścia lat później – podjęła – oddziały rewolucjonistów wysadziły wejście do grobowca Cixi. Żołnierze złupili świątynię, zabrali skarby i otworzyli trumnę cesarzowej. Zdarli z niej cesarskie szaty, ściągnęli koronę i cisnęli nagie zwłoki w błoto.

Urwała. Mężczyzna szukał jej wzroku, ciekaw, co było dalej.

– Podobno ciało było nietknięte – powiedziała cicho. – Wyjęli jej z ust tę wielką, rzadką perłę. Jasną jak światło księżycy i zimną jak śmierć.

Mężczyzna znów spojrzął na zdjęcie. Lily się uśmiechnęła; teraz na dobre go zaintrygowała.

– Tak – szepnęła. – To ta sama perła. Mówi się, że istnieje jeszcze jedna, wyjęta z korony cesarzowej. Podobno trafiła w ręce Czang Kajszecka i zdobyła pantofle jego żony, słynnej Sung MaiLing. Reszta klejnotów cesarzowej przepadła bez śladu w prywatnych kolekcjach.

Znowu urwała; niech trochę poczeka.

– Aż nagle, jakieś sześćdziesiąt lat temu, pojawił się naszyjnik, wysadzany brylantami, rubinami, szmaragdami i jadeitem, które otaczały słynną perłę. Podobno wszystkie klejnoty pochodziły z grobowca Cixi.

Z uśmiechem obserwowała, jak słucha z zapartym tchem.

– Chce pani powiedzieć, że jest w posiadaniu tego naszyjnika? – zapytał w końcu.

Opuściła wzrok.

– Powiedzmy, że wiem, jak go zdobyć. – Zdawała sobie sprawę, że istnienie naszyjnika musi pozostać tajemnicą, że jeśli władze się o nim dowiedzą, ona znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– A cena?

– Jak zawsze do negocjacji. Oczywiście nie jest to tani klejnot. A historia równie mroczna jak ta też ma swoją cenę. Wielu chciałoby dotknąć perły z ust martwej cesarzowej, która zaczynała jako słynna konkubina. Taki klejnot wzbudza specyficzny dreszcz. – Z uśmiechem sięgnęła po torebkę. – Jestem przekonana, że dojdziemy do porozumienia – powiedziała, podając mu rękę.

Radosny śpiew kanarków odprowadził ją do drzwi.

Rozdział 2

Paryż

Prawie dziesięć tysięcy kilometrów od Szanghaju kuzynka Lily, Precious Rafferty, siedziała w zatłoczonej kafejce na paryskim Lewym Brzegu, niedaleko nie de Buci. Dochodziła dziesiąta rano w deszczowy sobotni ranek. Precious sączyła café creme, jadła ciepłą bagietkę i obserwowała, jak ludzie przyspieszają kroku na ulicznym targu, rozkładają parasolki i obojętnie mijają stoiska pełne warzyw i owoców, pachnących ziół i smakowitych serów.

Tłum kupujących rzedniał; deszczowa sobota to kiepski czas na robienie zakupów, choć na szczęście jej sklep, Antyki Rafferty, nie zależał od kaprysów przechodniów.

Dopiła kawę i skinęła na kelnera, który dobrze ją znał; mieszkała – niedaleko i od lat jadała tu śniadanie. Z trudem przepychała się między licznymi stolikami. W drzwiach zatrzymała się, żeby zawiązać na głowie niebieską chustę, która miała ochronić jasne włosy przed deszczem, i przy okazji spojrzała na parę młodych, siedzącą przy drzwiach, gdzie szukali osłony przed żywiołem. Trzymali się za ręce, z czułością patrzyli sobie w oczy. Pewnie turyści w podróży poślubnej. Pomyślała tęsknie, że wyglądają na bardzo szczęśliwych.

Jak znaleźć takie szczęście? Skąd się je bierze? Czyżby w powietrzu unosił się niewidzialny pierwiastek, wirus, który wdychasz nagle, nie wiadomo jak i kiedy, i już jesteś zakochana i w siódmym niebie? I masz swoją drugą połowę. Cóż, nie wiadomo, co to jest, ona w każdym razie jeszcze tego nie znalazła.

Wstąpiła do cukierni po malinową napoleonkę, by poprawić sobie humor, i pobiegła z powrotem na zalaną deszczem rue Jacob, gdzie nad antykwariatem mieściło się jej mieszkanie.

Prowadziła sklep od piętnastu lat, od śmierci dziadka Hennessy'ego, ale do dzisiaj przeszywał ją rozkoszny dreszcz, gdy widziała szyld Antyki Rafferty na szybie wystawy. Zatrzymała się i zajrzała do środka, wyobraziła sobie, że jest potencjalną klientką. Zobaczyła czerwone niegdyś ściany, które z czasem wyblakły i przybrały odcień jasnej fuksji, zachwyciła się alabastrowymi kłozami w kształcie muszli, które wypełniały wnętrza subtelnym blaskiem. W wąskim pomieszczeniu stało mnóstwo antyków, spowitych delikatnym światłem ze specjalnie rozmieszczonych reflektorów. Oto piękne marmurowe popiersie chłopca z kręconymi włosami, kwintesencja młodości; mała etruska waza, prawdopodobnie późniejsza kopia, i naturalnej wielkości marmurowa Afrodyta, która, wyciągając dłoń, wynurza się z morskiej piany.

Za wysoką drewnianą furtą obok sklepu kryło się jedno z owych uroczych sekretnych paryskich podwórek, na którym królowała stara paulownia. Wiosną zakwitała delikatnymi białymi kwiatkami, ich płatki jak śnieg spływały na szary bruk.

Dziadek Preshy ze strony ojca, Arthur Hennessy, walczył we Francji w czasie wojny, zakochał się w Paryżu i znalazł mieszkanie przy ukrytym podwórku. Kupił je za grosze i otworzył antykwariat, specjalizujący się w antykach z Włoch i Bałkanów, po wojnie łatwo dostępnych.

Gdy Preshy miała sześć lat, jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej podczas burzy śnieżnej, w drodze na konferencję pisarzy. Ponieważ także jej babka zmarła młodo, dziadek Hennessy wysłał ciotkę z Austrii do San Francisco, żeby przywiozła małą do Paryża. I to właśnie ciotka Grizelda, hrabina von Hoffenberg, kobieta światowa, ekscentryczna, bogata, bezdzietna i uwodzicielska, niemająca najmniejszego pojęcia o wychowywaniu dzieci, sprawowała opiekę nad Preshy.

Dziewczynka w najmniejszym stopniu nie wpłynęła na zmianę ekstrawaganckiego stylu życia ciotki. Ta po prostu zatrudniła francuską guwernantkę i gdziekolwiek jechała, zabierała Preshy ze sobą. Co kilka miesięcy wyruszały w drogę: z górskiego zamku Hoffenbergów niedaleko Salzburga do wynajmowanych na stałe apartamentów w nowojorskim hotelu Carlyle albo paryskim Ritzu. Z czasem stała się międzynarodową Heloizą; znała odźwiernych, gosposie i kelnerów, a szefowie najlepszych restauracji i dyrektorzy hoteli witali ją z uśmiechem.

Uwielbiała ciotkę Grizeldę i kochała dziadka, który zainteresował się nią dopiero wtedy, gdy dorosła na tyle, by zacząć studia w Bostonie i odwiedzać go w Paryżu. Tam nauczyła się wszystkiego o handlu antykami.

Przekonany, że Preshy sobie poradzi, dziadek zapisał jej antykwariat i mieszkanie.

Po jego śmierci przekonała się, że firma znajduje się w kiepskim stanie. Na starość dziadek zaniedbał interesy, magazyn świecił pustkami, a w banku pozostało bardzo mało pieniędzy. Z czasem, dzięki ciężkiej pracy i poświęceniu, przywróciła sklepikowi dawną świetność. Jeszcze nie dorobiła się majątku, bo większość zysków natychmiast inwestowała, ale wystarczająco zarabiała na życie i optymistycznie patrzyła w przyszłość.

Tyle tylko, że nie wiadomo kiedy skończyła trzydzieści osiem lat i nigdy z nikim nie stworzyła poważnego związku. Oczywiście, miała za sobą wiele romansów, w tym kilka z mężczyznami, którzy wydawali się jej ekscytujący i romantyczni, ale jakoś nigdy nic z tego nie wyszło.

– Jesteś zbyt wybredna – marudziła ciotka Grizelda, gdy kolejny adorator zniknął za zakrętem, ale Preshy tylko się śmiała. W głębi serca jednak coraz częściej się zastanawiała, czy kiedyś spotka mężczyznę, którego naprawdę pokocha. Kogoś, z kim będzie umiała się śmiać. Kogoś, kto zwali ją z nóg. Poważnie w to wątpiła.

Nie, żeby było z nią coś nie tak. Wysoka i szczupła, miała długie, gęste rudozłote włosy, które na deszczu kręciły się jak zwariowane, wystające kości policzkowe po matce i szerokie usta Hennessych. Nie zawracała sobie głowy strojami, co doprowadzało ciotkę Grizeldę do szaleństwa, ale kiedy musiała, ubierała się elegancko w klasyczną małą czarną, choć na co dzień wołała dzinsy i białe koszulki.

Była wykształcona i dowcipna, lubiła dobrze zjeść i znała się na winie. Chodziła do kina i teatru, na koncerty i wernisaże. Cieszyła się życiem, ale czasem sobie myślała, że cieszyłaby się nim bardziej, gdyby ktoś jej w tym towarzyszył.

Weszła na podwórko i wbiegła po schodach do szesnastowiecznego mieszkania nad sklepem. Zimą było to przytulne schronienie, w lecie, ^gdy otwierała na oścież wysokie okna, zmieniało się w modny miejski apartament, pełen słońca i śpiewu ptaków, mieszkających na paulowni.

Zadzwoił telefon. Podbiegła do aparatu i sapnęła głośno:

– Halo?

– Cześć, skarbie, to ja.

Bostoński akcent najlepszej przyjaciółki Darii zadzwieczał jej w ucho. Odsunęła słuchawkę na bezpieczną odległość.

– Nie za wcześnie na telefon? – zdziwiła się, usiłując obliczyć różnicę czasu.

– Owszem, ale Superdzieciak nie spał całą noc. Słuchaj, co się robi, kiedy trzylatka ma koszmary? Zapisuje się ją do psychiatry?

Preshy się roześmiała.

– Raczej ogranicza słodycze. To w każdym razie tańsze rozwiązanie niż wizyta u psychiatry. Zresztą chyba ma za mały zasób słownictwa, by się dogadać z psychiatrą.

Mówiła to z uśmiechem, żartobliwie, jak zawsze w rozmowie z Darią. Trzyletnia córeczka przyjaciółki miała na imię Lauren, ale od początku nazywano ją Superdzieciakiem. Preshy była jej matką chrzestną. Daria, szczęśliwa żona Toma, profesora fizyki, wiecznie wierciła Preshy dziurę w brzuchu, żeby poszukała sobie „odpowiedniego faceta”. Dzisiaj także.

– Jest sobota – zaczęła Daria. – Jakie masz plany na wieczór?

– Wiesz, mam za sobą okropny i męczący tydzień. Najpierw pojechałam do Brukseli na targi antyków, a kiedy wróciłam, okazało się, że moja pomocnica zachorowała na grypę, ale moim zdaniem ta grypa ma zarost i metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Cóż, szkoda, że to nie ty – wtrąciła Daria. – Taka grypa dobrze by ci zrobiła, Preshy. Słuchaj, jak to możliwe, że kobieta, która wygląda jak ty... która... no, jak to możliwe, że akurat ty będziesz siedziała sama w domu w sobotnią noc w Paryżu?

– Kiedy ja tego chcę, zrozum. Jest wernisaż w galerii, tu niedaleko, ale po prostu nie mam siły na białe wino i uprzejmą konwersację z malarzem, zwłaszcza że nie podobają mi się jego prace. A na kino jestem zbyt zmęczona.

– Preshy, musisz zacząć żyć normalnie – oznajmiła Daria surowo. – Pamiętaj, masz tylko jedno życie. Przyjedź do mnie, a przedstawię ci jakiegoś dystyngowanego profesora. Byłabyś idealną żoną dla naukowca.

– Ja? Jasne. On mieszkałby w Bostonie, a ja w Paryżu. Świetna byłaby z nas para, nie ma co.

– Więc niech Sylvie cię z kimś umówi.

Sylvie była trzecią, ostatnią członkinią ich nierozłącznej paczki. Francuzka kilka lat temu otworzyła własne bistro, Verlaine, i praca pochłaniała ją do tego stopnia, że także nie miała czasu na romanse.

– Sylvie zna tylko innych kucharzy, a na co komu facet z takimi godzinami pracy? – odcięła się Preshy. – Zresztą czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jest mi dobrze tak, jak jest? Nie chcę żadnych zmian, nie mam na nie czasu. Żyję po swojemu, wychodzę, kiedy chcę...

– Z kim? – zainteresowała się Daria i próbowała przycisnąć ją do ściany, ale Preshy zbyła ją śmiechem. – Mówię poważnie, skarbie. – Daria westchnęła ciężko. – Zostaw sklep pod opieką tej asystentki od męskiej grypy i przyjeżdżaj, gwarantuję ci, że będziesz się świetnie bawić.

Preshy obiecała, że się nad tym zastanowi, i jeszcze trochę pogadały. Po skończonej rozmowie podeszła do półki, na której, w srebrnej ramce, stało zdjęcie trzech przyjaciółek w wieku lat osiemnastu.

Daria stała pośrodku, długie, proste jasne włosy rozwiewał wiatr, w niebieskich oczach jak zwykle błąkał się uśmiech. Szczupłe nogi mocno stały na ziemi. Ucieleśnienie amerykańskiej dziewczyny w szortach i koszulce polo.

Sylvie, po lewej stronie, ze lśnącymi ciemnymi włosami i powagą w piwnych oczach, już wtedy pulchna, bo tamtego lata pracowała w lokalnej knajpce i co chwila próbowała wszystkich potraw, żeby się przekonać, czy są smaczne.

I Preshy po prawej stronie, wyższa od przyjaciółek, bardzo szczupła, z aureolą złotych loków, figlarnym błyskiem w zielononiebieskich oczach i uśmiechem. Żadnej z nich nie nazywano by pięknnością, ale były młode, atrakcyjne i cudownie pełne życia.

Przed laty spędzały letnie tygodnie w kamiennym domku rodziców Darii na przylądku Cod, leniły się przez wlokące się fantastycznie godziny, smarowały kremem do opalania i wytrwale walczyły o piękną opaleniznę. Spacerowały po plaży, flirtowały ze spotkanymi po drodze studentami, o zachodzie słońca piły z nimi piwo do frytek. A później dyskoteki w świetle księżycy, na wietrze, w towarzystwie chłopaków, w których buzował testosteron na widok ich seksownych, opalonych ciał,

w szortach i koszulkach.

Preshy poznała Sylvie w szkole, do której zdarzało jej się uczęszczać, jeśli akurat przebywała w Paryżu, a później, gdy w Bostonie zaprzyjaźniła się z Darią, zabrała Sylvie ze sobą, bo po prostu wiedziała, że we trzy świetnie się rozumieją. Od tego czasu były najlepszymi przyjaciółkami. Wiedziały o sobie wszystko i kochały się jak siostry.

Nagle ogarnęła ją tęsknota za przeszłością, nostalgia za młodością, bez troską, gdy świat leżał u ich stóp, i przez chwilę zastanawiała się, czy dokonała właściwych wyborów. Ale przeszłość to przeszłość i teraz musi zrobić co w jej mocy, by odnieść sukces zawodowy. Najwyraźniej małżeństwo i dzieci nie były jej pisane. Skarciła się za niepotrzebny sentymentalizm i odstawiła zdjęcie na miejsce, obok fotografii dziadka Hennessy'ego i jego ślicznej jasnowłosej austriackiej żony. Zrobiono ją w dniu ich ślubu. Panna młoda miała na szyi dziwaczny naszyjnik z kamieni, które wyglądały na brylanty i szmaragdy, z ogromną perłą pośrodku. Dziwne połączenie z prostą suknią ślubną, ale Preshy nigdy nie widziała naszyjnika w rzeczywistości. Nie było go wśród rzeczy dziadka, zniknął bez śladu.

Oczywiście na półce stało także zdjęcie jej rodziców, których twarze zdawały się mglistymi obrazami z przeszłości, choć wszelkie strzępy wspomnień były pełne miłości, zwłaszcza wspomnienie wypadu do Wenecji; wszyscy twierdzili, że była za mała, by to pamiętać, ona jednak pamiętała sporo.

Nie mogło także zabraknąć zdjęć ciotki Grizeldy: na jednej fotografii popija szampana u boku księcia Rainiera z Monako na tarasie na Lazurowym Wybrzeżu; na innej przyjmuje puchar zwycięzcy na wyścigach w Hiszpanii u boku króla Juana Carlosa; na kolejnej w obłoku szkarłatnego tiulu siedzi u szczytu stołu na corocznej gali na rzecz Czerwonego Krzyża. A obok ciotki, oczywiście, jej nieodłączna towarzyszka i przyjaciółka, jasnowłosa girlaska z Follies, obecnie wdowa po bogatym bankierze ze znanej rodziny, Mimi Moskovitz.

Grizelda kochała łagodny klimat południa Francji, pokazy mody, przyjęcia, towarzystwo i dżin z tonikiem. Preshy także. Zawsze jej zależało, żeby traktowano ją jak dorosłą – poza dżinem z tonikiem, oczywiście.

Obecnie dwie wdowy mieszkały w luksusowym apartamencie w Monte Carlo i razem odwiedzały żyjących jeszcze przyjaciół. Nie miały dzieci, więc traktowały Preshy jak córkę i przez lata rozpieszczały ją niemiłosiernie.

– Ale spójrzmy prawdzie w oczy – stwierdziła kiedyś pokonana Grizelda. – Tej dziewczyny nie sposób zepsuć. Nie interesuje jej biżuteria ani ciuchy, fascynują ją tylko nudne antyki. Nawet na żadnym facecie nigdy jej naprawdę nie zależało.

I tu się ciocia nie pomyliła, pomyślała Preshy z uśmiechem.

Mimo to, mając na uwadze słowa Darii, zdecydowała, że wieczorem jednak włoży małą czarną, wąską brylantową kolie, prezent od ciotki Grizeldy na szesnaste urodziny (jakże skromną w porównaniu do przepysznego zaginionego naszyjnika babki), i pierścionek z brylantem, który dostała, gdy skończyła dwadzieścia jeden lat. (Skoro do tej pory nie dostałaś brylantu od mężczyzny, dostaniesz go ode mnie – oznajmiła ciotka, wręczając jej prezent. A ponieważ starsza pani uważała, że wielkość ma znaczenie, kamień zwracał uwagę). Preshy zawsze czuła się bardziej elegancka, gdy go wkładała, a Daria twierdziła, że dzięki niemu zyskuje klasę i wygląda jak rozpuszczona bogaczka.

Preshy westchnęła. Więc jednak pójdzie na wernisaż, a potem wpadnie do Verlaine na późną kolację z Sylvie. Kolejna sobotnia noc w Paryżu.

Rozdział 3

Szanghaj

Lily mieszkała w zabytkowej części Szanghaju, zwanej Koncesją Francuską, w starym budynku w stylu kolonialnym, który dzięki jej wysiłkom przetrwał niszczycielki boom budowlany ostatnich lat.

Pod koniec XIX i na początku XX wieku w okolicy mieszkali francuscy dyplomaci, biznesmeni, przemysłowcy i osoby z towarzystwa, ale po rewolucji nadeszły ciężkie czasy. Teraz jednak sytuacja znów się zmieniła i w dzielnicy rozkwitło życie w małych tradycyjnych sklepikach, barach, kafejkach i eleganckich butikach, rozsianych wśród wąskich zaułków i szerokich alei, ocienionych drzewami.

Domek Lily ukryty na końcu *longtang*, wąskiego zaułka z klubem nocnym po jednej stronie i knajpką po drugiej, był perłą z przeszłości. Przycupnął w małym ogródku, malowniczy dzięki zielonym okiennicom, czerwonym dachówkom i wielkiej werandzie.

Należał do rodziny Song od wielu pokoleń i pozostał Lily jako jedyna cenna rzecz po ojcu, któremu nie udało się jej przegrać przy stole hazardowym. Stanowił jedyną ostoję w ich chaotycznym życiu, coś, czego nikt nie mógł Lily odebrać. Jej ojciec stracił majątek, grając w bakarata i *pai gow* w Makao i innych rozrywkowych stolicach świata, zostawiając troskę o chleb powszedni żonie, ale Lily była inna. Już jako dziecko zdecydowała, że odniesie sukces, i to za wszelką cenę.

Jej matka, najstarsza córka Hennessych, sprzeciwiła się woli rodziców i uciekła do Szanghaju z playboyem i hazardzistą Henrym Songiem. Rodzice nigdy się do niej nie odezwali. Ojciec Lily przegrywał majątek przy stole hazardowym, a jej matka z trudem wiązała koniec z końcem, sprzedając tanie imitacje antyków. Gdy Lily miała szesnaście lat, ojciec zmarł. Rzuciła szkołę i przejęła rodzinny interes. Matka zmarła pięć lat później. Lily została sama, ze świadomością, że może polegać tylko na sobie.

Handlowała antykami głównie w domu; towar kupowała najczęściej na wsi, wyszukiwała prawdziwe cuda w domach prostych ludzi, którzy nie mieli pojęcia, ile naprawdę są warte. Nie uważała tego za oszustwo, tylko dobry interes. Ostatnio jednak, gdy osuszono Jangcy, Wielką Żółtą Rzekę, bandy złodziei odkryły grobowce w pobliżu starych wiosek i w tajemnicy, dyskretnie, ograbiali je ze skarbów przodków.

Przesądna Lily początkowo się tym gryzła, ale szybko pozbyła się skrupułów i znalazła nowe źródło dochodów, kupując od złodziei czy raczej, jak wołała ich określać, dostawców, i sprzedając bogatym klientom, takim jak szwajcarski biznesmen, którzy reprezentowali prywatnych kolekcjonerów. Przykrywkę dla nielegalnej działalności stanowiła stara wytwórnia pamiątek: produkowała tradycyjne posążki Buddy, suweniry związane z Mao i nieśmiertelne repliki terakotowej armii Xi'an, które sprzedawała sklepom z pamiątkami i za granicę.

Zaparkowała czarny wóz terenowy na podwórzu i wcisnęła guzik pilota, zamykając za sobą bramę. W zaułku zainstalowała kamery, bo pracowała w domu i czasami przechowywała tu wartościowe przedmioty.

Choć dom zbudowano we francuskim stylu kolonialnym, ogród był tradycyjny, chiński, ze stawem pełnym złotych rybek, które symbolizują powodzenie i bogactwo. Z kamiennego murku cicho spływał strumyk na różowe kwiaty hibiskusa, przepełniające powietrze słodkim zapachem.

Lubiła tu przesiadywać wieczorami w wolnych chwilach, z kieliszkiem wina, samotna, jeśli nie liczyć własnych myśli i śpiewu kanarka. Nie miała mężczyzny, w jej życiu nie było miejsca na związek. Lily zależało jedynie na pieniądzach.

Na taras weszła Mary-Lou Chen i wyrwała ją z zadumy.

– O, tu jesteś, Lily – zawołała. – Kilka minut temu ktoś dzwonił. Mężczyzna. Nie przedstawił się. – Uśmiechnęła się. – Nowy facet?

– Phi! – prychnęła Lily pogardliwie. – Akurat! Ale chyba wiem, kto to był.

– Prosiłam, żeby zostawił numer kontaktowy, ale nie chciał. Powiedział, że spróbuje za pół godziny.

Lily się uśmiechnęła.

– Dobrze. – Teraz miała pewność, że Szwajcar połknął przynętę. Mary-Lou Chen była jej najlepszą przyjaciółką i współpracowniczką zarówno w przedsięwzięciach legalnych, jak i nie do końca zgodnych z prawem.

Znały się od wieków. W chińskiej szkole tylko one miały w żyłach mieszaną krew azjatyckich ojców i białych matek. Obie pochodziły z biednych rodzin, choć ubóstwo Lily było skutkiem zamiłowania jej ojca do hazardu, a Mary-Lou – kiepskich pomysłów handlowych jej ojca. W miarę jak dorastały, obie pragnęły tylko jednego – stać się bogate. Za wszelką cenę.

Mary-Lou była prawdziwą pięknoscią, miała porcelanową cerę, lekko skośne ogromne oczy koloru nakrapianych bursztynowych orchidei. Nosila tradycyjną chińską fryzurę, włosy do ramion, z długą grzywką opadającą na niesamowite oczy.

Licząc na wrażenie, jakie wywoływały jej delikatne rysy i wysokie kości policzkowe, początkowo chciała zrobić karierę w filmie, ale talentu nie miała za grosz. Oczywiście otrzymała mnóstwo ofert występów w filmach innego rodzaju, i gdy bieda zaglądała jej w oczy, poważnie rozważała przyjęcie tych propozycji, ale Lily skutecznie ją od tego odwiodła. Wciągnęła ją do biznesu, nauczyła wszystkiego od podstaw i teraz pracowały razem, choć mieszkały osobno.

Mary-Lou zajmowała nowoczesny apartament przy Bund, najmodniejszej ulicy w Szanghaju, z widokiem na rzekę Huangpu, w sąsiedztwie imponujących budynków rządowych, eleganckich restauracji, barów i luksusowych wieżowców. Było to małe mieszkanie na trzecim, najtańszym piętrze, ale umeblowała je nowoczesnymi meblami sprowadzonymi z Włoch. Ubierała się w najmodniejszych butikach z zachodnią odzieżą. Finansowała ten ekstrawagancki styl życia, handlując, o czym Lily nie wiedziała, kradzioną biżuterią, którą oddawała do przeróbki, a potem sprzedawała.

Mary-Lou nie miała skrupułów czy wyrzutów sumienia. Kiedy wyrasta się w takiej biedzie jak ona, za wszelką cenę dąży się na szczyt. Kierowała się w życiu zasadą: bogactwo za wszelką cenę. Nie była lojalna wobec nikogo, nawet wobec przyjaciółki.

Weszła za Lily do domu. Jej obcasy stuknęły głośno na polerowanej bambusowej posadzce.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś zdejmowała buty, jak wchodzisz? – Syknęła zirytowana Lily. – Wiesz przecież, że wnosisz kurz. Przy drzwiach stoją czyste klapki.

– Przepraszam. – Choć otrzymała tradycyjne chińskie wychowanie, Mary-Lou nie praktykowała starego zwyczaju zostawiania obuwia przy wejściu. Jestem bardziej zachodnia niż Lily, pomyślała chmurnie, zdejmując sandały.

Skromne umeblowanie domu stanowiła twarda sofa, eleganckie krzesła z wiązowego drewna i zabytkowy ołtarzyk z czerwonej laki ze złotym Buddą. Na drewnianej tacy stała podstawka na kadzidełka, które wydzielaly przyjemny zapach. Obok pyszniły się złote chryzantemy. Na ołtarzyku stało zdjęcie matki Lily, jednak nie było śladu po ojcu, którego nienawidziła. Nawet gdy leżał na łożu

śmierci, nie wybaczyła mu, że zrujnował życie i jej, i matce, zostawiając obie w nędzy.

Nie licząc krzesel i ołtarza, w domu Lily było bardzo mało antyków i żadnych prawdziwych skarbów. Jedyna perła kryła się w sypialni – tradycyjne chińskie łóżko małżeńskie, także ciemnoczerwone, bo to kolor szczęścia i powodzenia. Było wbudowane w ścianę, miało baldachim i boczne ścianki, które zamykały się kompletnie, tak że stanowiło osobny pokój w pokoju. I tam Lily sypiała sama, o czym Mary-Lou dobrze wiedziała. Żaden mężczyzna nigdy nie przekroczył progu sypialni, nie zasunął bocznych ścianek, odcinając siebie i nagą Lily od świata, by kochać się z nią, aż oboje padną z wyczerpania, tak jak to lubiła Mary-Lou .

Pomogła Lily zanieść kartony terakotowych figurek do piwnicy, a później miała coś dla niej załatwić na mieście. Mary-Lou domyślała się, że Lily chce być sama, gdy zadzwoni telefon. Miała przeczucie, że coś się dzieje za jej plecami. I bardzo jej się to nie podobało.

Rozdział 4

Gdy telefon zadzwonił, Lily podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

– Rozmawiałem z moim klientem. Jest bardzo zainteresowany. – Szwajcar mówił energicznie i rzeczowo. – Oczywiście żąda potwierdzenia oryginalności.

– Hm, to nie będzie proste, zważywszy na okoliczności. Jak pan wie, przedmiot ten skradziono osiemdziesiąt lat temu. Z pewnością jednak można potwierdzić jego wiek i autentyczność, choć oczywiście będzie nam potrzebny zaufany, bardzo dyskretny, specjalista. Taki, który nie zdradzi tajemnicy.

– To się da załatwić. Musimy też porozmawiać o cenie.

Nie ma sensu kłócić się o pieniądze. Minie wiele tygodni, może nawet miesięcy, ale w końcu kupiec zaproponuje jej odpowiednią sumę. Wiele milionów franków szwajcarskich. I wreszcie będzie wolna.

Poszła w najdalszy kąt piwnicy. Mimo ciemności bezbłędnie znajdowała drogę. Wcisnęła guzik ukryty za belką i jeden z paneli odsunął się, odsłaniając staroświecki metalowy sejf, zabezpieczony zamkiem cyfrowym. Znała szyfr na pamięć i po chwili ciężkie drzwiczki się otworzyły. Wśród stert banknotów leżała ciemnoczerwona szkatułka na biżuterię. Lily wyjęła ją, przeszła do części piwnicy, gdzie było jaśniej, i uniosła wieczko.

Naszyjnik błyszczał na czarnym aksamicie, stare klejnoty: szmaragdy, rubiny i brylanty lśniły w ciężkiej złotej oprawie. I perła, jaśniejąca jak żywe stworzenie w mroku piwnicy. Lily z wahaniem dotknęła jej palcem i przeszył ją dreszcz, gdy poczuła lodowaty chłód. Szybko cofnęła rękę.

Dostała ten naszyjnik zaledwie kilka tygodni temu. W czterdzieste < urodziny odwiedził ją nieznajomy – staruszek z siwą brodą, w tradycyjnym stroju nauczyciela – w długiej szarej szacie i wąskich spodniach. Wyglądał, jakby żywcem przeniesiono go z innej epoki, a jednak Lily miała wrażenie, że skądś go zna.

– Nazywam się Tai Lam – przedstawił się. – I byłem przyjacielem pani matki.

Zaskoczona, zaprosiła go do środka, poczęstowała herbatą i przyjęła z wszelkimi honorami. Przyznała, że nie wiedziała, iż jej matka miała przyjaciół. Smutno pochylił głowę i odparł, że rzeczywiście tak było. Jej matka zwróciła się do niego po radę i w ten sposób się zaprzyjaźnili.

– Niemal całe swoje życie pani matka była uczciwą kobietą – opowiadał. – Choć nie brakowało jej uporów. Tylko jeden jedyny raz posunęła się do kradzieży, a i wtedy zrobiła to ze złości. Powiedziała, że postąpiła tak, bo nie mogła postawić na swoim i uzyskać zgody rodziców na małżeństwo z Henrym Songiem. Była wtedy bardzo młoda – dodał i podał Lily paczuszkę, którą przyniósł. – Przed śmiercią, wiele lat temu, poprosiła mnie, żebym przekazał to pani na czterdzieste urodziny. Powiedziała, że robi z tym pani, co będzie chciała. I zdradziła, w jaki sposób naszyjnik znalazł się w jej posiadaniu.

Należał do jej matki, niejakiej pani Arturowej Hennessy z Paryża, dostała go w prezencie ślubnym od męża. Podobno kupił go wraz z innymi klejnotami podczas powojennego zamieszania we Francji, dokąd przemycano mnóstwo skarbów. Choć z naszyjnikiem łączyła się pewna opowieść,

Hennessy nie handlował klejnotami i nie miał pojęcia o rzeczywistej wartości naszyjnika. Wiedział jedynie, że klejnoty w nim są imponujące i uznał, że to odpowiedni prezent dla żony.

Ich córka, a pani matka, ukradła naszyjnik, gdy uciekała z Henrym Songiem. Mówiła mi, że nigdy sobie tego nie wybaczyła, ale była zbyt dumna i nieugięta, by go zwrócić. Przez te wszystkie lata ukrywała go przed mężem, żeby go nie przegrał przy stole hazardowym, tak jak cały majątek.

Gdy zachorowała i wiedziała, że może wkrótce umrzeć, przysłała do mnie.

„ Proszę go zachować dla mojej córki Lily – powiedziała. – To wszystko, co mogę jej zostawić. Ale może otrzymać ten naszyjnik dopiero, kiedy skończy czterdzieści lat, bo będzie już na tyle mądra, że podejmie właściwą decyzję, co z nim zrobić, nie pozwoli, by odebrał go jej mężczyzna tylko dlatego, że ona będzie wierzyła w miłość” .

Pani matka zostawiła także list. Przedstawia w nim historię naszyjnika. Prawdziwą.

Wysłuchana w jego słowa Lily przycisnęła ciemnoczerwone pudełko do piersi. W jej oczach błyszczały łzy. Matka przekazała jej jedyną wartościową rzecz, jaką kiedykolwiek miała. Wszystko, co miała. I ukrywała ten skarb przez tyle lat, specjalnie dla niej.

Lily wiedziała, że ma we Francji rodzinę, Hennessych, i kuzynkę, która, jak opowiadała matka, nazywa się Precious Rafferty. I nic więcej.

Później, gdy już została sama, przeczytała historię naszyjnika, skrupulatnie wyłuskaną z fragmentów informacji, które dziadek znał, ale uważał za bajki i brednie, o perle i cesarzowej Smoczycy. Poszukała staranniej, znalazła zdjęcia i wiedziała, że historia jest prawdziwa. A teraz ta legendarna perła należy do niej i może z nią zrobić, co zechce. Byle w tajemnicy. Jeśli władze się dowiedzą, skończy w więzieniu.

Rozdział 5

Mary-Lou miała wiele małych sekretów, a jednym z nich był handel kradzioną biżuterią. Innym był fakt, że szpiegowwała Lily. Tego ranka, zamiast posłuchać przyjaciółki i załatwić sprawę na mieście, poszła za nią i ukryła się w mroku piwnicy. Widziała, jak Lily naciska ukryty guzik i otwiera staroświecki sejf.

Dla Mary-Lou nie była to żadna rewelacja. Już wiele miesięcy temu dowiedziała się o istnieniu sejfu, śledząc Lily. Ukryta w ciemności, cichutko zakradła się bliżej, sfotografowała telefonem komórkowym kombinację cyfr, gdy Lily otwierała sejf, a potem, lekko jak jaskółka, wybiegła z piwnicy.

Później, gdy Lily wyszła, wróciła do piwnicy po wąskich, stromych drewnianych schodach, minęła skrzynie pełne gipsowych kopii wojowników z czasów dynastii Quin, posążków Buddy i Mao. Deska odsunęła się po wciśnięciu guzika. Mary-Lou wprowadziła odpowiednią kombinację cyfr i sejf się otworzył.

Do tej pory Lily przechowywała w nim tylko pieniądze. Tylko pieniądze, dobre sobie, przemknęło Mary-Lou przez głowę. Uświadomiła sobie, że odkryła skarbiec Lily, w którym przyjaciółka gromadziła pieniądze zarobione na handlu kradzionymi antykami, bo przecież nie mogła umieścić ich w banku. Choć banknoty leżały w schludnych stosikach, Mary-Lou była pewna, że Lily nigdy ich nie liczyła. Bo po co, skoro była przekonana, że nikt nie wie o istnieniu sejfu?

W ciągu kolejnych miesięcy Mary-Lou nieraz pozwalała sobie na bezzwrotne pożyczki ze skarbu Lily, przekonana, że jeśli nawet przyjaciółka sprawdza sumy ukryte w piwnicy, nie będzie mogła zarzucić jej kradzieży, bo przecież Mary-Lou nie ma pojęcia o sejfie, nie wie, jaka kombinacja cyfr go otwiera. Zresztą nie odczuwała wyrzutów sumienia, że kradnie; potrzebowała pieniędzy, więc je brała.

Tego ranka jednak, jak zwykle bardzo wyczulona na nastroje Lily, widziała, że coś się dzieje, i zamiast załatwić sprawę, którą Lily wymyśliła dla niej na poczekaniu, zatrzymała się na schodach do piwnicy i dziękowała losowi, że Lily kazała jej zdjąć buty. Boso poruszała się bezszelestnie. Jak poprzednio, zrobiła zdjęcia telefonem komórkowym, gdy Lily wyjęła kasetkę z sejfu.

Podniosła aparat i pstrykała zdjęcie za zdjęciem, kiedy Lily unosiła wieczko, ale z trudem powstrzymała jęk, gdy zobaczyła, co się kryje w ciemnoczerwonym pudełku.

W życiu nie widziała takich klejnotów: ogromne szmaragdy, brylanty i rubiny, i jeszcze perła wielkości ptasiego jaja. Jakim cudem Lily zdobyła coś takiego?

Bezszelestnie wróciła na górę. Ten naszyjnik jest wart fortunę, trzeba tylko znaleźć odpowiedniego kupca. No jasne! Właśnie na telefon od kupca czekała Lily. Już kogoś miała!

Mary-Lou wybiegła na ulicę do swego małego samochodu. Wskoczyła do wozu i odjechała szybko, by Lily po wyjściu z domu nie mogła jej zobaczyć. Jeździła bez celu, pogrążona w myślach. Kradzież naszyjnika to nie problem, ale najpierw musi mieć kupca.

Następnego dnia, gdy Lily wyszła z domu, Mary-Lou zakradła się do piwnicy i otworzyła sejf. Wyjęła naszyjnik, rozkoszowała się ciężarem kamieni, zachwycała ich przejrzystością i wielkością

perły, lśniącej mlecznym blaskiem. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, gdy przeczytała notatkę Lily o pochodzeniu naszyjnika. To jeszcze zwiększa jego wartość.

Sprawa jest jasna: ten naszyjnik położy kres wszystkim jej zmartwieniom. Dzięki niemu zdobędzie miliony niezbędne do życia, o jakim marzyła i na które zasługiwała. Jest wart największego ryzyka. Jeśli Lily będzie sprawiała kłopoty, poradzi sobie z nią bez problemu. Mary-Lou się nie bała. Jedyne problem to znaleźć kupca.

Rozdział 6

Kilka dni później Mary-Lou wychodziła od szlifierza diamentów, który przyjmował na drugim piętrze obskurnego budynku w kiepskiej dzielnicy. Kamieniczka usadowiła się między tanim salonem masażu a nielegalnym salonem gier, gdzie hazardziści kupują losy na loterię i marzą o wielkiej wygranej.

Dom krył się za podwójną metalową bramą, na wąskiej uliczce migotały neony, piętrzyły się jeden nad drugim, oświetlały tandetne bary i herbaciarnie, z których dochodził zapach smażonego węgorka, owczego mózdzku i ryżu w wodnistym sosie. Mężczyźni w łachmanach, pijani, naćpani albo po prostu biedni kucali pod ścianami budynków, palili papierosy, wpatrzeni pustym wzrokiem w przestrzeń, co jakiś czas odkasływali i soplowali grudkami flegmy.

Mary-Lou z niesmakiem zmarszczyła śliczny nosek. Nienawidziła tu przychodzić. Zdawała sobie sprawę, że jej egzotyczna uroda zwraca uwagę i dlatego zawsze ubierała się skromnie, w koszulkę i dżinsy, nie nosiła żadnej biżuterii, nawet zegarka. Mimo to obawiała się o swój samochód, choć był mały i tani. Na tych uliczkach nikt nie jest bezpieczny i tym bardziej niepokoiła się o zawartość swoich kieszeni; dwa brylanty po cztery karaty, ukradzione bogatej rodzinie. Szlifierz zmienił nieco ich wygląd. Oznaczało to, co prawda, że tracąc na wadze, traciły też na wartości, ale teraz nie sposób było ich rozpoznać. Dzięki pieniądzom Lily dogadała się ze złodziejami i teraz brylanty należały do niej.

Włożyła ciemne okulary i wyszła na uliczkę. Zaparkowała tuż przed budynkiem, ale teraz w tym miejscu stała stara ciężarówka. Syknęła ze złością i odwróciła się gwałtownie, patrząc oskarżycielsko na włóczęgów. Odpowiedzieli gniewnym spojrzeniem, ze złośliwym śmiechem w oczach. Jeden z nich charknął i splunął na nią.

– Jezu! – Cofnęła się z niesmakiem i poczuła, jak jej obcas wbija się w czyjąś stopę. Krzyknęła, gdy otoczyły ją męskie ramiona. Dookoła” gromadził się tłum uśmiechniętych gapiów. Wściekła, odwróciła się na pięcie, chcąc pokazać mężczyźnie, co ryzykuje, zadzierając z nią. Złapał ją za rękę, zanim go uderzyła.

– Ostrożnie – powiedział. – Możesz zrobić komuś krzywdę.

Patrzyła na najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała. Wysoki, szeroki w ramionach, po amerykańsku ogorzały, ciemnowłosy, o intensywnie niebieskich, poważnych oczach, które zmysłowo szukały jej wzroku. Znała go, czy raczej wiedziała, kim jest. Nie tak dawno artykuły o tragicznej śmierci jego żony, pochodzącej z bogatej rodziny, nie schodziły z pierwszych stron gazet.

– Znam cię – powiedziała, ciągle naburmuszona.

– A ja chętnie poznam ciebie – odparł. – Pod warunkiem że nie będziesz mi więcej miażdżyć stopy i mnie nie pobijesz.

Mary-Lou bardzo długo patrzyła mu w oczy.

– Zgoda – powiedziała w końcu. Puścił ją.

– Co się stało?

– Ukradli mi samochód. Skinął głową.

– Wcale mnie to nie dziwi. W tej dzielnicy ściągną z ciebie ostatnią koszulę. Zawsze powinnaś przyjeżdżać z ochroniarzem, który zostanie przy samochodzie, kiedy będziesz załatwiać to, co cię tu sprowadzi.

Nie pytał, po co przyjechała; ona także nie. Nie wolno wypytywać, po co ktoś zjawia się w tak podejrzanej dzielnicy. Każdy sam załatwia swoje sprawy.

– Mój samochód stoi niedaleko – wyjaśnił. – Podwiozę cię, skontaktujesz się z policją, opowiesz, co się dokładnie stało.

– Jakby to coś dało – rzuciła gorzko. Roześmiał się.

– Ejże, to tylko samochód – zauważył. – Chyba ubezpieczony?

– Tak, tak – mruknęła. – Ale zanim wypłacą mi odszkodowanie, minie mnóstwo czasu i trzeba będzie wypełnić tonę papierów. Znam ich.

– Jak na tak piękną kobietę, jesteś bardzo cyniczna – oznajmił i skinął na goryla, żeby otworzył jej drzwiczki.

Wsiadła do ciemnozielonego hummera. Obszedł wóz dookoła i usiadł obok niej.

– Dokąd? – zapytał.

Posłała mu przeciągłe spojrzenie.

– Do najbliższego dobrego baru – odparła ochryplym szeptem.

Rozdział 7

Bennett Yuan zabrał ją do baru Rouge przy Bund, niedaleko jej mieszkania. Był to modny modernistyczny lokal, ozdobiony wielkimi fotografiami, które, oprawione w lakę, czerwoną jak szminka pięknych azjatyckich dziewcząt, pełniły także funkcję parawanów, zapewniając intymny nastrój przy stolikach. Z czerwonych żyrandoli sączyło się przytłumione różowe światło, z okien i tarasu rozciągał się widok na Szanghaj.

Usiadł naprzeciwko niej, nie obok, jak się spodziewała. Zalotnie wydeła usta.

– Stąd lepiej cię widzę – wyjaśnił. – Wiesz, dlaczego cię tu przywiozłem? – zapytał.

Przecząco pokręciła głową.

– Bo jesteś piękniejsza od tych wszystkich dziewcząt. – Patrzył jej w oczy, długo, głęboko, aż Mary-Lou zadrżała. – Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz – ciągnął. – A może nie chcesz ujawnić nazwiska?

– Mary-Lou Chen. Wiem, kim ty jesteś, widziałam cię w gazetach.

Zbył to wzruszeniem ramion.

– Szkoda, bo w tej sytuacji wolałbym anonimowość. Czego się napijesz, Mary-Lou Chen?

Skinął na kelnera, a Mary-Lou się zastanawiała.

– Kieliszek szampana – powiedziała. Bennett zamówił butelkę.

Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w siebie, świadomi, co się może między nimi wydarzyć, aż kelner wrócił ze srebrnym kubelkiem lodu i butelką szampana. Owinął jej szyjkę białą serwetką, fachowo otworzył z cichym trzaskiem. Nalał Bennettowi odrobinę, a gdy ten zaakceptował trunek, napełnił płynem dwa wysokie kieliszki. Jego pomocnik przyniósł talerzyk mikroskopijnych biszkopcików i obaj oddalili się, zostawiając Mary-Lou i Bennetta samych w świetle czerwonego żyrandola.

Bennett Yuan wydeł usta. Podniósł kieliszek w toaście.

– Za nas, Mary-Lou Chen.

– Za nas – powtórzyła, nagle zdenerwowana.

Wyczuwała w nim siłę, której nigdy wcześniej nie widziała w mężczyźnie. Oto człowiek, który wie, czego chce, i wie, że to uzyska. Trochę się go bała.

– Opowiedz mi o sobie. – Bennett rozsiadł się wygodnie, położył ramię na oparciu kanapy.

Gdy nie patrzył jej w oczy, stawał się kimś innym. Był luźniejszy, spokojniejszy, zadowolony z siebie. I tak przystojny, że Mary-Lou traciła głos. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, intensywnie niebieskie oczy pod prostymi ciemnymi brwiami, nos, niemal zbyt idealny w męskiej twarzy, kwadratowa szczęka i szerokie usta, na których widok zastanawiała się, jak to jest się z nim całować.

Potrząsnęła czarną czupryną, upiła łyk szampana i opowiedziała mu o pracy i o Lily.

– Kim jest Lily Song? – zapytał, dolewając jej szampana.

– To stara przyjaciółka, jeszcze ze szkoły. Handluje antykami, ale przede wszystkim produkuje pamiątki dla turystów. Wiesz, drobiazgi związane z Mao, posążki Buddy, gipsowi wojownicy.

– I to się opłaca?

Znów się napiła i przyjrzała mu uważnie.

– Najwyraźniej. Przynajmniej pewne rzeczy.

– Które?

Mary-Lou roześmiała się, kręcąc głową, aż jej włosy ożyły.

– Tego ci nie powiem – zastrzegła, zerkając na niego zza długiej grzywki. – Zresztą właściwie dlaczego cały czas rozmawiamy o mnie? Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tobie.

– Nie wiem, czy jest coś, czego jeszcze nie wiesz. Pracuję w branży meblarskiej, a dokładniej produkcją części do mebli. – Znowu wzruszył ramionami, tym razem ze zniecierpliwieniem, jakby nie lubił tego, co robi. – Moja siedziba mieści się w Szanghaju, ale dużo podróżuję. Dzięki temu nie mam czasu na myślenie. – Dolał im szampana i skinął na kelnera, żeby przyniósł drugą butelkę.

– Może to dobrze – mruknęła. Miała na myśli śmierć jego żony, Any Yuan. – Biorąc pod uwagę to, co się stało... Może to dobrze, że jesteś zajęty i nie masz czasu myśleć...

Posłał jej chłodne spojrzenie i urwała, świadoma, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Wypiła szampana do dna.

– Co zrobimy z twoim samochodem? – zapytał. Zapomniała na śmierć, że go ukradli. Podał jej komórkę. – Zgłoś kradzież – poradził.

Trwało to dłużej, niż sądziła, i kiedy skończyła rozmowę, osuszyli drugą butelkę szampana. Rozkosznie wstawiona, w tej chwili miała w nosie, czy jeszcze kiedyś zobaczy swój samochód.

– Mieszkam tu niedaleko – powiedziała. W jej oczach malowało się zaproszenie.

Skinął głową. Zrozumiał. Zapłacił rachunek, wziął ją pod rękę i zaprowadził do windy. Stali z dala od siebie, pogrążeni w milczeniu. Mary-Lou wbiła wzrok w czerwone sandaalki i zastanawiała się, co się zaraz wydarzy. Bennett gapił się w sufit z nieprzeniknioną twarzą.

Kierowca czekał. Hummer przejechał kilka przecznic dalej, pod dom, w którym mieszkała Mary-Lou.

Bennett z aprobatą patrzył na nowoczesny wieżowiec. Kazał kierowcy odstawić samochód na parking i wracać do domu.

– Powiedz mi, Mary-Lou Chen – zagadnął. – Jakim cudem kogoś, kto sprzedaje kopie Mao i Buddy i podejrzone antyki, stać na mieszkanie w takim budynku?

Uśmiechnęła się, gdy winda wiozła ich na trzecie piętro.

– Widzisz, jestem sprytna. Czyżbyś jeszcze tego nie zauważył? Otworzyła drzwi do mieszkania. Weszli do środka.

– Nie zdążyłem, za bardzo mnie pochłonęła twoja uroda – odparł, zamknął drzwi i przyciągnął ją do siebie.

– Jesteś jak miękki chiński jedwab – szepnął, całując ją w lewe ucho. – I pachniesz zmysłowo imbirem i drewnem sandałowym. – Jego usta muskały jej szyję, pieściły pulsującą żyłkę u nasady karku, szukały warg. – A smakujesz szampanem – dodał i całował ją, aż zabrakło jej tchu.

Odepchnęła go, wzięła za rękę i zaprowadziła do sypialni, małego pokoiku o czerwonych ścianach, z wielkim małżeńskim łóżem o hebanowym wezgłowie. Na pościeli leżała narzuta z czarnego jedwabiu, w oknie kołysały się czerwone zasłony, mrok rozjaśniały lampy ze złotymi abażurami.

– Jak u drogiej dziwki – stwierdził ze śmiechem i Mary-Lou mu zawtórowała, choć zabolą ją te słowa.

^ Poczekaj. – Pchnęła go na łóżko i wyszła.

Wróciła po kilku minutach w czarnym jedwabnym szlafroku haftowanym w czerwone smoki. Pod nim była naga. Przyniosła kolejną butelkę szampana i dwa kieliszki.

– Pomyślałam, że wypijemy jeszcze trochę – powiedziała i napełniła kieliszki.

Pożerał ją wzrokiem, gdy podawała mu szampana. Odstawił kieliszek na boczny stolik i

przyciągnął ją do siebie za pasek szlafroka.

– Chodź tu – szepnął ochryple. Rozwiązał pasek, rozsunał poły szlafroka i chłonał wzrokiem jej piękne nagie ciało. A potem przygarnął ją do siebie i pocałował.

Zrzuciła szlafrok i opadła na plecy, naga, wpatrzona w niego. Sięgnął po butelkę szampana i przechylił, aż perlisty płyn spływał na jej piersi, brzuch, między uda.

– Cudowna – szepnął, zlizując alkohol z jej gładkiej skóry. – Jesteś przepyszna, Mary-Lou Chen.

Rozdział 8

Podczas następnych tygodni Mary-Lou myślała albo o Bennecie, albo o naszyjniku. Stanowił odpowiedź na wszystkie jej modlitwy – zakładając oczywiście, że kiedykolwiek się modliła. Przechwyci go bez trudu, problem stanowi jedynie znalezienie kupca, który będzie w stanie zapła – cić tyle, ile chciała. Nie знаła najbogatszych mieszkańców miasta; poruszali się w innych kręgach niż ona.

Stała przy oknie swego mieszkania z papierosem w ustach, wpatrzona w rzekę zapełnioną barkami. Myślała o tym, że jest wystarczająco dobra, by być dziewczyną bogacza, ale nikt nigdy nie zaproponował jej małżeństwa. Bogaci mężczyźni nie żenią się z takimi jak ona, koniec kropka. Zawijają przymierza, zawierają umowy. Pieniądze żenią się z pieniędzmi, zwłaszcza w Chinach.

Ale Bennett Yuan był inny. Powszechnie wiadomo, jak zginęła jego żona. Spekulacje na temat wypadku przez ponad tydzień nie schodziły z pierwszych stron gazet i wieczornych programów informacyjnych. Plotka to nieocenione źródło informacji i Mary-Lou słyszała kiedyś, że gdy córka państwa Yuan poślubiła Bennetta, zażądali, by przyjął nazwisko żony, żeby ich dzieci mogły kontynuować dynastię Yuanów. Widziała też zdjęcia jego żony w telewizji; Ana Yuan była przeciętną, skromnie ubraną młodą kobietą i oczywiście plotka głosiła, że przystojny Amerykanin ożenił się z nią dla pieniędzy.

I nie ma w tym nic złego, uważała Mary-Lou. Gdyby miała okazję, postąpiłaby tak samo. Plotka donosiła także, że pieniądze Any zamrożono w funduszu powierniczym i Bennett nigdy ich nie dostanie.

Po śmierci Any rodzina Yuanów nie chciała, żeby nadal posługiwał się ich szacownym nazwiskiem, ale przegrali. Zlikwidowali jednak fundusz powierniczy Any, a cały majątek i nieruchomości, w tym luksusowy małżeński apartament w jednym z najdroższych wieżowców Szanghaju, wróciły do rodziny. Pytani, dlaczego przedsięwzięli tak drastyczne kroki, odpowiadali nieubłaganie:

– To cudzoziemiec. Nie należy do rodziny. Nie ma dzieci o nazwisku Yuan. Jest dla nas bez wartości.

Oczywiście mówiło się także, że to wszystko prawda i że Bennett nie odziedziczył ani grosza. Mary-Lou wiedziała jedynie, co jej powiedział: że kochał żonę i że załamał się po jej śmierci. I że nigdy się nie dowiedział, po co właściwie pojechała do Suzhou.

I tyle. Teraz był wolny. I z całą pewnością nie był bogaty, choć jego zachowanie sugerowało coś innego. Właściwie był, jak ona, najemnikiem, przystojnym mężczyzną, który uważał, że ma prawo do luksusowego życia i zmierzał za wszelką cenę je osiągnąć. Poślubi kolejną dziedziczkę, była tego niemal pewna, ale wiedziała też, że nigdy nie ożeni się z nią.

Zdenerwowana, zmarszczyła brwi i zdusiła niedopałek. Miała dwa pragnienia: chciała dostać Bennetta i sprzedać naszyjnik za sumę, która umożliwi jej bogate życie. W pewnym sensie te dwie sprawy się łączyły. Naszyjnik i Bennett.

Odpowiedź zjawiała się nagle. Ależ oczywiście! Bennett zna bogatych przemysłowców, nie tylko

w Chinach, lecz także za granicą. To idealny pomocnik w szukaniu kupca. Co prawda oznacza to, że będzie się musiała podzielić z nim połową zysku, ale ponieważ naszyjnik i tak jest kradziony, co tam. Tylko że... Kolejny pomysł wpadł jej do głowy. Uśmiechnęła się. Wiedziała już, jak zdobyć dwie rzeczy, na których jej zależało. Bennetta i pieniądze. Tym razem jednak nie skończy jako porzucona kochanka.

Roześmiała się na myśl, jak sprytny i zarazem prosty był jej plan. Bennett znajdzie kupca, ona wykradnie naszyjnik z sejf, ale nie odda mu go, póki się z nią nie ożeni. Wtedy go sprzedadzą i oboje będą bogaci. Idealny układ: kupiec-ślub-naszyjnik-pieniądze. Będą żyli długo i szczęśliwie.

Zadowolona z siebie, zadzwoniła do Bennetta i umówiła się z nim o siódmej tego wieczoru w barze Siódme Niebo, na dachu hotelu Grand Hyatt, po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy Pudong.

Rozdział 9

Jadąc nowiutkim mini cooperem tunelem łączącym obie części miasta, Mary-Lou nie myślała już o Bennecie jako o przystojnym bywalcu, kochanku, którym nie mogła się nasycić. Po raz pierwszy kierowała się logiką i myślała jak kobieta interesów.

Uśmiechnięta podała kluczyki parkingowemu i weszła do wieżowca Jin Mao, trzeciego pod względem wysokości budynku na świecie. Hotel zajmował piętra od pięćdziesiątego trzeciego do osiemdziesiątego siódmego. Wjechała szybką windą na samą górę i wysiadła w barze urządzonego w stylu art deco, z widokiem na Szanghaj, zapierającym dech w piersiach.

Rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie widziała Bennetta, więc usiadła przy stoliku i zamówiła martini z wódką.

– Z trzema oliwkami i serem pleśniowym – poinstruowała kelnera i dodała, że odpowiada jej martini bardzo wytrawne, z kroplą wermutu. Mary-Lou zawsze dobrze wiedziała, czego chce.

Popijała drinka i zastanawiała się, jak w rozmowie z Bennetem poruszy sprawę naszyjnika. Właśnie podjęła decyzję, gdy zobaczyła, jak wchodzi do baru. Powiedział coś do ślicznej hostessy, która, co stwierdziła z irytacją, uśmiechnęła się do niego zalotnie i odprowadziła go do stolika. Zauważyła także, że spojrzał dziewczynie głęboko w oczy, i to wyprowadziło ją z równowagi.

– Przepraszam za spóźnienie. – Usiadł naprzeciwko niej. Nie pocałował jej, nie wziął za rękę, tylko uśmiechnął się ze znużeniem. – Korki – dorzucił.

Mary-Lou nie miała żadnych problemów z dotarciem na miejsce, ale przemilczała to, czekała, aż zamówił jacka danielsa z lodem. Odezwała się dopiero po odejściu kelnera.

– Mam pewien sekret – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Na pewno, tylko że mnie to nie dotyczy.

Zapalił papierosa, jej nie częstując. Zmarszczyła brwi. Coś jest nie tak.

– Może więc nic ci nie powiem – odparła, wyjęła swojego papierosa i ostentacyjnie czekała, aż poda jej ogień, co w końcu uczynił ze złośliwym uśmiechem.

– Dobrze, nie mów – rzucił. – To najlepszy sposób, by sekret pozostał sekretem.

– Owszem, tylko widzisz, ten dotyczy ciebie. I bardzo chciałbyś go poznać. – Nie wytrzymała dłużej, wyjęła telefon komórkowy i położyła na stole między nimi. – Spójrz na te zdjęcia – poprosiła.

– Chyba się zdziwisz.

Bennett upił łyk whisky i nie patrzył na telefon.

– No, dalej – ponaglała go. – Zapewniam, że to, co zobaczysz, przypadnie ci do gustu.

Z westchnieniem wcisnął odpowiedni guzik. Na wyświetlaczu pojawiło się nieostre zdjęcie naszyjnika.

– Co to jest, nic tu nie widać – zachnął się zirytowany.

– Przesuń na następne.

Posłuchał i tym razem naszyjnik był dobrze widoczny. Przyglądał mu się przez chwilę, potem zamknął telefon i oddał Mary-Lou.

– No i? – zapytał. Rozsiadł się wygodnie i sięgnął po burbona.

Mary-Lou oparła łokcie na stole i pochyliła się w jego stronę. Popatrzyła wokół, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, i zaczęła cicho:

– Ten naszyjnik to oryginał. Nie dość, że są w nim klejnoty warte majątek, to jego pochodzenie sprawia, że zainteresowany kolekcjoner zapłaci jeszcze więcej.

Odsunęła się, czekała, aż wykaże zainteresowanie i entuzjazm. Na darmo. Bennett spojrzął na nią chłodno i zapytał:

– Więc?

– Opowiem ci coś. – Czowała się jak Szeherazada, gdy opowiadała historię perły cesarzowej Smoczy. – Wiem, gdzie jest ten naszyjnik – dodała na zakończenie. – Mogę go mieć jutro, pojutrze albo za tydzień, ale najpierw muszę znaleźć kupca. I to, mój drogi, zadanie dla ciebie. – Uśmiechnęła się triumfalnie.

Przyglądał się jej chłodno.

– Zakładam, że naszyjnik jest kradziony. Mary-Lou, chcesz, żebym został paserem?

– Nie paserem, współnikiem. – Mówiła teraz bardzo poważnie. – Ja mam towar, ty znajdziesz kupca. – Nie wspomniała o trzecim elemencie równania – małżeństwie – i nie robi tego, póki nie będą mieli kupca gotowego wypłacić odpowiednią sumę.

Bennett wzruszył ramionami.

– Nie interesują mnie takie interesy, mam własną firmę.

Wiedziała wszystko o jego tak zwanej firmie, przeprowadziła prywatne dochodzenie. Eksport mebli to był pomysł i inicjatywa Yuanów, ale teraz, po śmierci córki, coraz mocniej zaciskali sakiewkę z pieniędzmi. Bennett dużo wydawał, potrzebował pieniędzy na wystawny tryb życia, jak ona. Pasują do siebie.

– Bennett, dzięki temu naszyjnikowi oboje możemy stać się bardzo, bardzo bogaci. Nigdy w życiu nie będziesz musiał myśleć o meblach. Ja mam towar, ty znajdziesz kupca, dzielimy się po połowie.

Dopił drinka, skinął na kelnera, by podał mu następnego.

– Widziałem zdjęcie, słyszałem bajkę. Skąd mam wiedzieć, że to prawda i ten naszyjnik naprawdę istnieje?

Mary-Lou potrząsnęła ciemnymi włosami i posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

– Cóż, mój drogi, musisz po prostu mi zaufać.

Rozdział 10

Bennett uważał, że Mary-Lou jest piękna, seksowna i zabawna, ale dla niego była przystawką, smakowitą i odpowiednią do drinka. Danie główne musi oferować coś więcej niż wygląd. Myślał, że żeniąc się z Aną Yuan, oczywiście dla pieniędzy, dopiął swego. A jednak, mimo starannego planowania, wszystko poszło nie tak. Był przybłądą w domu bogatych Yuanów. Tym razem musi poszukać dziedziczki bez rodziny. I upewnić się, że pieniądze są w jej rękach, zanim się z nią ożeni.

Jego żona nie żyła od ponad pół roku. Teraz zabijał tylko czas, zastanawiał się, co robić dalej. Mary-Lou stanowiła uroczą rozrywkę, ale pora wyruszyć w dalszą drogę i tego wieczoru chciał jej to powiedzieć. Teraz jednak wyskoczyła z tym naszyjnikiem, przy czym cały jej plan opierał się na niewyraźnym zdjęciu i fantastycznej opowieści. Opowieści, która do niego przemawiała, choć wątpił w jej autentyczność.

– Kto właściwie ma ten naszyjnik? – Wyjął kostkę lodu z kryształowego pojemnika i wrzucił do swego drinka.

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi.

– Oczekujesz, że sprzedam dla ciebie te klejnoty, nie wiedząc, skąd pochodzą? Daj spokój, Mary-Lou, żaden przestępca w tym mieście nie zgodzi się na coś takiego. Jaką mogę mieć pewność, że nie zabijesz kogoś, byle zdobyć ten naszyjnik?

Jej bursztynowo nakrapiane oczy stały się lodowate jak jego burbon.

– Jeśli będę musiała, zrobię to – powiedziała.

Bennett usiadł wygodnie i podniósł szklankę. Może Mary-Lou ma twarz anioła, ale serce ze stali i to mu się podobało. Byli do siebie bardzo podobni pod wieloma względami. Upił łyk burbona, nie spuszczać z niej oczu.

– Nadal nie jestem przekonany – stwierdził. – Zresztą nie zgodzę się na współpracę, póki się nie dowiem, gdzie jest naszyjnik i kto go ma.

– Tego ci nie powiem. – Choć uparta, czuł, że miękła. Pochylił się nad stolikiem i wziął ją za rękę.

– Posłuchaj, kochanie – zaczął tonem pełnym wyższości, który znała, słyszała go w głosie innych bogatych mężczyzn, którzy zostawiali ją i szukali następnej ślicznotki. – Żądasz, żebym poruszał się po omacku, być może narażał na więzienie, nie wiedząc, w co się pakuję. Zejdź na ziemię. Powiedz mi, jak się sprawy mają, albo pożegnajmy się, tu i teraz, póki było fajnie.

Pożegnajmy się, tu i teraz, podziałało na nią dokładnie tak, jak się tego spodziewał, jej piękne oczy wypełniły się łzami, kurczowo ścisnęła jego rękę.

– Nie mów tak – szepnęła. – Proszę, Bennett, nie mów tak. Wysłwobodził dłoń z jej uścisku i odsunął się z lekkim wzruszeniem ramion.

– Prosisz o zbyt wiele – powiedział i skinął na kelnera, żeby przyniósł rachunek.

Słyszał, jak głęboko wciąga powietrze. A po chwili:

– Lily, moja współpracownica – wyznała. – To jej naszyjnik. Nie mam pojęcia, jakim cudem go zdobyła, ale wiem, że od pokoleń należał do jej rodziny. Dałabym sobie rękę uciąć, że jeszcze

niedawno go nie miała, btf na pewno sprzedałaby go wcześniej. Wiem tylko, że szuka kupca i dlatego ja... dlatego my musimy się włączyć do sprawy, zanim go sprzeda.

Bennett zadumał się nad Lily, którą Mary-Lou była gotowa zabić, żeby zdobyć klejnoty. Zastanawiał się, czy z Lily nie byłoby mu lepiej niż z Mary-Lou . W końcu Lily już ma naszyjnik, choć sądząc z opowieści Mary-Lou , władze skonfiskują go, gdy tylko wypłynie na powierzchnię. Warto dowiedzieć się czegoś więcej.

– Chciałbym poznać Lily – oznajmił, płacąc rachunek i zostawiając spory napiwek. Choć brakowało mu pieniędzy, nigdy nie oszczędzał na napiwkach; przekonał się już, że to się opłaca, dzięki temu zawsze dostawał dobry stolik i najwyższej jakości obsługę, a to sprawiało dobre wrażenie.

Mary-Lou przyglądała mu się zaskoczona, nie pojmowała, dlaczego chciał poznać Lily. Jakby w odpowiedzi na pytanie, wyjaśnił:

– Muszę dokładnie wiedzieć, z kim się zadajemy, jeśli mam w to wejść. – Wstał i wyciągnął do niej rękę. – Chodź, współpracuj. Zadzwoń do Lily i zaproś ją na kolację.

Uśmiech Mary-Lou zdawał się rozświetlać cały bar, gdy powoli szli do windy.

Rozdział 11

Lily siedziała w ogrodzie i karmiła złote rybki. Ciszę zakłócał jedynie cichy szum wody spływającej po miedzianej płycie na murku, póki z błokiego nastroju nie wyrwał jej dźwięk telefonu. Zła, zastanawiała się, czy odebrać, ale na wyświetlaczu widniało imię Mary-Lou, więc z westchnieniem podniosła słuchawkę.

– Nie chcę teraz rozmawiać o interesach – oznajmiła krótko. – Czy to nie może poczekać do jutra?

– Och, Lily, ja też nie chcę rozmawiać o interesach. Chodzi o to, że poznałam kogoś wyjątkowego i chciałabym ci go przedstawić...

Głos Mary-Lou wręcz ociekał miodem i Lily domyślała się, że ów „ktoś” stoi tuż koło niej.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – powtórzyła. Wyobraziła sobie kieliszek chłodnego wina, który wypije na tarasie, wsłuchana w cichy dźwięk wietrznych dzwonek i szmer fontanny, pomyślała o kanarku w bambusowej klatce, który zawsze tak pięknie śpiewał, gdy koło niego siadała. Zapominała wówczas o zbezczeszczonych grobach i gniewie przodków, który bez wątpienia jej dosięgnie, gdy dowiedzą się, czym się zajmuje. Czasami wyrzuty sumienia nie pozwalały jej spać w nocy, ale jej mottem było bogactwo za wszelką cenę i tak jak Mary-Lou, kierowała się nim całe życie.

– Chcemy zaprosić cię na kolację. Proszę, Lily, to ważne.

Może dla ciebie, pomyślała Lily, ale Mary-Lou wydawała się bardzo przejęta, zależało jej na zgodzie przyjaciółki.

– No dobrze – uległa. – Powiedz, gdzie i kiedy.

– We włoskiej restauracji w hotelu Grand Hyatt, za pół godziny.

– Czterdzieści pięć minut – poprawiła Lily, myśląc o ulicznych korkach.

W rzeczywistości spotkali się dopiero godzinę później. Mary-Lou i Bennett już na nią czekali, siedzieli przy stoliku dyskretnie ukrytym za parawanem. Bennett specjalnie wybrał ten lokal – wiedział, że większość gości to cudzoziemcy, biznesmeni i turyści i mało prawdopodobne, by ktoś go rozpoznał.

Tego wieczoru Lily wystąpiła w zielonej tradycyjnej chińskiej sukni do kolan, która odsłaniała jej zgrabne nogi, i dobrała do niej pasującą staroświecką torebkę wyszywaną jadeitem i koralikami. Sprawiała wrażenie osoby opanowanej i pewnej siebie, choć wcale tak się nie czuła. Już żałowała, że zadała sobie tyle trudu, by się wyszykować i przebić przez tunel pod rzeką do dzielnicy Pudong tylko po to, żeby poznać najnowszą zdobycz Mary-Lou. Wolałaby zostać w domu, na małym tarasie, jedynie w towarzystwie własnych myśli.

Bennett wstał, gdy zbliżała się do stolika. Nie uśmiechała się. Przebiegło mu przez głowę, że w tradycyjnej chińskiej sukni wygląda jak kobieta biznesu, która usiłuje sprawiać wrażenie bardziej kobiecej. Tak, Lily Song to twarda sztuka, ale nie ma na świecie kobiety, która oparłaby się jego urokowi.

– Lily – powitał ją z uśmiechem, głęboko zaglądając w oczy, jak zawsze, gdy rozmawiał z

kobietą. – Mary-Lou tylemi o tobie opowiadała, że wydaje mi się, że już cię znam, choć powiem szczerze, nie przypuszczałem, że jesteś taka piękna.

Sceptycznie uniosła ciemną brew i przyglądała mu się uważnie, gdy odrobinę dłużej niż było trzeba przytrzymała jej rękę w swojej dłoni. Zawodowy uwodziciel, orzekła, dokładnie taki typ, który podoba się Mary-Lou .

Mary-Lou obserwowała ich niespokojnie. Lily chyba nie rozpoznała Bennetta Yuana – a zatem jest jedyną kobietą w Szanghaju, której to się przydarzyło. No, ale Lily rzadko ogląda telewizję i nie zwraca sobie głowy wiadomościami; za bardzo pochłaniają ją interesy.

– Bennett Yuan – przedstawiła swego towarzysza i dostrzegła w oczach Lily charakterystyczny błysk na dźwięk jego nazwiska. Więc jednak się myliła i nawet Lily słyszała o tragicznej śmierci Any Yuan.

– Dobry wieczór, panie Yuan. – Lily wyjęła rękę z jego dłoni. Słyszała o tej sprawie i nie zapomniiała, że od śmierci jego żony minęło zaledwie pół roku. Zerknęła ukradkiem na Mary-Lou , ciekawa, co też przyjaciółka ma wspólnego z niedawno owdowiałym mężczyzną.

– Bennett mnie uratował, gdy ukradziono mi samochód – zaczęła Mary-Lou . – Pamiętasz, opowiadałam ci o tym.

– Ach, rzeczywiście, przypominam sobie.

Zapytał, czego się napije. Wybrała wodę San Pellegrini z plasterkiem cytryny. Po chwili zjawił się kelner z kartami dań. Wyrecytował specjały dnia i rozmowa przeszła na tematy kulinarne.

Później Bennett starał się ją oczarować: wypytywał o dom w dzielnicy Koncesji Francuskiej, twierdził, że zawsze chciał tam mieszkać, bo interesuje się historią francuskich kolonii w Chinach.

– Ja też – przytaknęła Lily. – Zwłaszcza że moja matka była Francuzką. To znaczy jej rodzice pochodzili z USA i Austrii, ale urodziła się i dorastała w Paryżu, i zawsze uważała się za Francuzkę.

Bennett zamówił dobre włoskie wino, chianti z winnicy Frescobaldi. Kelner napełnił ich kieliszki i Lily podniosła swój do ust. Z niewiadomego powodu Mary-Lou była spięta, obserwowała Bennetta jak pies myśliwski, gotów do biegu, on tymczasem bawił się w gawędziarza, swobodnie rozprawiał o Paryżu, Szanghaju i Nowym Jorku.

– Skoro pani matka mieszkała w Paryżu, zapewne dobrze pani zna to miasto – stwierdził, ale Lily wyjaśniła, że nigdy tam nie była i nagle złapała się na tym, że opowiada mu historię rodzinną o matce, która uciekła z domu, żeby wyjść za Henry’ego Songa.

– To nie był najlepszy pomysł – podsumowała ironicznie. – Ale też moja mama nigdy nie grzeszyła inteligencją. Wydaje mi się, że jej ojciec bardzo ją rozpuścił i zawsze dostawała to, czego chciała. I nic się pod tym względem nie zmieniło – dodała z ponurym uśmiechem. – Powinna była zostać z rodziną Hennessych. Opowiadała, że są bogaci. Babka miała podobno zamek w Austrii, wspaniałe zabytkowe meble i obrazy, no i oczywiście antykwariat. Szkoda, że z tego zrezygnowała.

– I to wszystko nadal tam jest? – Bennett machinalnie grzebał widelcem w branzino. – Antykwariat? Zamek?

– Chyba tak. Wówczas nazywał się Antykwariat Hennessy’ego, teraz może zmieniono nazwę. Mieścił się przy rue Jacob. Moja mama miała siostrę, która wyszła za mąż i urodziła córkę, młodszą ode mnie. Rodzina babki była bogata. Zakładam, że wszystko odziedziczyła owa kuzynka. Zamek w Austrii także. – Spojrzała znacząco na Bennetta, pomyślała o jego związku z bogatą Aną Yuan i dodała złośliwie, obserwując z ukosa Mary-Lou. – Nazywa się Precious Rafferty. Może odwiedzi ją pan podczas następnej wizyty w Paryżu? Podobno lubi pan kobiety z pieniędzmi.

Mary-Lou z całej siły kopnęła japońskim stołem, ale Bennett tylko się roześmiał i stwierdził, że to żadna przyjemność zadawać się z ludźmi bez pieniędzy. Przecież tacy w niczym ci nie pomogą.

– Widzę, że pani i ja jesteśmy bardzo podobni, Lily – oznajmił z podziwem. – Samodzielni i skupieni na podobnym celu.

– Wzbogacić się – dokończyła Lily i wzniosła kieliszek, patrząc na Mary-Lou. To ich stara mantra.

Bennett także upił łyk wina, ale pomyślał, że w jej zdaniu zabrakło słów „za wszelką cenę”.

Dumał o naszyjniku, który jakoby odziedziczyła Lily, ciekaw, czy to prawda, czy po prostu go ukradła. Historia Mary-Lou była tak nieprawdopodobna, że z trudem mu przychodziło w nią uwierzyć, i choć desperacko potrzebował gotówki, nie uśmiechała mu się myśl o handlu kradzionymi klejnotami. Wolał myśleć o Paryżu i dziedzicze fortuny Hennessych, tej, która przejęła cały majątek i zamek. Tak, dziedziczka to coś bardziej w jego stylu.

Wymawiając się zmęczeniem, Lily pożegnała się przed deserem. Podziękowała Bennettowi, który znowu odrobinę za długo przytrzymał jej dłoń. Podejrzewała, że postępuje tak wobec wszystkich kobiet, nieważne, starych czy młodych, ładnych czy brzydkich. Sprawdza, czy jego urok ciągle działa. Wyraził nadzieję, że wkrótce znowu się spotkają. Mary-Lou uparła się, że odprowadzi ją do drzwi.

– No i? – zapytała z błyszczącymi oczami. – Co ty na to?

– To wdowiec po Anie Yuan. Uważam, że od jej tragicznej śmierci upłynęło zbyt mało czasu, by umawiał się na randki, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ale chyba nie chcesz – dodała, widząc minę przyjaciółki.

– Nie oczekujesz chyba, żeby taki mężczyzna siedział sam w domu! On potrzebuje kobiety...

– Na pewno. – Lily nagle spoważniała. – Ale zastanów się, czy ty potrzebujesz mężczyzny takiego jak on? – Z tymi słowami wsiadła do windy i już jej nie było.

Mary-Lou wróciła do stolika, ale Bennett już uregulował rachunek i był gotów do wyjścia. Myślała, że posiedzą jeszcze chwilę, popijając drinki i kawę, on jednak się spieszył.

Chce mnie zaciągnąć do łóżka, pomyślała i przeszył ją dreszcz, jak zawsze na myśl o seksie z Bennettem.

Ale nie, wysadził ją przed jej domem, cmoknął od niechcienia i powiedział, że jest zmęczony i musi się wyspać.

– Musimy porozmawiać – upierała się rozpaczliwie.

– Nie dzisiaj. Zadzwoń – powiedział, wsiadł do samochodu, pomachał jej i odjechał.

Odprowadziła spojrzeniem jego samochód na zatłoczonej ulicy Bund i nagle poczuła się bardzo samotna. I pomyśleć, że wydawało jej się, że wieczór był bardzo udany: najpierw rozmowa o naszyjniku i jej propozycja współpracy, potem spotkanie z Lily. Oczywiście póki Lily nie palnęła, że Bennett powinien jechać do Paryża, bo lubi bogate kobiety. Chociaż to akurat prawda.

Następnego dnia nie zadzwonił. Ani później. A kiedy ona dzwoniła, nie odbierał telefonu. Mary-Lou nie wiedziała, co robić. Bennett był jej jedyną nadzieją. A poza tym była w nim zakochana.

Rozdział 12

Paryż

Preshy była szczęśliwa. Daria wybiera się z mężem do Paryża i choć Tom nie będzie miał czasu na spotkania, bardzo się cieszyła na kolację z przyjaciółką. Sylvie, niestety, do nich nie dołączy, bo jako szefowa kuchni musi pracować. Dwa lata temu otworzyła własną restaurację, w której postawiono na świeżość produktów. Odniosła błyskawiczny sukces.

Umówiły się o siódmej w Deux Magots, tuż przy bulwarze Saint Germain. Tam wypiją drinka i zdecydują, gdzie zjedzą kolację.

– Niech to będzie coś prostego – zażyczyła sobie Daria przez telefon i Preshy od razu wiedziała, dokąd ją zaprowadzi.

I znowu wystroiła się w nieśmiertelną małą czarną, buty na obcasie, brylanty bogaczki. Spóźniona jak zwykle, wybiegła na ulicę. Dostrzegła mężczyznę zaglądającego w okno wystawowe. Stał do niej tyłem i szybko, zanim ją zauważył, upewniła się, że niebieskie światełko alarmu mruga normalnie, a potem pobiegła na spotkanie z Darią. Nie miała najmniejszego zamiaru otwierać wieczorem sklepu i dyskutować o antykach.

Deux Magots zawdzięczało nazwę dwóm wiekowym posążkom pulchnych chińskich agentów handlowych – właśnie *magots* – zdobiących wnętrze, jednak większość gości wybierała stoliki na zewnątrz, bo tam mogli bez przeszkód oddawać się narodowej rozrywce, czyli obserwowaniu innych. Stoliki zajmowały spory kawałek powierzchni, schodziły z bulwaru na brukowany kocimi łbami plac, na którym wznosił się skromny kościółek, najstarszy w Paryżu, Eglise de Saint-Germain-des-Prés.

Jak zwykle panował tu tłok, ale Daria zjawiła się na tyle wcześnie, że udało jej się zdobyć miejsca na chybotliwych krzeselkach. Zamówiła też domowego szampana, Monopole, którego podano równocześnie z nadejściem Preshy.

Cmoknęła Darię w policzek i stwierdziła:

– Wyglądasz dziś jak rodowita paryżanka.

– To fryzura. – Daria potrząsnęła głową i jasne włosy rozsypały się miękką falą.

– Boskie. Tylko pamiętaj, nigdy ich nie ścinaj.

– Och, sama nie wiem, czasami mam na to ochotę, ale Tom nigdy by mi tego nie wybaczył. W kółko powtarza, że zanim zakochał się we mnie, oszalał na punkcie moich włosów. – Daria z uśmiechem pochyliła się nad stolikiem. – I wiesz, co jeszcze powtarza? To akurat jest prawda. Nigdy tego nikomu nie mówiłam, bo chciałam, abyście myślały, że stracił dla mnie głowę od pierwszego wejrzenia. Tylko że tak naprawdę nie wierzę, że coś takiego istnieje.

– Co takiego straszego ci powiedział? – Preshy wzmocniła się łykiem szampana. Był orzeźwiający i chłodny. Daria zamówiła też oliwki; nie pasowały do szampana, ale przepadała za nimi.

– Stwierdził, że to niemożliwe, by ktoś się zakochał w tak rozpuszczonej chłopczycy jak ja.

Oczywiście powiedział to po tym, jak pokonałam go w softball, zmiotłam z kortu tenisowego i wygrałam wyścig pływacki w poprzek zatoki, na który mnie wyzwiał. O, i jeszcze rozebrałam go do slipków podczas rozbieranego pokera.

Preshy się roześmiała.

– Więc jakim cudem utrzymałaś go przy sobie?

– Spojrzałam na niego w tych slipach, był taki blady i profesorski i chyba troszeczkę zawstydzony, ale jednocześnie... bo ja wiem... Seksowny, i zapragnęłam go tak bardzo, że zrobiłabym wszystko, żeby go zatrzymać. Więc po prostu skapitulowałam, poddałam się na wszystkich frontach. Oto mój przepis na szczęśliwe małżeństwo: niech on wygrywa. We wszystkie możliwe gry: backgammona, szachy, pokera, tenisa. I on wygrywa. Poza pływaniem. Musi myśleć, że w czymś jestem od niego lepsza, inaczej może przestałby mnie kochać.

Śmiały się, popijały szampana i jadły ciemnozielone nicejskie oliwki. Szczupła twarz Darii, ciągle opalona po kilku tygodniach na przylądku Cod, smaganym wiatrami, była ożywiona, jej oczy lśniły. Odgarnęła włosy z czoła z błogim westchnieniem.

– Gdyby nie tęsknota za Super-dzieciakiem, mogłabym powiedzieć, że to chwila idealna: jestem razem z tobą w moim ukochanym mieście. – Wzięła Preshy za rękę. – Brakuje mi ciebie.

– Wiem. – Preshy odwzajemniła uścisk dłoni. – Mnie ciebie także. A przy okazji, rozmawiałaś dzisiaj z Super-dzieciakiem?

– Owszem... I oznajmiła, że nie musimy się spieszyć z powrotem, bo dziadkowie zabierają ją do Disney World. Jest za bardzo zajęta, by za mną tęsknić. Tom stwierdził, że wiedział, że nadchodzi taka chwila, że rodzice okazują się niepotrzebni, ale nie sądził, że już u trzylatków. Gdzie pójdziemy na kolację?

– Pomyślałam o La Coupole. To skromna...

– Nie mam nic przeciwko temu.

La Coupole to najbardziej paryska restauracja, jaką sobie można wyobrazić. Lokal otwarto w latach dwudziestych; duży i przestronny, wsparty na potężnych kolumnach, zdobionych dziełami przymierających głodem artystów z Montparnasse'u. Na ścianach kusiły oko barwne freski, oświetlone żyrandolami w stylu art deco. Stoliki przykryte białymi obrusami tłoczyły się jeden obok drugiego niedaleko słynnego baru. W lokalu prawie zawsze panował tłok: aktorzy, politycy, dziennikarze, modelki, zwyczajni paryżanie i turyści siadywali tu obok siebie. Preshy uznała, że to odpowiedni lokal, jeśli się ma ochotę na prosty posiłek i obserwowanie innych, i dlatego przyszły właśnie tutaj.

Jak na paryski wieczór, było jeszcze wcześniej; lokal świecił pustkami. Kelner zaprowadził je do jednego ze stolików pod ścianą, stojących tak blisko siebie, że bez wysiłku słyszało się każde słowo rozmowy sąsiadów. Daria zamówiła rybę, Preshy – steak frites. Popijały czerwone wino, opowiadały sobie najnowsze wydarzenia ze swego życia i znajomych z Bostonu, aż nagle Daria trąciła ją mocno łokciem.

– Zobacz, kto idzie w naszą stronę – wycodziła przez zęby. Preshy podążyła za jej wzrokiem i go zobaczyła. Wysoki, śniady i przystojny jak model Armaniego, ucieleśnienie marzeń każdej kobiety. I wtedy odwrócił się i spojrzał na nią. Wydawało się, że jego ciemnoniebieskie spojrzenie dosłownie zderza się z jej wzrokiem. Miała wrażenie, że wciąga ją w ciemny błękit swoich oczu, wchłaniają, nie pozwala odejść. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale Preshy przeszył dreszcz, gdy w końcu oderwała od niego spojrzenie.

Szef sali wskazywał mu stolik w przeciwnym krańcu, on jednak powiedział głośno:

– Nie, ten mi odpowiada. – I usiadł tuż obok nich.

Piła wino, nie patrząc na mężczyznę, ale i tak ładunki elektryczne zdawały się przepływać między nimi. Był tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by go dotknąć.

– *Bonsoir, mesdames* – powiedział grzecznie, jak każdy uprzejmy Francuz, gdy znajdzie się tak blisko nieznanym w restauracji, jednak akcent zdradzał, że to Amerykanin.

– *Bonsoir, m 'sieur* – odpowiedziały. Daria szturchnęła ją znacząco.

– Uśmiechnij się do niego – szepnęła, gdy podano im jedzenie.

– Przepraszam bardzo – odezwał się nieznanym. – Nie chciałbym przeszkadzać, ale nie wiem, co zamówić, a to, co pani ma na talerzu, wygląda bardzo apetycznie. Co to jest?

Ponieważ od razu było widać, że jadła stek z frytkami, Preshy spojrzała na niego kpiąco. Zalotnie odrzuciła na plecy długie miedzianozłote loki i dziękowała losowi za to, że włożyła małą czarną.

– Bennett James – przedstawił się nieznanym. – Przyjechałem do Paryża w interesach.

– A skąd? – zainteresowała się Preshy.

– Z Szanghaju. – Zmarszczył brwi. – Kawał drogi stąd.

– Z Szanghaju? – powtórzyła zdumiona. – Mam tam kuzynkę. Nigdy jej nie widziałam. Nazywa się Lily Song.

Bennett James wzruszył ramionami.

– Szanghaj to wielkie miasto – stwierdził poważnie i Preshy zrobiło się głupio, że w ogóle przyszło jej na myśl, że może znać jej kuzynkę.

– A pani to... ?

– Precious Rafferty. – Zarumieniła się, mówiąc to, i szybko dodała: – Ale kiedy miałam dziewięć lat, skróciłam sobie imię do Preshy.

– Nie dziwię się – odparł i wszyscy się roześmieli.

Preshy przedstawiła Darię, która namawiała go na stek z frytkami, jeśli szuka pociechy w jedzeniu, więc posłuchał jej, zamówił też butelkę czerwonego wina. Gawędzili o Bostonie i Paryżu, natomiast rzadko wspominali o Szanghaju, bo Bennett stwierdził, że jest na wakacjach w najwspanialszym mieście świata. Powiedział jednak, że prowadzi firmę eksportową, która rozrasta się za szybko, by sam dawał sobie radę, i szuka nowych menedżerów.

Uniósł kieliszek wina i znad jego krawędzi znowu spojrzał Preshy w oczy i znowu połączył ich elektryczny błysk przyciągania.

Daria dźgnęła ją w bok. Spojrzała na nią dyskretnie. Przyjaciółka uśmiechała się od ucha do ucha, gdy mówiła:

– Skarbie, bardzo mi przykro, ale muszę lecieć. Obiecałam Tomowi, że wrócę przed dziewiątą.

Podniosła torbę i jasnoniebieski zakiet ze złotymi guzikami – dama w każdym calu – i wstała.

– Zostawiasz mnie z nim – szepnęła Preshy, gdy przyjaciółka całowała ją na pożegnanie.

– Oczywiście – odparła Daria również szeptem. Bennett James uniósł się z krzesła.

– Cieszę się, że cię poznałem, Dario – powiedział, patrząc na nią intensywnie niebieskimi oczami.

Skinęła głową.

– Miłego pobytu w Paryżu – rzuciła, pomachała i odeszła, przeciskając się między zajętymi już stolikami.

Preshy ogarnęła paniką, poczuła strumień gorąca; została sam na sam z mężczyzną, którego dopiero co poznała, a który bardzo ją pociągał. Czy ma się grzecznie pożegnać, jak Daria, podać mu numer telefonu i przez następny tydzień warować przy aparacie w nadziei, że zadzwoni? Czy może zdać się na instynkt, który kazał jej iść z nim, może nawet do łóżka? To szaleństwo; przecież nie sypia z każdym, a jego prawie nie zna.

Poczuła na sobie jego wzrok i spojrzała mu w oczy. Miała wrażenie, że jej dotyka.

W końcu zapytał:

– Płynęłaś kiedyś łodzią wycieczkową po Sekwanie? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To rozrywka dla turystów. Uśmiechnął się.

– Więc zabaw się w turystkę. Dla mnie. Obejrzymy Paryż nocą z perspektywy rzeki. Czy istnieje coś piękniejszego?

Wziął ją za rękę. Jego dłoń była ciepła, gładka i opalona. Smuga ciemnych włosów prowadziła do mankietu spiętego drogą spinką ze złota i emalii i prostego złotego zegarka. Prąd przenikał Preshy od stóp do głów.

– Dobrze – szepnęła.

– Świetnie! – Poprosił o rachunek, zbył machnięciem ręki jej protesty i zapłacił też za nią i za Darię.

– Po prostu się cieszę, że cię poznałem – powiedział i znowu zamknął ją w błękitnym spojrzeniu.

Rozdział 13

Siedząc obok niego w taksówce do Pont de'Alma, Preshy zastanawiała się, czy spróbuje ją pocałować. A jeśli tak, czy mu na to pozwoli? Co sobie o niej pomyśli? Jednak, ku jej zdumieniu, wcale nie próbował. Ba, siedział w pewnej odległości od niej i wypełniał ciszę pytaniami o Paryż i jej życie tutaj.

– Nie mam pojęcia o antykach – stwierdził, gdy taksówka wreszcie zatrzymała się przy nabrzeżu.
– Musisz mnie wprowadzić w tajniki.

Czy to oznacza, że chce się z nią jeszcze spotkać, zastanawiała się, idąc z nim w stronę jasno oświetlonego stateczku, *bateau mouche*.

Stateczek odbił od brzegu i płynął po Sekwanie. Bennett zaprowadził Preshy na rufę. Reflektory wyczarowywały z ciemności magiczną scenerię, gdy przepływali pod najpiękniejszymi mostami Paryża, mijali imponujące budynki użyteczności publicznej, białą kopułę Sacre-Coeur i potężną bryłę Notre-Dame.

Preshy nigdy nie widziała Paryża z tej perspektywy.

– Fantastyczne – szepnęła i odruchowo sięgnęła po dłoń Bennetta. Jego usta były tuż przy jej uchu, gdy szeptał:

– Muszę ci coś wyznać. Zdziwiła się.

– Znamy się zaledwie kilka godzin, niby co miałbyś mi wyznać?

– Widziałem cię już wcześniej, przed La Coupole. Zaglądałem do antykwariatu. Moją uwagę zwróciły twoje włosy. – Wziął w palce długi miedziany kosmyk. – Nie dostrzegłem twojej twarzy, odeszłaś tak szybko, więc... No cóż, poszedłem za tobą. – Roześmiał się pod nosem. – Przysięgam, nigdy w życiu nie śledziłem kobiety, ale było w tobie coś takiego, nie wiem, energiczny krok i włosy rozwiane na wietrze... W każdym razie usiadłem koło was w Deux Magots. I zobaczyłem twoją twarz. Dziwię się, że nie poczułaś na sobie mojego spojrzenia – dodał. – Gapiłem się bez przerwy. Właśnie zbierałem się na odwagę, by podejść i zagaić... cóż, spróbować cię poderwać – przyznał z uśmiechem. – I wtedy usłyszałem, że się wybieracie do la Coupole. Więc znowu za wami pojechałem. Szczęście mnie nie opuszczało, udało mi się usiąść koło was. – Wzruszył ramionami. – Teraz oczywiście zmienisz o mnie zdanie. Ale jako uczciwy człowiek musiałem ci o tym powiedzieć.

Preshy w życiu nie przydarzyło się nic równie romantycznego i była oszołomiona.

– Pochlebiasz mi – odparła miękko. – Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek śledził mnie wielbiciel.

– I mam nadzieję, że już nigdy ci się to nie zdarzy – odparł. A potem, gdy stateczek w ciszy wpłynął pod ciemny most, pochylił się i ją pocałował.

Usta Preshy zdrząły pod dotykiem jego warg, choć nie był to namiętny pocałunek, emanował raczej pytającą czułością. Bennett James wiedział chyba, że nie ma sensu się spieszyć; powstrzymywał się, dawał jej czas, żeby przywykła do nowej sytuacji. Była mu wdzięczna, że wyczuł, iż nie należy do kobiet, które od razu idą z kimś do łóżka. Potrzebowała czułości, czasu i romansu.

Oczarowani magią Paryża widzianego z rzeki, oszołomieni pocałunkiem, wrócili taksówką do Deux Magots na pożegnalną lampkę szampana, gawędzili i obserwowali ulicznych artystów: akrobatów i żonglerów w fantastycznych strojach, słuchali fałszowania samotnego gitarzysty, brzdąkającego flamenco. A później Bennett odprowadził ją na rue Jacob.

Stali na podwórku, twarzami do siebie. Wziął ją za rękę i Preshy znowu przeszył elektryzujący dreszcz. Patrzyła na jego pięknie wyrzeźbioną twarz: w życiu nie widziała równie przystojnego mężczyzny.

– Jeszcze nigdy Paryż tak mi się nie podobał – stwierdził Bennett. – Dziękuję za czarujący wieczór.

– Dziękuję za to, że mnie poderwałeś.

– Czy mogłabyś... – zawahał się. – Czy mogę prosić o twój numer telefonu?

Preshy gorączkowo szukała w torebce wizytówki, ale oczywiście nie mogła jej znaleźć, więc nabazgrała numer konturówką do ust na chusteczce i podała mu.

Pokręcił głową z uśmiechem:

– Jaka bizneswoman chodzi bez wizytówki?

– Nie jestem prawdziwą kobietą interesu, ja po prostu kocham antyki.

Skinął głową, ale nie pocałował jej, jak tego oczekiwała, tylko delikatnie dotknął palcem jej ust.

– Zadzwoń – obiecał, odwrócił się i odszedł.

Ledwie zamknęła się za nim furka, Preshy wbiegła na schody i zaczęła mocować się z zamkiem. W mieszkaniu rzuciła się do okna, chcąc go jeszcze zobaczyć, ale już zniknął. Opadła na kanapę i spojrzała na automatyczną sekretarkę. Czekala na nią tylko jedna wiadomość.

– Zadzwoń, jak tylko wrócisz – prosiła Daria. Wybrała jej numer.

Przyjaciółka od razu podniosła słuchawkę.

– Nie mogłam zasnąć, cały czas o tobie myślałam – zaczęła bez wstępów. – Opowiadaj, jak było.

– Och, Dario... – Głos Preshy drżał. – Chyba straciłam głowę.

Rozdział 14

Telefon zadzwonił o dziesiątej następnego ranka. Preshy natychmiast podniosła słuchawkę.

– Halo? – Miała nadzieję, że to on, ale jednocześnie zdziwiła się, słysząc jego głos.

– Preshy, tu Bennert.

– Och... Bennert... cześć... Ja... To znaczy... Jak się masz? – Wzięła się w garść i dodała: – Mam nadzieję, że dobrze spałeś – i zaraz tego pożałowała, bo uznała, że zabrzmiało, jakby ciągle o nim myślała – co akurat było prawdą, ale nie chciała, by się domyślił.

– Nie najlepiej – odparł. – Cały czas myślałem o tobie. Tym razem naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Posłuchaj, Preshy, jutro wracam do Szanghaju. Zjesz dziś ze mną kolację?

– Dzisiaj? Ależ tak, bardzo chętnie.

– Powiedz gdzie, zarezerwuję stolik.

Zastanowiła się szybko. Wraca do Szanghaju; może już nigdy go nie zobaczy; może dla niego będzie tylko paryskim wspomnieniem..

– Nie, ja zarezerwuję stolik – zdecydowała. – Przyjdź po mnie o ósmej.

– Dobrze, o ósmej. Już się nie mogę doczekać.

– Mhm, ja też. Do zobaczenia.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Zabierze go do Verlaine. Sylvie jej dopilnuje. Nie pozwoli, by wpakowała się w kłopoty.

Verlaine to jedno z małych bistro ukrytych w wąskich, cienistych uliczkach niedaleko kościoła Saint Suplice w dzielnicy Saint Germain. Zamglone lustra na ścianach odbijały różowy blask mlecznych kloszy, ciemnozielone zasłony odgradzały wnętrze od ciekawskich spojrzeń z zewnątrz i nadawały sali restauracyjnej przytulną atmosferę. Lokal emanował prostotą: jasnozielony len, lampki na stolikach, złożone krzesła z zielonym obiciem. W progu witał gości piękny bukiet polnych kwiatów. W zależności od pory roku były to stokrotki, słoneczniki, lilie, bez, zawsze świeże, zerwane na zalanej słońcem łące. Właśnie świeżość i sezonowość wykorzystywanych składników wprawiała klientów w zachwyt i skłaniały do powrotu.

Sylvie, mała, okrągła, o pogodnych piwnych oczach, z krótkimi ciemnymi włosami, potrafiła wybuchnąć, gdy się rozzłościła, a w jej pracy, jako właścicielki i szefowej kuchni bistra Verlaine, do wybuchów dochodziło często. Pomocnicy kuchenni byli zmorą jej życia; podejrzewała, że odwzajemniają to uczucie, bo, co oznajmiała im głośno, często i szczerze, żaden z nich nie spełniał jej wysokich wymagań.

W Verlaine każde danie musiało udać się idealnie: doskonałe składniki, doskonała kuchnia i oczywiście doskonały serwis. A to nie oznaczało gigantycznych porcji ani mikroskopijnych kawałeczków na wielkim talerzu, nie sprowadzało się też do skrapiania wszystkiego oliwą z oliwek z pierwszego tłoczenia, co zabija smak poszczególnych składników potrawy.

W każdym razie tego wieczoru postanowiła przejść samą siebie. Preshy przyprowadzi mężczyznę – co prawda nie narzeczonego, zna go zaledwie od wczoraj, a jutro facet wyjeżdża do Szanghaju. Jej

zdaniem to kiepskie perspektywy na przyszłość, ale Daria mówiła, że jest boski, Preshy najwyraźniej traciła dla niego głowę i Sylvie uznała, że warto mu się dokładnie przyjrzeć. Szanghaj i Paryż dzieli kawał świata. Bogaty biznesmen może spokojnie pozwolić tu sobie na chwilę zapomnienia i zaraz wyjechać i zapomnieć, ale Sylvie nie dopuści, by tak potraktowano jej przyjaciółkę.

Przyszli o wpół do dziewiątej, potargani wiatrem i zmoczeni nieoczekiwanym deszczem.

– Witajcie! – Podeszła do nich w nieskazitelnie białym fartuchu. Zarumieniona, roześmiana Preshy przedstawiła jej Bennetta. Mocno uściśnął jej dłoń. Uśmiechał się, ale nie przesadnie. Nie próbuje za wszelką cenę się ze mną zaprzyjaźnić, oceniła Sylvie.

Posadziła ich przy spokojnym stoliku w rogu sali, powiedziała, że nie mają nic do gadania, bo to ona wybiera dania za nich i nie chce słyszeć słowa skargi. Najpierw kazała podać butelkę schłodzonego szampana Heideck Rose Sauvage i miniaturowe roladki z liści szpinaku faszerowanych krabami, a potem poszła do kuchni, gdzie atmosfera się zagęszczała, bo w restauracji przybywało gości.

Nie panikowała, przywykła do pozornego chaosu w restauracyjnej kuchni. Fachowym okiem oceniła, czy wszyscy są na miejscach, a kuchcikowie z zapalem siekają, mieszają, gotują i smażą. Skrytykowała co bardziej opieszalszych, a potem sama stanęła przy kuchni i zabrała się do przygotowania posiłku życia Jamesa Bennetta. Ciekawe, co powie na jej popis. Wtedy będzie mogła właściwie go ocenić.

Pierwsze danie – ravioli z homarem. Dyskretnie wyjrzała z kuchni. Siedzieli teraz koło siebie na zielonej kanapce, nie naprzeciwko jak przedtem, i trzymali się za ręce. Ha! Sprawa wygląda poważnie.

– Uroczą – stwierdził Bennett później. Patrzył, jak Sylvie krząta się między stolikami, rozmawia z gośćmi, kontroluje sytuację. – I do tego bosko gotuje. Gdzie się tego nauczyła?

– Nie uwierzysz, ale zainteresowała się gotowaniem pewnego lata, gdy była u rodziny Darii na przylądku Cod. Jeździliśmy tam co roku. Sylvie zatrudniła się w lokalnej knajpce. Co wieczór przynosiła resztki do domu, a następnego dnia wyczarowywała z nich pyszny lunch. Dodaj do tego jej grilla i wszystko jasne – my utyliśmy, a ona wiedziała, co chce robić w życiu. Nigdy nie żałowała tej decyzji.

– Fajnie. – Bennett uniósł jej dłoń do ust. Ich oczy się spotkały.

– Zapierasz mi dech w piersiach – szepnęła Preshy i zabrała rękę. – Muszę się napić.

– I wtedy odzyskasz oddech? – zapytał, dolewając prostego brouilly, które według Sylvie najbardziej pasowało do przystawki.

Preshy zadrzała, choć nie z zimna.

– Szczerze mówiąc, wcale tego nie chcę. – Uśmiechnęła się. – Podoba mi się stan bez tchu.

– A nie przeszkadza ci w jedzeniu? Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Nic mi nie przeszkadza w jedzeniu – odparła i wbiła zęby w wilgotnego, delikatnego kurczaka bresse. – Żaden inny kurczak na świecie nie smakuje równie wspaniale.

– Miło mi to słyszeć – rzuciła Sylvie, przechodząc. – Wszystko w porządku? – zapytała po francusku.

– Sylvie, to jest... – Bennettowi chyba zabrakło słów. – Boskie – powiedział. – W życiu nie jadłem nic równie dobrego.

– Nawet w Szanghaju? Słyszałam, że jedzenie jest tam pyszne, egzotyczne i nowatorskie.

– Ale inne. Może przeniosę się do Paryża, byle częściej tu jadać. Sylvie się rozpromieniła, słysząc ten komplement.

– Będiesz tu zawsze mile widziany – zapewniła, a gdy zajadali małe, pyszne sałatki, a później raczyli się serami, wróciła do kuchni i przygotowała najprostszy, najbardziej staroświecki francuski deser – pływające wyspy. Był to lekki krem z żółtek udekorowany delikatną masą z białek ubitych z

cukrem, z których łyżeczką robiło się wyspy i umieszczało na żółtkowym morzu. Zwieńczyła dzieło pokruszonymi pralinami. Deser był piękny i prosty, ale Sylvie wyczarowała cudowną mieszankę smaków i kolorów.

– Pływające wyspy! – zawołał Bennett. – Brzmi niemal jak w Chinach. Wiesz, Sylvie, zastanawiam się, czy cię nie porwać i nie zmusić do otwarcia restauracji w Szanghaju.

Roześmiali się. Sylvie z satysfakcją patrzyła na szczęśliwą Preshy. A Bennett nie odrywał od niej oczu. Sylvie nawet się dziwiła, że zdołali zjeść deser, tak bardzo byli pochłonięci sobą.

Później dołączyła do nich przy kawie i wspominały z Preshy wspólne wakacje z Darią na przylądku Cod.

– Musisz tam kiedyś ze mną pojechać – zwróciła się Preshy do Bennetta i zaraz, ledwie zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zaczęła się powoli wycofywać: – Choć na pewno nie masz czasu na takie wypadki.

– Znajdę czas – obiecał Bennett i posłał Preshy spojrzenie, które, co Sylvie już zauważyła, odbierało jej mowę.

Spojrzał na zegarek – drogi, co nie uszło uwagi Sylvie. Dobrze chociaż, że Preshy nie oszalała na punkcie biednego artysty, co już nieraz zdarzało się przyjaciółce szukającej miłości. Bennett James jest przystojny i bogaty.

Preshy powiedziała, że muszą iść, i wyszli po serdecznym pożegnaniu i obietnicy, że Bennett wróci. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Sylvie zadzwoniła do Darii.

– No i? – zapytała Amerykanka.

– Już za późno, wpadła po uszy.

– Tak źle?

– Wydaje się zbyt wspaniały, by był prawdziwy. Jedyne problemy to Szanghaj. Prawie dziesięć tysięcy kilometrów to kawał drogi.

– No tak, ale z tym zawsze można sobie poradzić – stwierdziła Daria i się roześmiała. – Słuchaj, zachowujemy się jak stare swatki, a przecież znają się zaledwie od dwudziestu czterech godzin.

– Może to wystarczy – mruknęła Syhde. Widziała, jak na siebie patrzyli.

Rozdział 15

Naprawdę ci się podobało? – zapytała Preshy, gdy wędrowali labiryntem wąskich uliczek w stronę rue Jacob.

– Było cudownie. – Bennett patrzył na nią. Krople deszczu zwilżyły jej włosy, oczy lśniły blaskiem akwamaryny. – Ale najpiękniejsze było przebywać z tobą dodał.

Uścisnęła jego dłoń.

– Dla mnie też – wyznała nieśmiało.

Nie zwracali uwagi na deszcz, zatrzymywali się przy jasno oświetlonych wystawach, krytykowali obrazy w oknach galerii, podziwiali starocie w antykwariatach i eleganckie kreacje w butikach. Gdy wreszcie stanęli na małym podwórku, tym razem Preshy zdobyła się na odwagę i zapytała, czy wejdzie na górę.

– Na kieliszek czegoś mocniejszego – dodała i roześmiała się, bo zabrzmiało to jak głupi pretekst i tak oczywiście było. Dzisiaj nie pozwoli mu uciec.

Bennett poszedł za nią i rozejrzał się po przytulnym mieszkanku, które stało się jej domem. Pomógł jej zdjąć mokry żakiet, ściągnął marynarkę i wziął ją w ramiona.

– Żadnego alkoholu – mruknął, zakładając jej wilgotne loki za uszy. – Tylko my, Preshy... Ty i ja... – Splotła mu ręce na szyi i czekała na pocałunek. – Czy tego chcesz, moja śliczna Preshy? – zapytał poważnie. – Nie chcę cię ponaglać.

Pokręciła głową, aż krople deszczu posypały się ze złotych włosów.

– Nie ponaglasz mnie. – Ich usta dzieliły zaledwie milimetry.

Zamknęła oczy, gdy ją pocałował. Kolana się pod nią ugięły, wtuliła się w niego, chłonęła jego zapach, dotyk, smak. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś tak wspaniałego, nie wiedziała, że można aż tak pragnąć, jednocześnie dawać i czerpać rozkosz. Zapomniała o całym świecie, gdy Bennett wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, ale wiedziała, że oto nadchodzi bardzo ważna chwila w jej życiu.

O świecie zapadła w ciężki sen. Nie słyszała, jak Bennett wstał, wziął prysznic, ubrał się i poszedł do saloniku. Przez kilka minut stał wpatrzony w okno i z marsem na czole zastanawiał się, jak to rozegrać.

Odwrócił się i spojrzał na kolekcję rodzinnych fotografii na kominku. Na jednym z nich dostrzegł zapewne ową bogatą ciotkę, po której według Lily Preshy wszystko odziedziczy, w kreacji z czerwonego szyfonu na gali na rzecz Czerwonego Krzyża w Monte Carlo. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem jego uwagę przykuła ślubna fotografia dziadka Hennessy'ego i jego austriackiej narzeczonej w tradycyjnym wianku. A na szyi miała naszyjnik z ogromną perłą. Więc jednak Mary-Lou nie zmyśliła tej historii o naszyjniku. Lily naprawdę go ma. Nagle wpadł na pewien pomysł. Może uda mu się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – zdobyć i dziedziczkę, i naszyjnik. Wsunął zdjęcie do kieszeni i wrócił do sypialni.

Preshy usłyszała, jak wymawia jej imię. Siedział na skraju łóżka, już ubrany.

– Muszę iść – powiedział. – Nie dlatego, że chcę, bo uwierz, nie mam na to ochoty, ale muszę

zdażyć na samolot.

– Oczywiście. – Usiadła pośpiesznie i otuliła się kołdrą, choć nie pojmowała, skąd ten przyływ skromności po ostatniej nocy.

Wsunął jej palec pod brodę i delikatnie odchylił głowę do tyłu.

– Wiesz, że wrócę – powiedział miękko. Skinęła głową, nagle przerażona, że tego nie zrobi.

– Preshy, naprawdę – zapewnił. – Wrócę do ciebie. – Pochylił się, pocałował ją delikatnie w usta, wstał, podszedł od drzwi. Odwrócił się i spojrzał na nią po raz ostatni. Siedziała nadal otulona kołdrą, z rozpaczą w okrągłych oczach.

– Wkrótce – zapewnił. – Obiecuję.

I już go nie było. Odleciał na drugi koniec świata, do Szanghaju.

Rozdział 16

Chiny

Lily ostrożnie prowadziła czarny wóz terenowy po wyboistej drodze na wąskiej górskiej przełęczy wysoko nad rzeką Jangcy. Minęła już północ i samochód otaczała owa nieprzenikniona, niemal namacalna ciemność jaką spotyka się tylko w odległych wiejskich zakątkach, z dala od miejskiej łuny. Padał deszcz. Światła reflektorów wyławiały z mroku jałowy nieprzyjazny krajobraz jak ze starożytnego chińskiego szkicu, przesycony szarością, z którą kontrastowała gęsta czerń drzew, szarpanych wiecznym wiatrem, i upiorna biel.

Niecierpliwie odgarnęła włosy z delikatnej twarzy. Wpatrywała się w deszcz, chcąc już dotrzeć do celu.

Siedząca obok Mary-Lou poprawiła na nosie okulary bez oprawek w których odbijały się światła reflektorów, i szukała wzrokiem jakiegoś charakterystycznego punktu, który oznajmiłby, że zbliżają się do celu ale jednocześnie myślała o czymś innym. Denerwowała się. Bennett nadal się do niej nie odezwał.

Obie miały na sobie dzinsy, czarne kurtki i wełniane czapki – wszystko dla ochrony przed lodowatym wiatrem. W kieszeni Mary-Lou spoczywał mały pistolet. Beretta. Oczywiście Lily nie miała o tym pojęcia ale Mary-Lou postanowiła, że gdyby wpadły w tarapaty, zrobi wszystko' by przynajmniej ona wyszła z tego cała.

Droga wiła się coraz wyżej, coraz dalej od rzeki, prześlizgiwała się między kępami powyginanych wiatrem drzew, między poletkami ryżu Lily widziała zarysy ubogich wiejskich domów. Zgasiła reflektory i na ślepo jechała przez uśpioną wioskę, w dół wzgórza, na cmentarzysko. Udzielono jej dobrych wskazówek, trafiła bez trudu.

Uzbrojeni strażnicy podnieśli strzelby na widok samochodu. Lily zatrąbiła trzykrotnie – był to umówiony sygnał, znak, by jej oczekiwali. Nieco dalej, koło muru, dostrzegła półciężarówkę i vana. Wyłączyła silnik. Wsiadły i na lodowatym wietrze czekały na znak, że mogą podejść. Zza półciężarówki wyłonił się mężczyzna. Skinął ręką, by się zbliżyły, i bacznie obserwował, czy nikt za nimi nie przyjechał. Działał w niebezpiecznej branży, konkurencja była zabójcza, a ostrożności nigdy za wiele.

Wskazał półciężarówkę z paką przykrytą brezentową płachtą i odrzucił materiał, by pokazać ukryte pod nim skarby. Opróżniał właśnie bardzo stary grobowiec i wydobyte zeń przedmioty – wazy, naczynia, posążki i biżuteria z jadeitu – nabierały dodatkowej wartości ze względu na wiek. Wiedział, ile są warte na czarnym rynku i ile może wyciągnąć z Lily Song, ale najpierw trzeba się było targować.

Chińczycy po mistrzowsku opanowali sztukę targowania; Lily nie była tu wyjątkiem. Zależało jej, by uzyskać dobrą cenę. Wybrały z Mary-Lou najciekawsze przedmioty, a potem wsiadła z mężczyzną do półciężarówki i zaczęła negocjacje.

Mary-Lou została na zewnątrz i czujnie obserwowała strażników. Gdy w końcu schronili się

przed wiatrem za wyłomem muru, chcąc zapalić papierosa, na palcach podeszła do cmentarzyska. Skryta w cieniu obserwowała, jak robotnicy wyważają drzwi do kolejnego grobowca. Rozejrzała się szybko i zaraz zobaczyła to, czego szukała – stertę przedmiotów, które czekały, by ktoś je zaniósł do samochodu. Schyliła się i podeszła bliżej. Błyskawicznie wzięła małą miseczkę. Choć jeszcze brudna i zakurzona, widać było, że to jadeit. Bardzo cenny.

Z sercem bijącym coraz szybciej z emocji, wsunęła skarb do kieszeni, obok pistoletu, i szybko wróciła do samochodu. Gdyby ją przyłapano, nie mogłaby liczyć na litość. Obie z Lily wylądowałyby z kulą w głowie na dnie rzeki. Mary-Lou wiedziała jednak, że jest bezpieczna.

W półciązarówce Lily wręczyła swojemu dostawcy plik banknotów. Przeliczył je, kręcąc głową z niesmakiem na myśl, że kobieta pokonała go w negocjacjach, i mruknął coś niezrozumiale na znak aprobaty.

Mary-Lou czekała. Kobiety załadowały zdobycz do samochodu.

Lily czuła na sobie gniewny wzrok dostawcy, kiedy odpalała silnik; widziała, jak strażnicy podnoszą broń i przyglądają im się uważnie, gdy ich mijały. Spocona jak mysz, już niemal czuła, jak grad kul obsypuje samochód, ale nic takiego się nie stało. Lily Song to dobra klientka; płaciła gotówką i dostawca liczył na dalszą współpracę. Może kiedyś ją zabije, ale jeszcze nie dziś.

Kradzione skarby podskakiwały na bitej drodze, gdy kobiety wyruszyły w długą powrotną podróż przez noc do Szanghaju.

– Udało nam się – stwierdziła Lily triumfalnie i sięgnęła po papierosa.

– Udało – przyznała Mary-Lou. Widziała, że ręka Lily drży lekko, gdy ta zapalała papierosa. Ona była spokojna. Zaciśnęła dłoń na jadeitowej czarce w kieszeni. Uśmiechnęła się pod nosem. Będzie bogata za każdą cenę. Lily nie musi wiedzieć, że jej przyjaciółka jest złodziejką.

Rozdział 17

Paryż

Dziesięć dni później, zgodnie z obietnicą, Bennett niespodziewanie wszedł do sklepiku Preshy i roześmiał się, widząc jej zdumienie, gdy odwróciła się i go zobaczyła. I po chwili było tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżał.

Podał jej swój adres e-mailowy i numer telefonu komórkowego i wracał mniej więcej co dziesięć dni. W ciągu dwóch miesięcy widzieli się sześć razy. Siedem, liczyła Preshy, jeśli dodać ich pierwsze spotkanie, ale miała wrażenie, że znają się od zawsze. I to lepiej, sądziła, niż wiele par, które spędziło ze sobą wiele lat.

Rozmawiali i rozmawiali, oczywiście poza momentami, które spędzali w łóżku, i nie było chyba rzeczy, której Bennett nie wiedziałby o niej, a ona o nim, tego była pewna. Doskonale знаła jego piękne ciało, wiedziała, jak się kocha, wiedziała też o jego byłych kochankach – o dziwo było ich mniej, niż się spodziewała. Wiedziała, jakie ma poglądy na temat książek i filmów, co sądzi o wydarzeniach na świecie, jakie ma zdanie o podróżach, co lubi jeść, czy ćwiczy, o czym marzy. Wiedziała także o jego dzieciństwie.

Opowiedział jej, że jego matka, samotna kobieta, porzuciła go, gdy miał pięć lat, i całe dzieciństwo spędził w New Hampshire, w sierocińcu dla chłopców.

– Byłem za duży na adopcję – wyjaśnił. – Musiałem się z tym pogodzić i żyłem na garnuszku państwa, jak inne dzieciaki w mojej sytuacji. Nigdy nie poznałem matki, pewnego dnia zostawiła mnie i zniknęła. Nie mam pojęcia, kim był mój ojciec. Być może matka też nie i dlatego mnie zostawiła.

Pokręcił głową, jakby odpychał smutne wspomnienia, w jego oczach pojawił się zimny błysk, który sprawił, że Preshy przeszył dreszcz.

– W takim środowisku nie zawiera się przyjaźni – dodał z goryczą. – Marzysz o jednym – wyrwać się stamtąd... Dostałem stypendium do Dartmouth. Dopiero tam nauczyłem się wszystkiego o normalnym życiu, jak je nazywałem. I dlatego teraz jestem taki, a nie inny – dodał ze smutnym uśmiechem. – I dlatego tak zachłannie zarabiam pieniądze, chcę zapomnieć o latach biedy i samotności. Jestem zawsze w drodze, więc nie mam czasu na prawdziwe przyjaźnie. A może za bardzo pochłaniała mnie kariera, bym sobie mógł na nie pozwolić. Aż do teraz – dodał i zamknął ją w ramionach. – Dopóki nie poznałem ciebie, Preshy.

Zakochała się w romantyczności całej sytuacji; zaczynając od ich pierwszego spotkania po rozstania, gdy odjeżdżał i obiecywał, że bez względu na różnicę czasu zadzwoni, by życzyć jej dobrej nocy. Kochała jego powroty, gdy ponownie wracał do Paryża, do mieszkania przy rue Jacob, w jej ramiona, do jej łóżka. Dzieliła z nim wszystko: opowieści o życiu i rodzinie, o dziadku Hennessym i bogatej ciotce Grizeldzie, o rodzicach i nieznannej tajemniczej kuzynce Lily, która mieszka w Szanghaju i której nigdy nie widziała.

Kupowała mu prezenty: kolekcjonerskie wydanie poezji Johna Donne'a, które mówiły chyba

wszystko, co można ująć w słowa o miłości i miętności; butelkę znakomitego wina; tandetny breloczek z wieżą Eiffła – żebyś pamiętał Paryż i mnie – powiedziała ze śmiechem. A on zjawiał się z kwiatami i szampanem. Pewnego dnia zabrał ją na wycieczkę za miasto, do *chateau* przerobionego na hotel, na kolację, iście królewską.

Nie sposób nie stracić głowy, dumiała Preshy w siedemnastowiecznym łożu z jedwabnym baldachimem, w ogromnej połączanej sypialni, skąpanej w blasku księżyca, lśniącego nad pięknym parkiem. Spojrzała na śpiącego obok mężczyznę i nie miała wątpliwości, że to miłość przez wielkie M.

Wydawało się, że Bennett poczuł na sobie jej wzrok, bo nagle otworzył oczy.

– Preshy – mruknął przez sen. – Chyba nie potrafię bez ciebie żyć. Wyjdiesz za mnie?

Zakochana w ich romansie, hotelu i tej chwili, nie wahała się ani chwili.

– Tak. – Obsypała jego twarz pocałunkami.

– Kiedy? – zapytał.

– Teraz – odparła ze śmiechem. – Och nie, nie mogę, najpierw musimy pojechać do ciotki Grizeldy.

– Nie przejmuj się ciotką – zapewnił Bennett. – Postąpię jak należy. Pojadę do Monte Carlo i poproszę o twoją rękę.

Następnego dnia po powrocie do Paryża zabrał ją na kolację do restauracji Jules Verne na szczycie wieży Eiffła i tam, przy szampanie i ostrygach, z poważną miną wręczył jej pierścionek, staroświeckie arcydzieło jubilerskie wysadzone brylantami. Wsunął go jej na palec przy entuzjastycznym aplauzie pozostałych gości restauracji.

Cóż może być bardziej romantycznego niż ta chwila, dumiała Preshy wpatrzona w pierścionek, lśniący jak światła Paryża u ich stóp? Bennett zawsze umie się zachować.

– Zamieszkamy tutaj – zdecydował. – Będę dojeżdżał do Szanghaju, ale postaram się spędzać z tobą więcej czasu. Jak najwięcej – dodał, wpatrzony w nią takim wzrokiem, że dreszcz przeszywał jej ciało. – A jutro poproszę ciotkę Grizeldę o twoją rękę. Mam nadzieję, że się zgodzi – dodał niespokojnie, aż się roześmiała.

– Oczywiście, że tak, zwalisz ją z nóg – zapewniła.

Rozdział 18

Chiny

Mary-Lou codziennie zjawiała się w pracy nadęta i roztargniona i niedługo trwało, zanim Lily domyśliła się, w czym rzecz.

– Gdzie Bennett? – zapytała, gdy odwoziły kradzione antyki do prywatnego składu jednego z klientów.

– Jak to? O co ci chodzi?

Od razu przeszła do obrony i było to tak oczywiste, że Lily się roześmiała.

– Chyba już mi odpowiedziałaś. Niedługo to trwało, co?

– Nie odbiera telefonu, nie dzwoni... Pewnie wyjechał do Stanów w interesach. Albo do Paryża – dodała po chwili namysłu, bo przypomniawszy sobie, jak Lily przy kolacji opowiadała o swojej kuzynce.

– Często jeździ do Paryża?

– Tak mówi. Ale...

Lily na chwilę oderwała wzrok od drogi i spojrzała na Mary-Lou. Zaciśnęła usta w wąską linię, miała zmarszczkę na czole.

– Ale co?

– Och, sama nie wiem – przyznała Mary-Lou ze znużeniem. – Myślałam, że tym razem to coś prawdziwego – wyznała szczerze. – Przynajmniej z mojej strony tak było.

Lily z otuchą poklepała ją po ramieniu.

– Przykro mi – mruknęła. – Może po prostu nie ma czasu. Mężczyźni tacy są. Mówię to z doświadczenia, bo jako kobieta interesu sama nie mam czasu na nic innego – dodała. – Na żadne rozrywki.

– Nidy nie uważałam siebie za rozrywkę – stwierdziła Mary-Lou z goryczą, a Lily się uśmiechnęła.

Dostarczyły towar i odjechały, zadowolone, że wypełniły zadanie. Lily wolała nie wiedzieć o prywatnym samolocie czekającym na lotnisku, nie zastanawiała się, jak kupiec chce załadować skarby na pokład i wywieźć z Chin. To nie jej sprawa. Obchodziła ją jedynie gotówka w torebce.

Zapłaciła Mary-Lou okazałą sumkę, jak zawsze, gdy przyjaciółka towarzyszyła jej w niebezpiecznych przedsięwzięciach, i poinformowała o kolejnej wyprawie po skarby.

– Za kilka tygodni – dodała. – Będiesz mogła?

Mary-Lou skinęła głową, choć myślami była bardzo daleko od rzeki Jangcy. Wzięła sobie wolne na resztę dnia i wydała wszystkie zarobione pieniądze w butikach przy ulicy Nanking, ale nawet tam nie mogła się całkowicie rozluźnić. Cały czas myślała o sprzedaży naszyjnika, przed oczami przesuwały się jej sznury rubinów i brylantów, bezcenna perła... I pytanie, jak znaleźć kupca.

Miała tylko jednego znajomego w branży jubilerskiej – szlifierza diamentów, Voortmanna, który przerabiał kradzione przez nią klejnoty. Zadzwoiła do niego i od razu pojechała.

Voortmann, niski, gruby, niechlujny Holender, nauczył się zawodu w szlifierniach Amsterdamu. Przed laty skazano go za kradzież, nic wielkiego, ale w jubilerskim świątku skazany wypada poza nawias społeczeństwa. Przez Bangkok dotarł do Szanghaju i tu się zadomowił, szlifował brylanty pośledniej jakości i robił to dobrze. Na boku zajmował się kradzionymi klejnotami, szlifował je i sprzedawał. Mary-Lou nigdy nie zleciła mu nic naprawdę dużego, ale Voortmann nikomu nie odmawiał. A teraz powiedziała, że ma dla niego bardzo poważną propozycję.

Wpuścił ją przez zdalnie otwieraną bramę i słuchał, jak jej obcasy stukają na deskach korytarza, gdy zbliżała się do jego gabinetu na drugim piętrze. Zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach i czekała, aż ponownie naciśnie guzik domofonu.

– Usiądź – zaproponował, zgasił silną lampę nad stołem szlifierskim i odwrócił się na obrotowym krześle w jej stronę. Ze zdumieniem stwierdził, że wygląda na przerażoną. Przeszył go dreszcz niepokoju; nie może sobie pozwolić na kłopoty.

– Co jest? – zapytał prosto z mostu.

– Nic poważnego. Mam dla ciebie wyjątkową propozycję. Jedyłą w swoim rodzaju. – Mary-Lou wydrukowała w domu zdjęcia naszyjnika. Wyjęła je z torebki, ale nie od razu podała szlifierzowi.

– To, co ci pokażę, musi pozostać między nami – zastrzegła. – Nie może wyjść poza ten pokój. To poważna sprawa, Voortmann, rozumiemy się?

Sceptycznie uniósł brew.

– Czyżby jakiejś damulce z Hongkongu zawieruszył się dziesięciokaratowy brylant?

Ze zniecierpliwieniem przecząco pokręciła głową.

– Chodzi o coś o wiele, wiele większego. Najpierw musisz mnie wysłuchać.

Opowiedziała mu historię zaginionych klejnotów cesarzowej Smoczycy i grobowej perły, usiadła wygodnie i obserwowała jego reakcję. Znużony wzruszył ramionami i zerknął na zegarek. Czas zamknąć interes i wpaść do baru. Dotychczas udawało mu się nie pić przez cały dzień, bo dzięki temu nie trzęsły mu się ręce. Nie mógł sobie na to pozwolić, nie w jego zawodzie. Ale o dziewiętnastej stawał się innym człowiekiem.

– No i? – zapytał.

W końcu podała mu zdjęcia.

– Oto co się stało z tymi klejnotami – powiedziała. – i z perłą.

Voortmann w milczeniu przyglądał się fotografii. Zdjęcie było niewyraźne, widać, że zrobiono je ukradkiem, przy kiepskim oświetleniu, ale jeśli historia jest prawdziwa, patrzył na istny skarb.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie podróbka?

– Musisz mi zaufać – odparła szczerze.

Spojrzał na nią uważnie. Nie wdzięczyła się, nie kręciła, i wydawało mu się, że może na niej polegać. Usiadł wygodniej w obszernym fotelu, zaplótł ręce na piersi i przyglądał się jej spokojnie. Jej piękno nie robiło na nim wrażenia, już dawno oddał serce i pieniądze alkoholowi i opium.

– Więc? Czego ode mnie oczekujesz?

– Że mi znajdziesz kupca.

– Hm. Zakładam, że naszyjnik jest w twoich rękach?

– Mogę go mieć w każdej chwili, natychmiast, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Oczywiście jest kradziony. Policja nie odpuści takiego skarbu. To niebezpieczna sprawa.

– Nikt nie ma o nim pojęcia. Od lat uważano, że zaginął.

– Kto go ma? – Nie mógł ryzykować i zdać się na niepewny los.

– Należał do pewnej rodziny. Kiedy go zabiorę, nikt nie zgłosi kradzieży na policji. Naszyjnik uległby konfiskacie, rozumiesz? A właściciel trafiłby za kratki. Oczywiście to nie dotyczy ani ciebie, ani mnie. Chcę, żebyś mi znalazł kupca, i to szybko.

Voortmann się zamyślił. Podobnie jak Mary-Lou, widział już grube pliki banknotów przed

oczami. To będzie interes stulecia. Ale jak to zrobić? Musiałby odnowić stare kontakty w Amsterdamie... Może, może się uda...

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział w końcu. – Ale najpierw muszę zobaczyć naszyjnik.

Z głośnym trzaskiem zamknęła torebkę.

– Nie ma mowy – orzekła zdecydowanie, teraz już pewna swego. Voortmann westchnął.

– Mary-Lou, niedaleko się zajdzie na samych zdjęciach i opowieściach – stwierdził chłodno. –

Kupiec będzie chciał zobaczyć naszyjnik, zanim podejmie decyzję.

Mary-Lou przewiesiła torebkę przez ramię, wstała i uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy tego dnia.

– Zajmiemy się tym problemem, gdy znajdziesz kupca – powiedziała. – Ale pamiętaj, musisz działać szybko.

Voortmann wypuścił ją z ponurego biura. Słyszał, jak szybko zbiega po schodach. Po chwili wcisnęła kolejny guzik na znak, że ma ją wypuścić przez bramę. Zrobił to i czekał, aż brama zatrzaśnie się za nią. A potem siedział w fotelu ze splecionymi dłońmi i dumiał, jeśli wszystko dobrze pójdzie, o interesie swego życia.

Po pewnym czasie wstał, schował zdjęcie do kieszeni, zamknął biuro, wyszedł z budynku, który był jego więzieniem od czasów Amsterdamu, i ruszył do ulubionego baru. Jutro podzwoni do odpowiednich ludzi.

Rozdział 19

Monte Carlo

Apartament w Monte Carlo, w którym mieszkały dwie wiekowe przyjaciółki, arystokratka Grizelda von Hoffenberg i Mimi Moskowitz, była girlaska z Follies, przypominał plan filmowy z lat trzydziestych; dominowały w nim biel, chrom i srebro. Okna od ziemi do sufitu, z widokiem na zatokę, a w nich cieniutkie firanki, drżące na morskiej bryzie.

Podłogę z kremowego wapienia ocieplały grube białe dywany, wielkie wygodne kanapy obito białym brokatem. Wszędzie widziało się przeszklone gablotki i stoliczki na chromowanych nóżkach. Ściany i sufit pokrywała farba w odcieniu znanym jako dziewiczy róż, ni to biel, ni to róż, który to odcień przydawał wnętrzu łagodnego blasku.

Oczywiście wszędzie stały też kwiaty, bo Grizelda twierdziła, że nie potrafi bez nich żyć, a poza tym Nicea to przecież światowa stolica kwiatów. A więc zawsze i wszędzie róże – oczywiście tylko białe albo jasnoróżowe – a do tego pęki kwitnącej wiśni, mimozy i lilii, a także zabawna puszysta roślina, którą Grizelda nazywała krowią pietruszką, a Mimi koronką królowej Anny („Bo jestem bardziej wyrafinowana niż Grizelda” – tłumaczyła). W apartamencie mieszkały też Lalah, miniaturowa suczka rasy york, własność Mimi, i Schnuppi, malutki pudelek Grizeldy, który w najchłodniejsze zimowe miesiące paradował w kubraczku z nerek ze ślicznym kapturkiem.

Tego dnia Grizelda i Mimi przeszły same siebie – przecież Preshy przywozi nowego chłopaka. W apartamencie znajdowało się tyle kwiatów, że jak orzekła Mimi, zapełniłyby sporą kwiaciarnię. Jeanie i Maurice, stare małżeństwo, które pracowało u nich od dwudziestu pięciu lat i które obie panie uważały za członków rodziny, ugotowali wyjątkową kolację i zastawili stół nakryty obrusem z białej haftowanej organdy porcelaną Vietriego i srebrnymi sztucami Christofle’a.

Preshy zadzwoniła zaledwie poprzedniego wieczoru.

– Chciałabym wam kogoś przedstawić – paplała dziwnym, zdyszonym głosem, którego nigdy u niej nie słyszały. – Nazywa się Bennett James, mieszka w Szanghaju i znam go od dwóch miesięcy.

– W Szanghaju? – sapnęła Grizelda, wstrząśnięta myślą, że straci przyszywaną córkę na rzecz miasta gdzieś na końcu świata.

– Od dwóch miesięcy! – huknęła Mimi. – I dopiero teraz nam o nim mówisz?

– Przepraszam, nie miałam czasu... – Preshy zachichotała i dodała: – Zresztą teraz go poznacie. Polubicie, mam nadzieję, bo ja bardzo go lubię.

Już jechali.

– Musimy zrobić dobre wrażenie – powiedziała Grizelda do Mimi i poprawiła białe gardenie w bukietach na środku stołu.

– Wyglądał lepiej, zanim dorwałaś go w swoje łapy – burknęła gniewnie Mimi. Układanie kwiatów należało do jej obowiązków i uważała, że robi to doskonale.

Grizelda łypnęła na nią spode łba.

– Mimi, ja umiem układać kwiaty, a ty grać. Każdy ma swoje hobby. – Więc następnym razem ty

skomponujesz bukiet – odcięła się Mimi i poprawiła świetnie przystrzyżone platynowoblond włosy.

– Dzisiaj po prostu nie miałam czasu.

– Pewnie za bardzo jesteś podekscytowana, co? Grizelda westchnęła.

– Cóż, nie po raz pierwszy Preshy przywozi chłopaka do domu, ale po raz pierwszy mówiła o nim w taki sposób.

– Zakochana po uszy – dokończyła Mimi uśmiechnięta od ucha do ucha.

– I pijana seksem – dopowiedziała Grizelda.

– Pod warunkiem że to dobry seks – uściśliła Mimi i obie się roześmiały.

– Jak myślisz, wyglądamy wystarczająco groźnie? – Grizelda odwróciła się do Mimi. Dwa psiaki siedzące na kanapie wyczuwały ich zdenerwowanie. Grizelda miała na sobie białe spodnie od Saint Laurenta, złoty naszyjnik i takie same bransoletki. Rude włosy spływały zmysłowo na ramiona i opadały na jedno oko, zupełnie jak u Rity Hayworth, do której Grizelda nawet teraz, w wieku, o którym wolała nie myśleć, lubiła się upodobniać. Jej oczy, bardziej zielone niż dawniej dzięki barwionym szkłom kontaktowym, lśniły uśmiechem na myśl o takiej próżności.

– Wyglądamy na tyle dobrze, na ile pozwalają pan Bóg, droga chirurgia plastyczna i przystojni trenerzy – odrzekła Mimi rezolutnie. – A to więcej niż mnóstwo innych kobiet może o sobie powiedzieć.

Wybrała na dziś srebrzystoszarą prostą sukienkę do kolan, podkreślającą jej bujny biust, który przed laty wzbudzał zachwyt bywalców Follies. W jej uszach i na dekolcie lśniły brylanty.

– Mam wrażenie, że ten facet jest dla Preshy bardzo ważny – ciągnęła Grizelda. – A jeśli to Ten Jeden Jedyny?

– W tej sytuacji musimy tylko mieć nadzieję, że zda test Hoffenberg-Moskowitz.

– A jeśli nie?

– To i tak się z nim zwiąże. A ty wykreślisz ją z testamentu.

– Przecież i tak w nim nie figuruje i dobrze o tym wiesz. I Preshy też. Oczywiście zapiszę jej biżuterię, ale poza tym niech sobie sama radzi w życiu.

– Hm – mruknęła Mimi, nadal niezdecydowana, co myśleć o tym, że przyjaciółka nie zapisze siostrzenicy majątku Oscara von Hoffenberga, zwłaszcza że nie ma innych potomków, ale taka była wola Grizeldy.

Weszła Jeanie, dobrze widoczna w świetle niezliczonych świec, pachnących gardeniami, ustawionych w kryształowych lichtarzach.

– Wszystko gotowe, madame – powiedziała, oczywiście po francusku. W tym domu zawsze rozmawiało się po francusku.

– *Bien, merci*, Jeanie... – Grizelda uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Powiedz, Jeanie, myślisz, że ten facet Preshy to jej wybranek?

Jeanie poznała ponad tuzin mężczyzn, których Preshy przywoziła do ciotki w minionych latach.

– Preshy źle się czuje we własnej skórze, madame – odparła. – Nie sądzę, żeby chciała już zrezygnować z niezależności.

– Cóż, zobaczymy – mruknęła Mimi. Spodziewały się gości lada chwila i właśnie w tym momencie zadzwonił portier z wiadomością, że już idą na górę. Starsze panie podążyły w towarzystwie rozbrykanych psów do holu i czekały niecierpliwie, aż otworzą się drzwi windy. I oto się zjawili: Preshy, jak zwykle w dzinsach i białej koszuli, z wielką podróżną torbą i blaskiem w oczach, z rozwianymi wiatrem włosami. I Bennert James, zabójczo przystojny w błękitnej koszuli rozpiętej pod szyją, granatowej marynarce, nieskazitelnie wyprasowanych spodniach i zamszowych mokasynach.

Jeśli pierwsze wrażenie gra jakąś rolę, pomyślała Grizelda, ten facet bije wszystkich na głowę. Według Mimi był zbyt piękny, by był prawdziwy.

Bennett uśmiechał się ciepło, gdy Preshy go przedstawiała. Zapewnił, że bardzo się cieszy ze spotkania, przecież Preshy tyle o nich opowiadała. Pogłaskał podekscytowaną Lalah i stwierdził, że Schnuppi jest śliczny, ale chyba nieśmiały, skoro cały czas zachowuje bezpieczną odległość.

Zaprowadziły go do srebrzystobiałego salonu, przesyconego zapachem kwiatów i świec, i zaraz zachwyił się wystrojem wnętrza, podziwiał delikatne firanki drżące na wietrze, mieniące się w blasku świec.

– Jak z obrazu Matisse’a – powiedział i upił łyk z kieliszka szampana. (Tańszego jacquarta, nie cristala, którego Grizelda zachowała na później, jeśli Bennett zda test).

Maurice dolał szampana, Jeanie wniosła półmisek z przystawkami. Preshy uściskała oboje serdecznie i przedstawiła ich Bennettowi, który zapewnił, że chętnie pozna każdego, kto od lat zna Preshy i opowie mu o niej coś ciekawego. Wszyscy się roześmiali. Grizelda zasiadła na brokatowej kanapie. Schnuppi usadowił się koło niej. Lalah przycupnęła na kolanach Mimi na przeciwległej sofie. Między nimi stał chromowany stolik ze szklanym blatem.

Grizelda poklepała kanapę koło siebie.

– Bennett, niech pan usiądzie przy mnie i coś o sobie opowie.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania. – Zerknął na Preshy, skuloną na białej otomanie, wpatrzoną w niego. – Nic ponad to, co już pani zapewne słyszała od Preshy.

– Szczerze mówiąc, nie wiemy nic ponad to, że mieszka pan w Szanghaju.

– Owszem. Niestety, to kawał drogi z Paryża.

Odnalazł wzrok Preshy. Widział, że świetnie się bawi, obserwując, jak ciotki go przesłuchują; wiedziała przecież, co go czeka.

– A czym pan się właściwie zajmuje?

Jeanie podsunęła mu półmisek przekąsek. Wziął socca, lokalny przysmak z okolic Nicei, naleśnik z soczewicą, odrobiną koziego sera i czarną oliwką.

– Jestem właścicielem James Exports. Produkuję części do mebli, które wysyłamy do USA. Wytwarzamy drewniane elementy, które są później montowane w Karolinie Północnej przez zakłady należące do znanego producenta mebli.

– I to zyskowne przedsięwzięcie? – zapytała Mimi z najniewinniejszą miną, na jaką było ją stać.

– Wystarczająco – odparł z uśmiechem.

– Nie martwcie się, wiem o nim wszystko, co trzeba. – Preshy napiła się szampana.

– Ale my nie – huknęła Mimi donośnym głosem, którym, Preshy była tego pewna, mogłaby roztrzaskać szkło z odległości dwudziestu kroków, gdyby tylko chciała. – Bennett, jestem ciekawa, jakie ma pan zamiary wobec naszej dziewczynki.

Posłał jej uśmiech i to długie, intymne spojrzenie, które zjednywało mu kobiece serca.

– Mimi, uważam, że wasza dziewczynka jest cudowna. Szczerze mówiąc, przyjechałem tu, bo chciałbym, żeby teraz była moja. Mimi i Grizeldo, chciałbym panie prosić o rękę Precious.

– O Boże. – Grizelda złapała się za serce. Nie przypuszczała, że tak szybko do tego dojdzie. Zerknęła na siostrzenicę. – A co ty na to, Preshy?

– Ja się oczywiście zgodziłam. – Preshy nie mogła dłużej wytrzymać. Wyciągnęła lewą dłoń z brylantami lśniącymi na serdecznym palcu. – Ale Bennett nalegał, żeby poprosić was o moją rękę.

Grizelda i Mimi rzuciły się oglądać pierścionek z takim entuzjazmem, że oba pieski rozszczerkały się jak szalone. Starsze panie znacząco spojrzwały sobie w oczy; kamień był na tyle mały, by nie wykraczać poza granice dobrego smaku, i na tyle duży, by było wiadomo, jak dużo kosztował. Myślały o tym samym. Spodobał im się staroświecki gest – to, że poprosił je o rękę Preshy, że jest w odpowiednim wieku, a do tego przystojny, czarujący, dobrze wychowany i najwyraźniej zamożny.

– Jeśli się kochacie, nie wyobrażam sobie lepszego męża dla Preshy – orzekła Grizelda.

Bennett ucałował ją w oba policzki. Potem podszedł do Mimi, a na końcu do Preshy.

Grizelda zawołała Maurice'a i Jeanie, żeby przynieśli porządnego szampana, cristala, i wzniesiono toast za młodą parę.

– Zastanawiam się, gdzie wolicie się pobrać, tu czy w Paryżu? – zapytała Grizelda przy kolacji.

– Ani tu, ani tu. – Preshy głaskała Lalah. Suczka ukryła się u niej na kolanach, pod obrusem, i z nadzieją czekała na smakołyki. – Chcę wziąć ślub w Wenecji, w kościele Santa Maria Della Salute. Wiecie, że łączą się z nim dla mnie szczególne wspomnienia. – Spojrzała Bennettowi w oczy, dodała: – I chcemy się pobrać jak najszybciej. Grizelda się zasepiła.

– Musisz mi dać trochę czasu na przygotowania. Czekają nas mnóstwo załatwiania: suknia, kwiaty, zaproszenia...

– W przyszłym miesiącu – uparła się Preshy. – I wszystko zostawiamy na twojej głowie, cioteczko G. Powiedz tylko, kiedy, a stawimy się posłusznie.

– Ale gdzie zamieszkacie? Nie w Szanghaju, mam nadzieję? – zaniepokoiła się Mimi.

– Nie zrezygnuję ze sklepu w Paryżu. Zamieszkamy we Francji, Bennett będzie dojeżdżał do Szanghaju.

– Niezła wyprawa – mruknęła Grizelda, ale Bennett zapewnił, że zamierza spędzać w Szanghaju coraz mniej czasu, jednak ciągle będzie musiał podróżować do Stanów.

– Ale nie martwcie się, na pewno nie zostawię Preshy samej na tak długo, by poczuła się samotna.

– Cudownie, prawda? – Preshy wzięła Lalah z kolan i pocałowała ją w czarny nosek.

Rozdział 20

Nie było chwili do stracenia i Grizelda z entuzjazmem zabrała się do przygotowań do ślubu. Po pierwsze, musiała uruchomić wszystkie kontakty, żeby zdobyć pozwolenie na ślub w weneckiej bazylice. Następnie skontaktowała się z przyjaciółmi z hotelu Cipriani, w którym zatrzymywała się wielokrotnie od lat i gdzie dobrze ją znano, żeby zarezerwowali salę na uroczystą kolację i zadbali o tort.

Powołała się na stare długi wdzięczności i wynajęła czternastowieczny pałac Rendino przy Canale Grande, własność starych przyjaciół (a zatem starość ma pewne zalety, stwierdziła; można się powołać na lata znajomości i dawne przysługi). Goście zatrzymają się *wpalazzo*. Natychmiast zamówiła sobie kreację na uroczystość – biały kostium Diora i gigantyczny kapelusz od Philipa Treacy'ego na uroczystość, oraz czerwoną suknię z koronki od Valentino na kolację w przeddzień ślubu.

Pokłóciła się także z Preshy przez telefon, bo siostrzenica uparcie nie chciała zgodzić się na białą suknię ślubną.

– W dzisiejszych czasach nie musisz już być dziewicą – tłumaczyła zdesperowana Grizelda, ale Preshy zbyła ją śmiechem.

– Nie, cioteczko G, nie o to chodzi. – Była nieprzytomna ze szczęścia, jak nastolatka w drodze na pierwszą prywatkę. – Po prostu nie chcę być kolejną panną młodą w obłoku białego tiulu. Chcę się wyróżniać.

– Jak bardzo? – zainteresowała się Grizelda. – Na rany boskie, Preshy, masz tylko trzy tygodnie. Zdecyduj się szybko. Jutro przylatuję do Paryża, wtedy porozmawiamy.

Tymczasem trzeba zamówić kwiaty i teraz Grizelda jechała niesławną szosą Grande Corniche na kwiatowy targ w Nicei. Od lat korzystała z usług tego samego handlarza i ufała mu bezgranicznie. Ślub miał się odbyć w listopadzie, a więc nie ma szans na róże francuskie, ale niech sprowadzi dla niej cudowne wielkie róże z Kolumbii i osobiście dopilnuje w Wenecji przystrajania kościoła i sali balowej.

Wszystko musi być idealnie zorganizowane, zwłaszcza że do ślubu był tylko miesiąc – teraz już trzy tygodnie – Grizelda denerwowała się tak samo jak przed własnym zamążpójściem.

Oczywiście jej zaślubiny z Oscarem von Hoffenbergiem w niczym nie przypominały ślubu Preshy. Po pierwsze, znali się ponad rok przed ślubem, ich zaręczony ogłoszono, jak trzeba, w gazetach europejskich i amerykańskich. Wówczas jego rodzice organizowali całą uroczystość, w najdrobniejszych szczegółach, od wyboru zaproszeń po rozmieszczenie gości przy stołach, a byli wśród nich członkowie królewskich rodów, ambasadorowie, arystokraci, kardynałowie, obie rodziny i pracownicy zamku. Grizelda siedziała z założonymi rękami i obserwowała ich wysiłki.

Sama jednak wybrała swoją suknię ślubną. I nadal ją miała, owiniętą w specjalną bibułę, ukrytą w cedrowej skrzyni, w kącie gigantycznej garderoby. Była to prosta kreacja z białej satyny, skrojona ze skosu przez mistrza igły, opływała jej młode ciało tak zmysłowo, że wszyscy goście wstrzymali oddech, a Oscarowi oczy mało nie wyskoczyły z orbit. Zapewne dzięki tej sukni ich noc poślubna

stała się wydarzeniem godnym zapamiętania, ale wyniosła rodzina Oscara nigdy jej nie wybaczyła tej kreacji.

Po jego śmierci odziedziczyła jego majątek i zamek, lecz dzień po odczytaniu testamentu Grizelda spakowała walizki, zabrała suknię ślubną i ówczesnego pupila – jasnego buldożka imieniem Jolly – i wyruszyła na południe w poszukiwaniu ciepła i wrażeń. Nigdy nie wróciła na *Schloss*, do coraz mniej wyraźnych wspomnień nudnych lat u boku wybuchowego Oscara.

Dzisiejszy ranek był pogodny i słoneczny, co często się zdarza pod koniec października na południu Francji. Na Corniche nie było letnich korków i jechało się z przyjemnością, mając u stóp morze, które hen, na horyzoncie, łączyło się z niebem. Grizelda знаła tę szosę jak własną kieszeń. Droga, wryta w skale, budziła przerażenie turystów, ale nie jej. Ludzie bali się, że zginą jak księżna Grace z Monaco, choć ona akurat zabiła się na innym odcinku; bo też rzeczywiście wystarczy chwila nieuwagi, utrata kontroli i ląduje się w skalistej przepaści po lewej stronie.

Jechała powoli srebrzystym bentleyem, nie spieszyła się, myślała, co jeszcze musi załatwić. Mimi, odpowiedzialna za muzykę, zamówiła kwartet smyczkowy na przyjęcie przedślubne w *palazzo* i organistę do kościoła. Teraz siedziała w domu i zamawiała zespół na przyjęcie weselne. Sylvie w Verlaine planowała menu. Grizelda była pewna, że wszystko się uda, ale i tak wolałaby mieć trochę więcej czasu, bo wtedy na pewno zorganizowałaby wszystko jeszcze lepiej.

Droga prowadziła w górę, wiła się częstymi zakrętami. Panował na niej spokój, z przeciwnej strony mijały ją nieliczne samochody. Grizelda włączyła radio i szukała stacji grającej stare, złote przeboje, gdy w tylnym lusterku dostrzegła za sobą białego vana. Jechał zdecydowanie za szybko. Zmarszczyła brwi i nacisnęła klakson. Kierowca ją zignorował. Ostrzegawczo błysnęła światłami i docisnęła pedał gazu, pokonując zakręt szybciej, niż miała na to ochotę, chcąc jak najszybciej zjechać mu z drogi. Nadal nie zwalniał. Był tuż za nią.

Położyła dłoń na klaksonie i naciskała bez przerwy. Był tak blisko, że gdyby nie przyciemnione szyby furgonetki, dostrzegłaby jego twarz. Oblała się potem, gdy nadeszła fala strachu. Chce ją zepchnąć z szosy...

Poczuła głucho uderzenie, gdy walnął w tylny zderzak bentleya... to wariat... o Boże, co się dzieje... nie może jechać tak szybko... umrze... a teraz nie może, jeszcze nie... nie daruje sobie ślubu Preshy... musi myśleć... Myśl, powtarzała sobie, myśl! Zna tę drogę jak nikt... Za kolejnym zakrętem jest zatoczka wykuta w skale...

Modląc się, by z przeciwka nic nie jechało, przeskoczyła na drugą stronę szosy i mocno nacisnęła hamulce. Samochód wpadł w poślizg, odwrócił się, raz, drugi, trzeci, i z całej siły uderzył w skałę. Otworzyły się poduszki powietrzne, uwięziły ją w fotelu. Przerażona, krzyczała na całe gardło. Ale żyła. A wariat w białym vanie minął ją i zniknął za zakrętem.

Roztrzęsiona, siedziała z twarzą w poduszce powietrznej i tłumaczyła sobie, że nie ma powodu do paniki. Samochód stękał i buczał, spod maski buchała para, z tyłu unosiła się smużka dymu. Musi wysiąść, bo lada chwila może stanąć w płomieniach.

Ku jej zdziwieniu, drzwi otworzyły się bez trudu. Po chwili stała na szosie i przeklinała wariata, który tak potraktował ją – i jej pięknego srebrzystoszarego bentleya.

Wpatrzona we wrak samochodu, zastanawiała się ponuro, o co, do cholery, w tym chodzi.

Później, gdy wypisano ją ze szpitala i przyjechała po nią zapłakana Mimi, wszystko dokładnie omówiły.

– *Cherie*, ktoś chciał cię zabić. Chciał położyć cię trupem – orzekła Mimi.

Grizelda łypnęła na nią gniewnie.

– Nie gadaj bzdur, Mimi. Niby po co ktoś miałby mnie mordować? Chyba tylko mój mąż, ale od dawna nie żyje, a duchy nie wracają, żeby się mścić. Ja przynajmniej tak uważam – dodała. – Nie, moim zdaniem to był wariat i nie chcę, żebyś zawracała Preshy tym głowę. Będzie się tylko

niepotrzebnie martwiła. – Nagle coś sobie przypomniała. – Cholera, nie dotarłam do kwiaciarza. Muszę pojechać tam jutro.

– Ale nie sama – zdecydowała Mimi z ponurą miną. Jej zdaniem to nie był taki sobie wypadek i nie podobała jej się myśl o wariatach spychających inne auta z drogi. Robiło jej się zimno na samą myśl.

Rozdział 21

Szanghaj

Bennett poleciał z Paryża do Singapuru i dopiero stamtąd do Szanghaju. Wylądował na lotnisku Pudong z dwudziestominutowym opóźnieniem. Szybko przeszedł kontrolę celną i paszportową i wyszedł na zewnątrz, gdzie czekał na niego kierowca limuzyny. Szofer poszedł po samochód, a Bennett zadzwonił do Mary-Lou.

- Wróciłem – powiedział, ledwie odebrała telefon. Długa cisza, a potem:
- Nawet nie wiedziałam, że wyjechałeś. Uśmiechnął się.
- Więc za mną nie tęskniłaś?
- Ani odrobinę.
- Więc nie chcesz się ze mną dziś zobaczyć?
- Tylko jeśli będziesz błagał. Roześmiał się.
- Błagam – powiedział.
- Dobrze. Gdzie?
- U ciebie, o ósmej. – Musi z nią porozmawiać, i to na osobności.

Czekała przy drzwiach, gdy punktualnie o ósmej nacisnął dzwonek. Nie padło między nimi żadne słowo, od razu znalazła się w jego ramionach. Pocałował ją. Przyniósł butelkę szampana. Całował ją, jakby chciał wchłonąć. Kopniakiem zamknął drzwi. Odrzuciła głowę do tyłu, by na niego spojrzeć.

– Wspaniałe powitanie – stwierdził z uśmiechem. – Czy mówiłem ci już, jak pięknie dziś wyglądasz?

– Jeszcze nie, ale możesz zrobić to teraz. – Wyjęła mu szampana z ręki i podeszła do barku, gdzie już stał kubek z lodem. Wyjęła z szafki dwa wysokie kieliszki, czekała, aż Bennett otworzy szampana. Nalał perlistego płynu do kieliszków i podał jej jeden.

– Za nas – wzniosł toast, patrząc jej w oczy, jak zawsze, aż przeszył ją dreszcz. Jednak była na tyle ostrożna, że nie wspomniała o tym, o czym bezustannie myślała, tylko napiła się szampana i zapytała, jak mu się udała podróż.

– Paryż jest w porządku – odparł, podszedł do okna i patrzył na burą rzekę i sznur samochodów.

Mary-Lou przechadzała się nerwowo po saloniku. Ze względu na dobre feng shui powiesiła przy oknie wielką kryształową kulę – miała odpędzać złe *chi* płynące od złowrogich bogów rzeki. Nigdy się nie zastanawiała, czy naprawdę w to wierzy, czy nie. Zakładała, że to nikomu nie zaszkodzi, a kto wie, może jest w tym ziarno prawdy? Jakkolwiek by było, jej przodkowie wierzyli w to od dawna, czyż nie? Co prawda niewiele z tego przyszło jej rodzicom; kryształy nie uchroniły ich przed złym *chi*, które w młodym wieku wpędziło ich do grobu.

Ale teraz, wpatrzona w Bennetta przy oknie, zapragnęła, by magia kryształów zadziałała. Voortmann ciągle się nie odzywał; musi liczyć na szczęście, i to dużo szczęścia.

Stała za Bennetem.

– Zjemy teraz, czy najpierw pójdziemy do łóżka? Odwrócił się do niej.

– Zgadnij.

Dużo później, gdy Bennett zniknął pod prysznicem, Mary-Lou otworzyła kartonowe pudełka z daniami na wynos, które przezornie zamówiła w pobliskiej restauracji. Ustawiła je na stoliku, dodała zimne piwo tsingtao i zmrożoną szklankę. Bennett lubił zimne piwo.

Jego ubrania poniewierały się na kanapie. Zebrała je i pochyliła się po portfel, który wysunął się z tylnej kieszeni spodni. Było w nim coś dużego. Chusteczka. Z numerem telefonu zapisanym szminką. I nazwiskiem. Preshy Rafferty.

– O Boże – szepnęła, przyciskając portfel do piersi. – O Boże, ty draniu...

Ale gdy Bennett wyszedł z łazienki, nie pisnęła nawet słowa o chusteczce, teraz ukrytej w jej torebce. Nalała mu piwa, podała posiłek. Ukłękli przy niskim stoliku i zabrali się do jedzenia.

Bennett chciał przejść do rzeczy, jednak powstrzymywało go milczenie Mary-Lou. Oczywiście jest na niego wściekła, bo zniknął bez pożegnania i szczerze mówiąc, nie miał zamiaru się z nią więcej spotkać. Ale teraz, jak to się mówi, chciał zjeść ciasteczko i je mieć. Była mu potrzebna.

– Kochasz mnie, Bennett? – zapytała po chwili.

Przyjrzał się jej zimno. Miłość nie wchodziła w grę. Wziął łydę szparaga między pałeczki.

– Jesteśmy do siebie podobni, Mary-Lou – powiedział. – Oboje mamy serca z kamienia. – Patrzył na nią, ciągle pełen zachwyty nad jej urodą. – Wątpię, czy kiedykolwiek kogoś kochałaś.

– A ty? Kochałeś Anę?

Jego wzrok zlodowaciał. Puścił jej pytanie mimo uszu.

– Mamy wspólny cel – powiedział. – Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że znalazłem w Paryżu zainteresowanego kupca. Jest gotów zapłacić zaliczkę, zanim dostanie towar, ale oczywiście chce mieć pewność, że otrzyma to, co mu obiecujemy. Muszę zobaczyć naszyjnik na własne oczy.

– Niemożliwe.

– Więc nici ze sprzedaży.

Patrzyła na niego gniewnie; z całym spokojem zajada kolację, a ona skręca się ze złości.

– Kto to jest Preshy Rafferty? Odłożył pałeczki.

– A czemu pytasz?

– Jej numer telefonu był w twoim portfelu. Zapisany szminką. Wstał, włożył marynarkę.

– Dzięki za kolację, Mary-Lou – powiedział już przy drzwiach.

– Poczekaj! – zawołała za nim.

Nie poczekał. Nie musiał. Wiedział, że zdobędzie naszyjnik. Mary-Lou się do niego odezwie, i to szybko.

Rozdział 22

Voortmann miał kłopoty. Jego kontakt w Amsterdamie zasypał go pytaniami:

– Jakiej wielkości są kamienie? Jaką mają wartość? Brylanty są stare, więc pewnie mają staroświecki szlif..

Choć Voortmann robił, co w jego mocy, nie zdołał uzmysłowić doskonałemu znawcy kamieni symbolicznej wartości naszyjnika cesarzowej, zwłaszcza ogromnej perły. Musi poszukać kupca gdzie indziej, a czy może być lepsze miejsce niż Szanghaj?

O siódmej jak zwykle wszedł do ulubionego baru, przestronnej spelunki, do której zaglądały trzy kategorie mężczyzn: panowie, którzy wyrwali się na wieczór w towarzystwie kumpli i barowych ślicznotek; znużeni mężowie, którzy w kieliszku topili małżeńskie porażki, i prawdziwi alkoholicy, jak on. O ile w dwóch pierwszych grupach twarze ciągle się zmieniały, o tyle w trzeciej znajdowali się zawsze ci sami. I zawsze tu przychodzili. Co najmniej dwóch z nich pochodziło z bogatych szanghajskich rodzin.

Voortmann co wieczór zaglądał do baru i przez tydzień czekał, aż zjawi się któryś z nich. Z ogromnych głośników rozbrzmiewały najnowsze przeboje muzyki pop, ale tak do tego przywykł, że nie zwracał uwagi na hałas. Pił czystą szkocką powoli, małymi łykami, i nigdy nie robił awantur, nigdy nie staczał się pod stół. Był, jak sobie z dumą wmawiał, pijakiem eleganckim. Z kimś takim bogaty szanghajczyk na pewno porozmawia. Już dawniej robił z nimi interesy, szlifował im klejnoty podkradzione żonom, gdy rodziny ucinały dopływ gotówki, by przestali pić i chodzić na dziwki.

Po kilku godzinach wypatrzył ich w mrocznym kącie. Na stoliku stała butelka szkockiej.

Przepchnął się przez tłum.

– Dobry wieczór – zaczął.

Skinęli głową na powitanie, czekał, aż zaproszą go do stolika, gdy jednak tego nie zrobili, zaczął:

– Panowie, już w przeszłości robiliśmy razem interesy. Mam coś, co może panów zainteresować.

– Nie czekał na zaproszenie, sam przysunął sobie krzesło, skinął na kelnera i usiadł. Wyjął zdjęcie z kieszeni i położył na stoliku. – Nacieszcie tym oczy, a z pewnością później napełnią się ‘ i wasze portfele – powiedział z uśmiechem.

Mężczyźni w mroku przyglądali się fotografii. Jeden z nich wziął ją do ręki.

– Ukradł pan to? – zapytał. Voortmann przecząco pokręcił głową.

– Wiem, gdzie jest – wyjaśnił. – I mogę dostarczyć choćby jutro. Za odpowiednią cenę.

– Czyli?

Tym razem Voortmann wychylił whisky do dna, a szanghajczycy dolali mu do pełna.

– Najpierw, przyjaciele, muszę wam coś opowiedzieć – powiedział cicho.

Gdy skończył, Chińczycy wymienili znaczące spojrzenia.

– Za coś takiego można trafić do więzienia – stwierdził jeden.

– Ile? – zapytał drugi.

– Trzydzieści milionów – rzucił Voortmann. – Ale jak dla was, zgodzę się na dziesięć, żebyście i wy mogli go sprzedać z zyskiem.

Szanghajczycy zdawali sobie sprawę, że naszyjnik jest bezcenny, ale żaden z nich nie był kolekcjonerem i nie chciał ryzykować więzienia.

Napełnili mu szklanę i patrzyli, jak pije do dna, aż pot wystąpił mu na górnej wardze.

– Proszę nam powiedzieć, kto ma ten naszyjnik? – zapytał jeden.

Voortmann był jednak na tyle trzeźwy, że pilnował się, by tego nie zdradzić. Przecząco pokręcił głową.

– Powiedzcie, czy jesteście zainteresowani naszyjnikiem, czy nie, przyjaciele – powiedział, wstał i wrócił do baru.

Ale bogaci szanghajczycy nie byli jego przyjaciółmi.

Rozdział 23

Mary-Lou nie wytrzymała. Zadzwoiła do Preshy Rafferty. Włączyła się automatyczna sekretarka. – *Bonjour*, Antyki Rafferty, tu Preshy Rafferty – usłyszała po francusku. – Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Gniew zawrzał w Mary-Lou jak gorący ołów. Było jej niedobrze. Czyżby Bennett romansował z kuzynką Lily, kolejną dziedziczką? To byłoby w jego stylu.

Nerwowo przechadzała się po ciasnym mieszkaniu i niecierpliwie przesunęła kryształową kulę, która miała ją chronić przed złymi duchami rzeki, kula zadrżała jak jej nerwy. Straciła Bennetta, czuła to. A wraz z nim – kupca. Voortmann okazał się niewypałem, od tygodnia się do niej nie odezwał.

Ale Bennett twierdził, że ma kupca gotowego zapłacić zaliczkę. Nie ma wyboru, musi z nim współpracować. Musi zatem zdobyć naszyjnik. Nie ma czasu do stracenia.

Przypomniała sobie, że Lily co rano jadła śniadanie w herbaciarni, a zatem przez co najmniej godzinę nie będzie jej w domu. Dość czasu, by wyjąć naszyjnik z sejfów i zniknąć.

Następnego ranka Mary-Lou zjawiała się wcześniej i czekała, aż samochód Lily wyjedzie zza ogrodzenia i zniknie za zakrętem. Ledwie straciła go z oczu, otworzyła bramę własnym pilotem i wjechała na teren Lily. Zaparkowała, wyłączyła kamerę, która śledziła każdy krok przybyszów. Kiedy Lily wróci, wszystko będzie działało jak należy, ale na taśmie nie będzie Mary-Lou.

Kanarek w klatce zaczął radośnie na jej widok, ale zignorowała go, przeszła przez werandę, otworzyła drzwi i weszła do domu.

Odruchowo zdjęła buty i na bosaka zeszła po stromych schodach do piwnicy. Minęła stertę pudeł, poszła w najciemniejszy koniec. Wcisnęła odpowiedni guzik i deska w boazerii odsunęła się, odsłaniając sejf. Jeszcze chwila i ciężkie żelazne drzwiczki stanęły otworem. Zobaczyła puzderko z czerwonej skóry.

Musnęła dłonią drogą, gładką skórę. Nawet czas nie zdołał jej zniszczyć; domyślała się, że szkatułkę przechowano w suchym, ciepłym miejscu. Uniosła wieczko. Otworzyła szeroko oczy. Przeszył ją dreszcz, gdy dotknęła perły. Od razu pomyślała o klejnocie w ustach martwej cesarzowej Cixi. Druga ukradziona perła, ta, którą Sung MaiLing ozdobiła pantofle, znalazła o wiele lepsze zastosowanie niż wieczność w ustach staruchy.

Już miała zamknąć sejf, gdy do jej uszu dotarł jakiś dźwięk. Podniosła głowę i nasłuchiwała.

– Mary-Lou? Jesteś na dole? – Głos Lily niósł się głośnie echem po piwnicy.

Z bijącym sercem Mary-Lou cisnęła puzderko z naszyjnikiem do sejfów, zamknęła drzwiczki, wcisnęła guzik... Słyszała, jak deska z boazerii ze zgrzytem wraca na miejsce. W tym momencie Lily stanęła u szczytu schodów. Stała z rękami za plecami i przyglądała się jej uważnie.

– Mary-Lou, co, u licha, robisz tu tak rano? – zdziwiła się Lily. – Przeraziłaś mnie. Myślałam, że ktoś się włamał.

– Nie, to nie złodziej, to ja. Przyszłam wcześniej, żeby dokończyć pakowania posążków Buddy. O ile wiem, mamy je dzisiaj dostarczyć?

Lily zbiegła ze schodów. Była poruszona. Cały czas miała w dłoni tekturowy kubek z kawą.

– To do ciebie niepodobne. Co się stało? Nie mogłaś spać? Mary-Lou wydusiła łezkę, która spłynęła jej po policzku.

– Nie. Oczywiście przez Bennetta. Wrócił wczoraj i stanął w progu, jak gdyby nigdy nic. A wiesz, gdzie był? W Paryżu.

Lily upiła kawy.

– I dlaczego tak cię to gryzie?

– Bo był tam z twoją kuzynką, Precious Rafferty.

– Co?! – Lily, zaskoczona, rozlała kawę.

– Tak jest. Pamiętasz, jak mu o niej opowiadałaś, wspomniałaś, że to bogaczka? A właśnie takiej kobiety Bennett szuka. Kolejnej bogaczki, z którą mógłby się ożenić jak z Aną Yuan. Może w plotkach jednak było ziarno prawdy i rzeczywiście ożenił się z nią dla pieniędzy. Może nawet ją zabił, żeby je zdobyć. Może ma takie same plany wobec twojej kuzynki. Kto wie... Po Bennecie można się wszystkiego spodziewać.

– Daj spokój, chyba nie mówisz poważnie. – Lily była w szoku. – Jesteś zdenerwowana, to wszystko.

Mary-Lou spojrzała na nią ponuro. Straciła Bennetta, a teraz także i naszyjnik. W tej chwili zabiłaby go, gdyby wiedziała, że ujdzie jej to na sucho.

– Przyszedł do mnie – opowiadała. – Kochaliśmy się, a potem znalazłam jej numer zapisany szminką na serwetce w jego portfelu. Mam to na górze, pokażę ci. – Chciała jak najszybciej wyprowadzić Lily z piwnicy, żeby ta się nie zorientowała, że nie zapakowała ani jednego posążku Buddy.

Lily wróciła na górę, Mary-Lou poszła za nią. Zostawiła torebkę na krześle przy drzwiach do piwnicy. Wyjęła z niej chusteczkę z numerem telefonu i podała Lily.

– Proszę, weź sobie – rzuciła z goryczą. Zdażyła już spisać telefon i adres. – Może któregoś dnia zechcesz zadzwonić do kuzynki. Ja z pewnością nie mam na to ochoty.

Lily wsunęła chusteczkę do kieszeni. Patrzyła na przyjaciółkę zatroskanym wzrokiem.

– Na pewno wszystko w porządku? Posłuchaj, już wiem. Właśnie się wybierałam na śniadanie, ale zapomniałam torebki i wróciłam. Chodź ze mną, pogadamy, powiesz, co ci leży na sercu.

Na sercu z kamienia, pomyślała Mary-Lou gorzko. Zamknęła drzwi do piwnicy i poszła za Lily do samochodu. O Boże, zapomniała na śmierć o kamerze. Już za późno, Lily na nią czeka, nie może jej teraz włączyć.

Później tego wieczoru Mary-Lou zadzwoniła do Bennetta. Ku jej zdumieniu, podniósł słuchawkę.

– Usiłowałam dzisiaj zdobyć naszyjnik – zaczęła.

– Ale ci się nie udało. Zawiodłaś mnie, Mary-Lou. Próby to za mało, chcę mieć naszyjnik jutro wieczorem, bo inaczej...

– Co?

– Inaczej będzie za późno i stracimy szansę na wiele milionów dolarów. Zabieraj się do roboty, Mary-Lou.

Odłożył słuchawkę. Ciężko opadła na krzesło. Tym razem po jej policzkach popłynęły prawdziwe łzy. Voortmann podał jej numer na swoją komórkę. Wyprostowała się i zadzwoniła do niego.

Odpowiedział po dwunastym sygnale.

– Voortmann.

Miał zachrypnięty głos, w tle słychać było hałasy: głośną muzykę, kobiecy śmiech, szum rozmów, szcęk szkła. Nie trzeba geniusza, by się domyślić, że siedział w barze, a sądząc po głosie, był już pijany.

– Tu Mary-Lou – przedstawiła się zniecierpliwiona. – Masz dla mnie jakieś nowiny?

– Ach, Mary-Lou ... Pewnie się ucieszysz, kiedy ci powiem, że nad tym pracuję, mam kilku zainteresowanych klientów, bardzo bogatych, szanghajczyków...

– Szanghajczyków? – powtórzyła przerażona. O nie, zdecydowanie za blisko domu. Bogaci czy nie, wątpliwe, żeby naprawdę chcieli kupić klejnot, dla nich to zbyt niebezpieczne. Potrzebny jej Amerykanin albo Szwajcar, kolekcjoner z prawdziwego zdarzenia, bogacz, a nie zamożny chiński biznesmen.

– Pokazałem im zdjęcie – chwalił się Voortmann. Mówił coraz' szybciej, słowa zlewały się w jedno. – Nie martw się, wkrótce się ze mną skontaktują.

Mary-Lou się rozłączyła. Stary pijak. Pokazał zdjęcie koleżkom od kieliszka, a ci powiedzą znajomym. Wkrótce po mieście rozejdą się plotki i wtedy znajdzie się w kłopotcie.

Jutro musi zabrać naszyjnik z sejfu.

Rozdział 24

Lily siedziała w swoim gabinecie i wypełniała formularze podatkowe, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Włączyła kamerę, ciekawa, kto przyszedł, i spojrzała na ciemny ekran. Zaniepokojona, wcisnęła guzik interkomu i zapytała, kto idzie. – Policja – usłyszała.

Skuliła się na krześle. Serce waliło jej jak oszalałe, w ustach nagle zaschło. Co znaleźli? Ile wiedzą? Czyżby przemytników złapano na lotnisku i ją zdradzili? W jej głowie kotłowały się tysiące myśli. Zgarnęła dokumenty z biurka, upchnęła je do szuflady i wpuściła nieoczekiwanych gości.

Był tylko jeden młody oficer, poważny i skupiony.

– Madame Song, dotarły do nas skargi, że parkuje pani na ulicy i samochodem blokuje wjazd.

– Och. – Kamień spadł jej z serca. Oczywiście chodziło o samochód Mary-Lou, a ponieważ nie chciała narażać się na gniew sąsiadów, obiecała, że załatwi sprawę. Niemniej jednak odetchnęła z ulgą, gdy policjant odszedł po wygłoszeniu pouczenia. Nic dziwnego, że się tak przeraziła. W jej branży trzeba się trzymać jak najdalej od przedstawicieli prawa.

Cały czas myśląc o naszyjniku, zadzwoniła do Szwajcara. Powiedział, że jego klient nie jest pewny, że sprawa trochę potrwa, zresztą obawia się, że cena będzie za wysoka, nawet dla tak zamożnego kolekcjonera.

– Możemy negocjować – ustąpiła, ale Szwajcar nadal nie był przekonany.

– Odezwę się do pani – powiedział tylko.

Chcąc się upewnić, że naszyjnik naprawdę jest wart tyle, ile żądała, zeszła do piwnicy w domowych kłapkach i otworzyła sejf. Ledwie ciężkie drzwiczki się odsunęły, zajrzała do środka... i znieruchomiała ze zdumienia.

Puzderko z naszyjnikiem ciśnięto w kąt sejfu, paczki banknotów poniewierały się niechlujnie. Lily była bardzo uporządkowana i wszystko miało swoje miejsce – ale nie tym razem. Pamiętała doskonale, że zostawiła zawartość sejfu w nienagannym porządku, z puzderkiem z naszyjnikiem z przodu.

Wyjęła je i otworzyła, przerażona, że naszyjnik zniknął. Po chwili ręce zadrżały jej z ulgi. Nadal tam był.

Osunęła się na skrzynkę i przycisnęła puzderko do piersi. Ktoś tu był, ale kto? Wstała, podbiegła do sejfu, przeliczyła paczki banknotów. Brakowało sporej sumy. Przypomniała sobie, że nie działa kamera i że Mary-Lou była piwnicy wczesnym rankiem, w czasie gdy Lily zazwyczaj jada śniadanie kilka kilometrów dalej.

Ale skąd wiedziała o sejfie? Skąd знаła kod? Lily nigdzie go nie zapisywała, po prostu nauczyła się na pamięć.

Ułożyła porządnie pliki pieniędzy, wyjęła naszyjnik i zamknęła sejf. Wyszła na zewnątrz obejrząc kamerę i przekonała się, że ktoś ją odłączył. Uruchomiła ją, obejrzała taśmę. Jediną osobą na nagraniu była Mary-Lou, zarejestrowana o ósmej zero pięć tego ranka, gdy zastała ją w piwnicy, rzekomo pakującą posążki Buddy.

Musi gdzie indziej ukryć naszyjnik. Oczywiście może go przechować w bankowym sejfie, ale to

zbyt niebezpieczne, gdy coś pójdzie nie tak i władze zaczną dochodzenie. Rozważała, czy nie ukryć go pod materacem, ale to pierwsze miejsce, gdzie zajrzałby potencjalny włamywacz. Usłyszała śpiew kanarka i wpadła na idealne rozwiązanie. Ukryje naszyjnik na dnie klatki. Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy tam szukać.

Ptaszek przysiadł jej na rękę, gdy chowała klejnoty w jego klatce, i śpiewał, szczęśliwy, że poświęca mu tyle uwagi. Kochane stworzonko, pomyślała z czułością. Nie ma pojęcia, że siedzi na milionach.

Postanowiła zastawić pułapkę na Mary-Lou, przyłapać ją na gorącym uczynku. Zadzwoiła do niej i powiedziała, że musi wyjść na cały dzień, ma spotkanie z handlarzem i wróci późno. Czy Mary-Lou mogłaby w tym czasie dopilnować interesu? Zgodnie z jej oczekiwaniami przyjaciółka się zgodziła.

A potem Lily pobiegła na górę, włożyła buty, uśmiechnęła się do kanarka i wyszła. Furtka zamknęła się za nią.

Rozdział 25

Pierwsze, co Mary-Lou zrobiła po rozmowie z Lily, to telefon do Bennetta. Ku jej zdumieniu, od razu podniósł słuchawkę.

– No i? – rzucił oziębłe. Westchnęła.

– Dzisiaj będę go miała – obiecała.

– Gdzie i kiedy?

Nagle się zawahała. Było w Bennecie coś zimnego, co ją przerażało. Na przykład teraz, gdy odebrał telefon tonem tak obojętnym, że poczuła, iż mu na niej nie zależy. Wołała nie ryzykować i nie być z nim sama, gdy przekaże mu naszyjnik. Nie ufała mu.

– Bar Siódme Niebo o ósmej – powiedziała. Tym razem to ona odłożyła słuchawkę.

Pojechała do Lily i podeszła do kamery w ogrodzie, ale już ją włączono. Ledwie zamknęły się za nią drzwi domu, zbiegła do piwnicy. Otworzyła sejf i cofnęła się przerażona. Puzderka nie było!

Nerwowo przekładała pliki banknotów, po raz pierwszy nie zwracając na nie uwagi, ale czerwonej szkatułki nie było w sejfie.

O Boże. Lily go sprzedała. Albo ukryła w innym miejscu. Przyszedł jej do głowy nowy pomysł i z nadzieją wróciła na górę, wyjęła kluczyk do domowego sejfu Lily, ukryty w szafie między swetrami, i zajrzała do środka. Nic. Szukała we wszystkich szufladach i szafkach, zajrzała nawet pod materac. Nic.

Nadal w sypialni Lily gapiła się pustym wzrokiem na swoje odbicie w lustrze. Będzie musiała znowu zagrać na zwłokę z Bennetem, będzie musiała utrzymać go w niepewności, póki nie dowie się, gdzie jest naszyjnik. To jej jedyna szansa.

Drżała ze zdenerwowania i wiedziała, że musi stąd wyjść. Zabrała torebkę, wybiegła na werandę. Kanarek poruszył się na żerdce i zaczął śpiewać. Przenikliwie trele wbijały się w jej głowę jak igły, miała ochotę go zabić. Patrzyła ze złością na śliczną klatkę. Jej ręce drżały z wściekłości, ale oczywiście to nie wina ptaszka.

Musi się napić. Oby alkoholowa odwaga pomogła jej przetrwać ten dzień. Pojechała do zatłoczonego baru na starówce, odwiedzanego głównie przez handlarzy antykami.

Usiadła przy barze, zamówiła martini z wódką i trzema oliwkami i, nadal roztrzęsiona, spojrzała ponuro na swoją twarz w lustrze za kontuarem.

– Mary-Lou, co u ciebie?

Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę, który wspiał się na wysoki barowy stół koło niej. Był to handlarz antyków. Znali się dość słabo.

– Dla mnie to samo – powiedział do kelnera. – Jak interesy? – zapytał z uśmiechem.

Wszyscy wiedzieli, jak innym idą interesy, poza tymi nielegalnymi, ma się rozumieć.

– Jak zwykle. – Upiła łyk martini.

– Chodzą plotki o wyjątkowym okazie – powiedział. – Słyszałaś już? O klejnotach w naszyjniku, który jakoby należał do cesarzowej Smoczycy. Oddałbym wszystko, żeby go dorwać! – Roześmiał się głośno. – Gliniarze pewnie też.

Krew w żyłach Mary-Lou była równie zimna jak jej martini.

– O niczym nie słyszałam – wydusiła. – Skąd te plotki? Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Sama wiesz, jak to jest z plotkami. Podobno ktoś się zwrócił do bogatego biznesmena z ofertą sprzedaży. – Ponownie wzruszył ramionami. – Oczywiście nikt jeszcze tego skarbu nie widział, więc to tylko takie gadanie. Chociaż nigdy nic nie wiadomo. – Podniósł kieliszek w toaście. – Na zdrowie – powiedział i ze zdumieniem patrzył, jak Mary-Lou opróżnia swój jednym haustem. Zsunęła się z barowego stołka.

– Powinnam wracać do pracy – powiedziała, idąc do drzwi.

– Do zobaczenia! – zawołał za nią.

Mary-Lou jechała do biura Voortmanna, trzęsąc się z wściekłości.

– Idiota – mruzczała w samochodzie, stojąc na światłach. – Cholerny pijany dureń. Zabiję go.

Znalazła wolne miejsce do zaparkowania na dole ulicy, ze złością podeszła do żelaznej bramy i wcisnęła guzik. Nikt nie odpowiedział. Nacisnęła ponownie. Nadal nic. Cofnęła się i spojrzała w okna Voortmanna. Ciemne. Gdzie się podział ten kretyn?

Wróciła do samochodu i pojechała prosto do Lily. Musi przynajmniej udawać, że pracuje. I przygotować się na spotkanie z Bennettem. I zdecydować, co właściwie mu powie.

Mary-Lou nie zastała Voortmanna, bo rano złożyło mu wizytę dwóch policjantów.

Słyszał syreny, wyrzwał przez okno, zobaczył, jak włóczędzy i drobni rzezimieszkowie uciekają na wszystkie strony w labiryncie ciemnych uliczek i zaułków. Widział, jak policjanci podchodzą do bramy, i zeszywniał ze strachu, gdy rozbrzmiał dzwonek domofonu.

Od lat nie ruszał się tak szybko. Błyskawicznie usunął ze stołu brylantowy naszyjnik, nad którym pracował, upchnął go i inne klejnoty w małym sejfie ukrytym pod podłogą, pod jego fotelem, spalił zdjęcie naszyjnika w popielniczce, rozsypał popiół na podłodze, żeby nikt nie zdołał odtworzyć niczego z ocalałych poczerniałych skrawków.

Zaschło mu w gardle, gdy wcisnął guzik domofonu i czekał na cios. Zaareztowano go pod zarzutem paserstwa. Czekają go także przesłuchanie w sprawie drogocennych antyków.

Siedział w więzieniu, bez adwokata, i wiedział, że szybko stąd nie wyjdzie. Dygotał na całym ciele. Oddałby wszystko za szklaneczkę whisky.

Rozdział 26

Lily usłyszała plotki tego samego ranka w kafejce przy ulicy Wuzhong, niedaleko bazaru antyków Dongtai. Powtarzano je sobie nad czarami parującej herbaty i miseczkami z xiao long bao, jej ulubionymi pierożkami z wieprzowiną. Jej twarz płonęła gniewem, wybiegła, nie zjadłszy ani jednego. Musi porozmawiać z Mary-Lou. I to natychmiast.

Bennett pocił się na bieżni w doskonale wyposażonej siłowni hotelu Marriott przy ulicy Nanjing, gdzie co rano ćwiczył. Jego pół godziny zbliżało się do końca, zwolnił tempo bieżni i wtedy usłyszał rozmowę za plecami. Odwrócił się i rozpoznał jednego z mężczyzn. Był to syn bogatego biznesmena, który dorobił się, eksportując wyroby elektroniczne. Znany hulaka zapewne miał kontakty w podziemnym świecie miasta i Bennett nie wątpił, że wie, co mówi.

Od razu zrozumiał, co się stało, i przeklinał Mary-Lou. Zszedł z bieżni, wziął prysznic, ubrał się i poszedł do samochodu. Był tak wściekły, że miał ochotę ją zabić, najpierw jednak musi się przekonać, czy zdobyła naszyjnik.

Gdy Lily wróciła, Mary-Lou z zapalem porządkowała zamówienia na kopie starych posążków. Postanowiła udawać, że nic się nie stało, podniosła wzrok i powitała Lily uśmiechem.

– W tym miesiącu interesy idą bardzo dobrze – powiedziała, wymachując plikiem zamówień.

– Wstań – warknęła Lily. – Mam ci coś do powiedzenia. Mary-Lou wstała i spojrzała na nią niespokojnie.

– Co się stało?

– Kłamiesz i oszukujesz. Przez miniony rok okradałaś mnie, nie zwracając uwagi na naszą przyjaźń ani na to, że ci pomogłam, gdy byłaś w trudnej sytuacji. Ufałam ci, Mary-Lou, a ty mnie zawiodłaś. A teraz pół Szanghaju wie o naszyjniku.

– Jakim naszyjniku? – Mary-Lou udawała niewinną.

– Tym, który widziałas w moim sejfie w piwnicy. Tym, który chciałaś sprzedać na czarnym rynku najgorszym możliwym klientom, Chińczykom. – Podniosła rękę w geście nakazującym milczenie, gdy Mary-Lou chciała zaprotestować. – Nie próbuj się tłumaczyć, i tak wiem, że mnie okłamujesz. Nie chcę nawet wiedzieć, jak to zrobiłaś. Chcę tylko, żebyś wyszła. Natychmiast.

Mary-Lou wiedziała, że nie ma sensu dyskutować. Została osądzona i skazana. Straciła już szanse na zdobycie naszyjnika. Zabrała zakiet i torebkę i minęła Lily w drodze do drzwi.

– Nie życzę ci szczęścia w sprzedaży naszyjnika, Lily – powiedziała z goryczą. – Wiesz co? Zrobię wszystko, by do tej sprzedaży nie dopuścić, nawet gdybym miała iść na policję.

– Ależ proszę. – Lily wzruszyła ramionami. – Znajdą tylko sejf ze skromnymi oszczędnościami, które zarobiłam, wykonując kopie dla turystów. Mary-Lou, nie jestem idiotką i mylisz się, jeśli tak uważasz. Ani ty, ani władze niczego mi nie zrobicie.

Może my nie, ale Bennett Yuan owszem, pomyślała Mary-Lou, po raz ostatni wychodząc z tego domu.

Była punktualna, ale Bennett zjawił się przed nią i o ósmej czekał, już przy barze Siódme Niebo. Tego dnia zadała sobie specjalnie dużo trudu, poświęciła mnóstwo uwagi swemu wyglądowi. Miała

na sobie nową krótką sukienkę z kremowego jedwabiu i jasne zamszowe pantofle bez palców, na wysokich obcasach. Podkreśliła oczy brązowym cieniem, na jej ustach jak zwykle lśniła czerwona szminka. W jej uszach kołysały się złote kolczyki, na szczupłym ramieniu widać się złota bransoleta w kształcie węża. Była piękna i dobrze o tym wiedziała.

– Siadaj, Mary-Lou – rzucił Bennett bez wstępu. – Zakładam, że w torebce masz naszyjnik?

– Nie do końca...

– Tak czy nie?

– Nie – przyznała. – Ale jutro...

Spojrzał na nią z pogardą i odwrócił głowę. Nie zapytał, czego się napije, więc sama zawołała kelnera i zamówiła martini, ale była tak zdenerwowana, że zapomniała dodać, że ma być bardzo zimne, z trzema oliwkami nadziewanymi serem pleśniowym.

– Nie masz naszyjnika, ale połowa Szanghaju już o nim wie. – Bennett był bezwzględny jak myśliwy tropiący zwierzynę. – Możesz to wytłumaczyć?

O Boże, więc on, podobnie jak Lily, słyszał plotki. Niepotrzebnie poszła do Voortmanna, ale była zdesperowana.

– Nie wydawałeś się zainteresowany, a ja potrzebowałam kupca, i to szybko, więc zwróciłam się do Voortmanna...

– Tego Holendra? Szlifierza brylantów? Tego tandeciarza? Boże, przecież on nie sprzedaje niczego cenniejszego niż rzeczy warte kilka tysięcy dolarów! Oszalałaś?

Zwiesiła głowę. Kelner postawił przed nią kieliszek. Gdy odszedł, upiła spory łyk.

Bennett pochylił się na stolikiem. Ich twarze znalazły się blisko siebie, gdy szeptał:

– Wiesz, nie uwierzyłbym w tę historię z naszyjnikiem, gdybym sam nie znalazł dowodów na jej prawdziwość. Oczywiście ma go Lily Song, prawda? I zastanawiam się teraz, po co mi pośrednik, skoro mogę się zwrócić do samego źródła? Lily go ma, skarbie, nie ty.

Otępiła patrzyła, jak wstaje i wychodzi. Nawet się nie pożegnał. Straciła pracę i naszyjnik. A teraz także Bennetta. Jej świat legł w gruzach.

Rozdział 27

Bennett wiedział, że miasto aż huczy od plotek, podsycanych spekulacjami, ile naszyjnik może być wart i kto go ma. Wiedział także, że takich klejnotów o ogromnej wartości muzealnej nie zdoła sprzedać w żadnym liczącym się domu aukcyjnym na całym świecie. Tylko prywatny kolekcjoner, zakochany w złowróźbnej perle, zdecyduje się na zakup i ukrycie naszyjnika przed ciekawskim wzrokiem, by napawać się nim w tajemnicy, rozkoszować rozważaniami o jego mrocznym pochodzeniu. Tak, jak podobno robią kolekcjonerzy kradzionych obrazów, chowając arcydzieła w sobie tylko znanych skrytkach w ścianach, otwierających się po naciśnięciu magicznego guzika i odsłaniających bezcenną zawartość jedynie oczom właściciela.

Nikt lepiej niż Bennett nie wiedział, że ludzie mają różne dziwactwa i choć tacy kolekcjonerzy należą do rzadkości, miał w głowie kilku kandydatów.

Teraz jednak sprzedaż nie wchodziła w grę. Zbyt niebezpieczna. Żaden klient się nie skusi. Lily będzie musiała poczekać. Teraz nie może ryzykować.

Tymczasem skupił się na łatwiejszej drodze do pieniędzy. Jechał do Wenecji, żeby wziąć ślub.

Mary-Lou wydzwaniała do niego bez końca, chcąc ratować ich związek. Wreszcie zdesperowana, poszła do Marriotta na siłownię, ale powiedziano jej, że pan Yuan wyjechał. Do Europy, poinformowała hostessa. Żeby się ożenić, dodała z uśmiechem.

Pod Mary-Lou ugięły się nogi. Zachwiała się, recepcjonistka podała jej szklanekę wody i kazała na chwilę usiąść. Później Mary-Lou nie pamiętała, jak wyszła z hotelu i wróciła do domu, wiedziała tylko, że weszła do siebie i zamknęła drzwi na klucz. Stała przy oknie, tym samym, w którym wisiała kryształowa kula zapewniająca dobre *chi*, i płakała bezgłośnie, rozdarta zdradą Bennetta. Nie miała nikogo. Niczego. I nic do stracenia.

Bennett nie mylił się co do Lily. Nie mogła ryzykować sprzedaży naszyjnika, póki plotki nie ucichną. Szwajcar się wycofał. Musi odczekać, zanim zwróci się do kolejnego potencjalnego nabywcy.

Siedziała w pięknym ogródku, wsłuchana w szum fontanny i śpiew kanarka, wpatrzona w staw ze złotymi rybkami, otoczona zapachem lotosu, i po raz pierwszy pożałowała, że matka przekazała naszyjnik panu Tai Lam. Nie miałyby teraz tylu kłopotów. Żyło jej się wygodnie ze sprzedaży kradzionych antyków i trwałaby w tej branży. Czasami żądza bogactwa pcha ludzi do drastycznych kroków. Czasami się wydaje, że bogactwo nie jest tego warte.

Rozdział 28

Wenecja

Miesiąc minął błyskawicznie i Grizelda zdążyła dopiąć wszystko na ostatni guzik: załatwiła bazylikę, kwiaty, przyjęcie weselne w hotelu Cipriani. Ba, poleciała nawet do Paryża, żeby dopilnować sukni i wreszcie osiągnięto kompromis: Preshy wystąpi w długiej kreacji z szyfonu w kolorze mgły, z narzutką z kapturem ze złotego brokatu, podbitej brązowym aksamitem i obszytej futrem, bo nawet w Wenecji jest chłodno w listopadzie.

Daria z rodziną i Sylvie zatrzymają się z Preshy i starszymi paniami w pałacu Rendino, a Bennett, zgodnie z tradycją, spędzi ostatnią noc przed ślubem pod innym dachem niż jego przyszła żona. Zdecydował się na Hotel des Bains, w Lido, po przeciwnej stronie zatoki, ekstrawagancki secesyjny hołd dla luksusu, bo, jak powiedział, chciał mknąć do niej przez zatokę, jak pirat z dawnych lat.

W przeddzień ceremonii Grizelda i Mimi wydały przyjęcie dla wszystkich pięćdziesięciu gości w wyblakłym złotym przepychu *palazzo*. Grizelda zapierała dech w piersiach w czerwonej sukni od Valentino, Mimi nie ustępowała jej kroku w jasnozielonym szyfonie od Versace. Kręciły się między gośćmi, dbały, by wszyscy się dobrze bawili. Daria i Tom, jej brodaty, uczony mąż, trzymali się za ręce. Tom opiekował się Super-dzieciakiem Lauren, przyszłą druhną, która nie posiadała się z podniecenia i trochę marudziła.

– Niestety, dzisiaj nie jest taka super – stwierdziła Daria ze smutkiem, ale Tom zapewnił, że małej poprawi się humor, gdy zje trochę ukochanego spaghetti.

Daria oczywiście wyglądała jak prawdziwa amerykańska dziewczyna w świetnie skrojonym kremowym kostiumie. Patrząc na Toma, Preshy z uśmiechem przypominała sobie opowieść Darii, jak ograła go w pokera, aż został w samych slipach, blady i profesorski, i zakochała się w nim bez pamięci.

Sylvie wystąpiła w czerni.

– Bo wyszczupła – wyjaśniła z westchnieniem, ale cieszyła się, że tym razem jest gościem i nie musi gotować. A pozostali, głównie znajomi Grizeldy i Mimi, prezentowali stroje eleganckie, modne i zdecydowanie nieodpowiednie dla osób w ich wieku. Oczywiście przyszła panna młoda była na tyle szykowna, na ile ciotka zdołała tego dopilnować; w ciemnoniebieskiej sukni, z włosami rozwianymi na wietrze, wyglądała, jak stwierdził Bennett, jak anioł preraphaelitów.

W wielkim złocistym salonie płonął ogień na dwóch kominkach, w żyrandolach Murano odbijał się blask świec, rozjaśniał spłowiałe freski, sprawiał, że przestronna sala stawała się przytulna. Kwartet smyczkowy grał Vivaldiego, rodowitego kompozytora z Wenecji, kelnerzy w białych marynarkach roznosili szampana i przekąski, a Lalah i Schnuppi czekały podniecone i plątały się wszystkim pod nogami.

Na zewnątrz, za wysokimi oknami, kanał błyszczał w mroku.

– Piękny. – Bennett stał przy oknie, wpatrzony w wodę. – Taki ciemny i spokojny.

Preshy wzięła go za rękę.

– Teraz rozumiesz, czemu tak bardzo kocham Wenecję. Skinął głową.

– Tak – stwierdził po chwili namysłu. – Teraz rozumiem. Wkrótce Grizelda zapraszała gości do gondoli, które zawiozą ich na uroczystą kolację.

Mała flotylla zmierzała do restauracji przy Fondamente Nuove, z widokiem na zamgloną lagunę i Isola di San Michele, być może najpiękniejszy cmentarz na świecie. Kolacja okazała się sukcesem, w lokalu było głośno od zabawnych toastów, śmiechu i śpiewów, gdy wszyscy za dużo wypili i zjedli, między innymi risotto z owocami morza, najlepszym, jak orzekła Sylvie, jakie w życiu jadła.

Preshy rozkoszowała się każdą chwilą, gawędziła z przyjaciółmi, gdy zobaczyła Bennetta pogrążonego w poważnej rozmowie z ciotką Grizeldą.

– Cioteczka poucza go co do jego obowiązków jako zięcia – stwierdziła ze śmiechem, szturchając Darię w bok. – Dziwię się, że nie chciała’ mnie uświadomić, skąd się biorą dzieci.

Dużo później, najedzeni i napici, wracali z Bennettem na piechotę do pałacu Rendino. Objęci w pasie, szli wąskimi *calli* przez małe mostki, a Preshy snuła plany wspólnej przyszłości.

U wrót *palazzo* spojrzała na przyszłego męża. Przyciągnął ją do siebie. Objęła go za szyję i uśmiechnęła się do niego.

– Jutro, najdroższy – szepnęła i pocałowała go na dobranoc.

– Jutro – obiecał i przypieczętował to długim pocałunkiem. – Już nie mogę się doczekać.

Preshy patrzyła, jak odchodzi, wysoki, przystojny, w ciemnym garniturze. Na rogu zatrzymał się i pomachał jej na pożegnanie. Był marzeniem każdej kobiety, a wkrótce stanie się jej rzeczywistością.

Rozdział 29

Dzień ślubu był pogodny i zimny. Laguna lśniła w bladym blasku słońca, tylko gdzieniegdzie spokój naruszały *motoscafo*. Preshy przez chwilę stała sama, w ślubnej kreacji, na schodach do *palazzo*. Pomyślała, że Wenecja nigdy nie była równie piękna. Jej gondola czekała przy na – brzeżu, odświętnie udekorowana girlandami zieleni i białymi kwiatami. Gondolier w szerokim kapeluszu podał jej rękę, gdy wsiadała. Jego dłoń była zimna jak północny wiatr.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, usiadła na białych poduszkach, poprawiła suknię koloru mgły, ułożyła obszyty futrem kaptur na złotych lokach. Zacisnęła dłonie na bukietcie z miodowych orchidei. Była zdenerwowana, ale szczęśliwa.

Przechodnie odwracali się za nią, gdy mknęła gondolą po Canale Grandę. Przy przystanku *vaporetto* tłum czekających pozdrawiał ją głośno i życzył szczęścia. Pomachała im, rozpromieniona. Czowała się jak Kleopatra wjeżdżająca do Rzymu.

Ponieważ wuj Oscar już dawno wkroczył do miejsca, które nazywał niebem, nie miała żadnego żyjącego krewnego płci męskiej, który zaprowadziłby ją do ołtarza i mimo protestów ciotki Grizeldy uparła się, że sama przyjedzie do bazyliki i przejdzie przez kościół.

– Nie jestem dzieckiem – zauważyła godzinę wcześniej, gdy razem z ciotką popijały prosecco w *palazzo*, w *piano nobile*, tej samej sali, gdzie poprzedniego wieczoru odbyło się przyjęcie. A potem Grizelda i Mimi odpłynęły do kościoła własną gondolą, oczywiście w towarzystwie odświętnie przystrojonych rozszechkanych psiaków i grupy przyjaciółek w ogromnych kapeluszach, z futrzanymi mufkami, mieniących się od klejnotów, rozbawionych starymi dowcipami i anegdotami.

– Mam trzydzieści osiem lat i zapewniam cię, że sama trafię na własny ślub.

Grizelda westchnęła i pogodziła się z porażką, choć nie miała w tym dużego doświadczenia. Jednak w końcu uległa i teraz siedziała w pierwszej ławce w imponującej bazylice di Santa Maria Della Salute, podobnie jak goście Bennetta. Tylko że Bennett nie zaprosił nikogo, bo nie miał ani rodziny, ani bliskich przyjaciół. I dlatego Tom Darii zgodził się być jego drużbą.

Gondola majestatycznie sunęła koło bazyliki. Preshy podniosła wzrok na lśniącą kopułę. Był to jej ulubiony wenecki kościół, choć w tym mieście było chyba więcej świątyń niż gdziekolwiek indziej. Wydawało się, że za każdym rogiem czeka kolejna, jeszcze piękniejsza od poprzedniej, dla niej jednak bazylika miała wyjątkowe znaczenie. Po raz pierwszy przywieźli ją tu rodzice, gdy miała cztery latka. Wielokrotnie jej tłumaczono, że nie może tego pamiętać, ona jednak wiedziała swoje. Pamiętała oszałamiający ogrom świątyni, przytłaczający w oczach dziecka. Pamiętała przepych kolorów, błysk złota i malowidła, i mozaiki. I pamiętała, jak rodzice trzymali ją za rączki, gdy szli do ołtarza. Było to jej jedyne wspomnienie o nich i dlatego chciała wziąć ślub właśnie tu.

Brokatowa pelerynka unosiła się na wietrze, gdy wysiadła z gondoli z twarzą wtuloną w futrzane obicie kaptura. Tajemnicza panna młoda, pomyślała z uśmiechem. Poczwała się jak bohaterka jakiejś romantycznej powieści.

Zimne powietrze wewnątrz bazyliki przesycił zapach dwóch tysięcy róż sprowadzonych z Kolumbii. Ciotka Grizelda podbiegła do niej, zjawiskowa w perłowo-białym kostiumie, z kołem

młyńskim w roli kapelusza, którego kolor rozkosz się gryzł z jej rudymi włosami. Brylantowej broszki mogłaby jej pozazdrościć królowa Elżbieta, ale na jej twarzy, zamiast uśmiechu, widniał grymas.

– Chodź tu, skarbie. – Złapała ją za rękę i odciągnęła na bok. Preshy przyglądała się jej zdumiona. Organista grał Vivaldiego – wiedziała, że tak zabija czas, zanim rozbrzmi Haydn, którego wybrała.

– Nie ma go – oznajmiał ciotka Grizelda.

– Kogo? – zdziwiła się.

– Bennetta. Nie ma go, kochanie.

– Och... – zdumiona, patrzyła na ciotkę. – Cóż, pewnie utknął w korku, tak, na pewno.

– Jesteśmy nad Canale Grande, nie na Madison Avenue. – Grizelda zacisnęła dłonie jeszcze mocniej. – Zresztą w hotelu też go nie ma. Dzwoniłam tam, Preshy. Powiedzieli, że wczoraj się wymeldował.

Preshy gapiła się na ciotkę wielkimi oczami. Gniotła w dłoniach bukiet miodowych orchidei. Grizelda wyjęła jej kwiaty z dłoni i rzuciła na podłogę. Wzięła Preshy za rękę. Były lodowato zimne.

Stara pani miała łzy w oczach.

– Ślubu nie będzie – orzekła. – Bennert wyjechał.

Preshy miała wrażenie, że unosi się w przestrzeni. Widziała Mimi, bladą jak ściana, przerażone twarze Maurice'a i Jeanie, słyszała szepty starych przyjaciółek, tak eleganckich w wielkich kapeluszach, teraz poważnych, skupionych na niej. Jej druhny, Sylvie i Daria, śliczne w morelowych kreacjach, podeszły niespokojne. Tom trzymał na ręku milczącą Lauren. Nawet psiaki przestały ujadać.

Spojrzała na nich i na ciotkę, nadal wczepioną kurczowo w jej lodowate dłonie.

– To jakaś pomyłka – szepnęła. – Na pewno zadzwoni, powie, co się stało... poczekamy...

Wszyscy milczeli.

– Zadzwonimy jeszcze raz do hotelu – poprosiła błagalnie. – Na pewno się pomylili.

– Och, kochanie... – Ciotka się rozplakała. Preshy jeszcze nigdy nie widziała jej łez.

– Nie – powiedziała, nagle spokojna. – Nie płacz, ciociu, rozmazesz sobie makijaż.

– Och, *merde!* – Krzyknęła ciotka, nagle wściekła. – Jak on śmiał ci to zrobić? Zabiję go, wykastruję, skręcę mu kark gołymi rękami...

Daria i Sylvie objęły ją serdecznie i szeptały, że im bardzo przykro, że to, co zrobił, jest niewybaczalne, że ją kochają, że wkrótce wszystko będzie dobrze.

Preshy milczała. Była w samym oku cyklonu smutku i rozpacz; oto ona, wżgardzona panna młoda, porzucona przed ołtarzem. I to przed przepięknym ołtarzem, który przed laty pokazali jej rodzice.

Rozejrzała się, zastanawiając się, co robić. Goście zlecieli się z całego świata na ten ślub. W hotelu Cipriani, na uroczej wysepce Giudecca, czeka ucztę weselną: szampan, tort i jeszcze więcej kolumbijskich róż, a później uroczysta kolacja i tańce.

Wstała, spokojna i opanowana.

– Nic się nie stało – powiedziała głośno. – Wiecie, co się mówi: Przedstawienie musi trwać. Wodne taksówki czekają, by zabrać nas na przyjęcie, więc chodźmy.

I, z Darią i Sylvie za plecami, poprowadziła orszak weselny na przyjęcie, które, jak później oceniła, miało więcej ze stypy niż wesela.

Część 2

Rafferty

Rozdział 30

Paryż

Na myśl o zimie i długich, ponurych szarych dniach w nagle boleśnie pustym mieszkaniu Preshy uległa namowom Darii i wsiadła w samolot lecący do Bostonu.

Pierwsze kilka tygodni spędziła u siebie, zbywając pytania uśmiechniętych sąsiadów i znajomych, jak się żyje w stanie małżeńskim, krótką odpowiedzią, że nie wie, bo nie wyszła za mąż i nie ma takiego zamiaru, a ludzie byli zbyt uprzejmi albo po prostu zbyt delikatni, by pytać, co poszło nie tak.

Na lotnisku Logan Darii wystarczyło jedno spojrzenie na smutną, zaniedbaną przyjaciółkę z jedną walizką, by obie się rozplakały.

W samochodzie w drodze do domu w Cambridge Daria podała Preshy pudełko chusteczek i zerknęła na nią kątem oka.

– Długo tak nie pociągniesz, sama wiesz. Nie ciebie pierwszą facet porzucił, choć ciebie zostawił przed ołtarzem.

– Nie musisz mi przypominać. – Preshy chlipnęła cicho, wpatrzona w deszcz za oknem. – Wiesz, ani razu do mnie nie zadzwonił, nie napisał, nie próbował się wytłumaczyć. A ja jestem zbyt dumna, by do niego dzwonić. Czego nie można powiedzieć o cioteczce G. Zatrudniła prywatnych detektywów, by go odnaleźli. – Roześmiała się przez łzy. – Może lepiej, żeby go nie znalazła, bo zabije go gołymi rękami.

– O ile dobrze pamiętam, była też mowa o kastracji.

– W każdym razie poszukiwania nie przyniosły spodziewanych rezultatów. W Szanghaju nie mieszka żaden Bennett James. Nie ma luksusowego apartamentu, nikt nie słyszał o firmie James Exports. W Dartmouth nie mają nim pojęcia. Dario, Bennett James nie istnieje. Nie mam pojęcia, kim naprawdę jest i dlaczego postąpił tak podle, choć ciotka Grizelda twierdzi, że polował na moje pieniądze.

– Jakie pieniądze? – Daria zahamowała gwałtownie na czerwonym świetle. Uśmiechnęła się słodko do policjanta w wozie patrolowym, który zatrzymał się obok. Funkcjonariusz łypnął na nią groźnie. – Nie zrobiłam nic złego – szepnęła.

Pytająco uniósł brew, pokręcił głową i pogroził jej palcem.

– O cholera – mruknęła, bardziej skoncentrowana, gdy światła zmieniły się na zielone. – Tak się skupiałam na tym draniu Bennecie, że nie myślę, co robię.

Preshy chyba jej nie słyszała, mówiła dalej.

– Powiedziałam ciotce Grizeldzie to samo: jakie pieniądze? Przecież ja nie mam pieniędzy. Mam tylko antykwariat, który pozwala mi na przyzwoite życie, ale nie zarabiam tam kokosów. Ale cioteczka G upierała się, że wyglądam na bogaczkę, noszę przecież brylanty, mieszkam w Paryżu... Powiedziała, że Bennett był pewny mego bogactwa, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że jestem jedyną żyjącą krewną starej bogatej ciotki. „Dodaj dwa do dwóch, skarbie”, powiedziała do mnie.

„Zadaj sobie pytanie, jak zapewne zrobił to Bennett, komu kochana cioteczka G zapisze swój majątek?”

Preshy spojrzała na Darię, cały czas wpatrzoną w drogę przed nimi.

– Powiedziała, że nigdy się nad tym nie zastanawiała, to znaczy, nie myślałam o tym, że może umrzeć i w ogóle, sama wiesz. Cioteczka G stwierdziła, że to bardzo dobrze, bo nie wybiera się na razie na tamten świat. Ale potem dodała, że musi mi coś wyznać.

Daria zerknęła na nią kątem oka.

– Wyznać? A co takiego zrobiła? – Skręciła w brukowany podjazd, jeśli cztery metry bruku przed małym domkiem zasługują na wielkopański tytuł podjazdu. Zaparkowała samochód i ponownie spojrzała na Preshy, ciekawa jej odpowiedzi.

– Pamiętasz wieczór przed ślubem, kiedy poszliśmy na kolację do tej uroczej trattorii przy Fondementa Nuove? – Daria skinęła głową. – I pamiętasz, jak wszyscy świetnie się bawiliśmy, wznosiliśmy głupie toasty, żartowaliśmy... – Kolejne skinienie. – Może wszyscy, poza Bennettem – zauważyła Preshy. – Widziałam, że jest pogrążony w rozmowie z cioteczką G, i oto o czym rozmawiali. Opowiadała Bennettowi, jak to jakiś szaleniec chciał ją zepchnąć z Grandę Corniche kilka tygodni wcześniej. Opowiadała mu, jak myślała, że zaraz umrze i jej pierwszą myślą było, że za żadne skarby świata nie chce przegapić mojego ślubu. Bennett się roześmiał i stwierdził:

– Może to Preshy chciała się ciebie pozbyć, żeby jak najszybciej położyć łapę na pieniądzach.

Cioteczkę G trochę to zaskoczyło, ale zaraz wyprowadziła go z błędu.

– Och, nie – zapewniła. – Preshy wie, że nie odziedziczy ani grosza. To silna dziewczyna i bardzo mądra. Chcę, żeby sama sobie poradziła w życiu. Mój majątek trafi do moich ulubionych organizacji dobroczynnych: do fundacji imienia księżnej Grace, do organizacji opiekującej się dziećmi chorymi na raka i do schroniska dla emerytowanych koni wyścigowych. Mimi tak samo – dodała. – Tylko że ona wybrała emerytowane charty.

Później Bennett bardzo się wyciszył i, teraz to sobie przypominam, milczał też prawie całą drogę do *palazzo*. To ja ciągle gadałam, to ja snułam plany.

– Drań. – Daria pochyliła się i objęła przyjaciółkę. – Jesteś jak bohaterka powieści Henry’ego Jamesa. Czekał, jaki to był tytuł? *Plac Waszyngtona!*

Preshy uśmiechnęła się z trudem i otarła łzy przed wejściem do domu i powitaniem chrześnicy.

– Cóż, w każdym razie trafiłam do właściwego miasta – chlipnęła. Lauren, Super-dzieciak, rzuciła się na Preshy, ledwie ta wysiadła z samochodu. Preshy wzięła ją na ręce i jęknęła pod ciężarem trzylatki.

– Dorastasz, Super-dzieciaku – jęknęła. – A obiecałaś, że nigdy tego nie zrobisz.

– Staram się, ciociu, naprawdę – wykrztusiła rozchichotana dziewczynka.

Tom już czekał, jak zwykle po profesorsku niechlujny, w powyciąganym swetrze i sztruksach. Był nie tylko świetnym fizykiem; umiał także gotować i na stole, zastawionym talerzami z różnych kompletów, już czekała kolacja.

Salon, powstały po wyburzeniu ścianek działowych między kuchnią a gabinetem, zajmował cały parter budynku. Panował w nim przyjemny chaos; wszędzie poniewierały się dziecięce zabawki i buciki, płaszcze kładło się tam, gdzie się stało, a wszystko pokrywała cieniutka warstewka kurzu. W białym kominku płonął ogień, Neil Young śpiewał cicho, a w wyciszonym telewizorze Anderson Cooper mówił coś bezgłośnie.

Tom otworzył tanie reńskie wino staroświeckim korkociągiem, przytrzymując butelkę między kolanami. Gdy korek wystrzelił, triumfalnie uśmiechnął się do Preshy.

– Witamy nieszczęśliwą – powiedział, nalał jej wina i podał kieliszek. – Proszę, skarbie, utop w tym swoje smutki.

– Och, Tom... – Spojrzała na niego ze łzami w oczach. Pokręcił głową.

– Musisz się otrząsnąć, kochanie. Bennett nie wróci, chyba że po moim trupie. Albo własnym – dodał ponuro. Nalał wina żonie, podał córeczce sok pomarańczowy.

– Mamy dla ciebie propozycję – oznajmiła Daria, gdy Preshy przesunęła na bok konsolę PlayStation i stertę swetrów i przysiadła na sfatygowanej kanapie. – Postanowiliśmy, że damy ci trzydzieści dni na rozpacz. Trzydzieści dni, gdy będziesz mogła szlochać i użalać się nad sobą. Potem – koniec. Rozumiemy się? – Przesunęła PlayStation jeszcze dalej i usiadła koło przyjaciółki. – Jasne, Presh? Trzydzieści dni na rozdrapywanie ran, później wracasz do życia. Więc jak: umowa stoi?

Preshy spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– No dobrze, spróbuję.

– Nie, nie spróbujesz, tylko tak zrobisz, Presh. Przeżyjesz. Nikt nie zginął, nikt nie ucierpiał – tylko twoje uczucia i twoja duma. Znowu staniesz na nogi i przejdziesz nad tym do porządku dziennego. Obiecuj mi to, a będziemy cierpliwi i serdeczni podczas trzydziestu dni rozpaczy. W porządku?

Preshy głęboko zaczerpnęła tchu. Nie była pewna, czy zdoła dotrzymać słowa, ale złożyła obietnicę. Tom podniósł kieliszek w toaście.

– Napijmy się za to – powiedział.

Po chwili zdjął z kuchenki garnek z wołowiną po burgońsku, postawił na środku stołu, pokroił bochenek chrupiącego chleba, wyjął sałatę i zaprosił wszystkich do stołu.

Preshy nigdy w życiu nie jadła równie dobrego jedzenia, jak tu, wśród prawdziwych przyjaciół, otoczona miłością i wsparciem, gdy topiła rozpacz pierwszego z trzydziestu dni w tanim winie.

Daria i Super-dzieciak starały się ją zająć, zabierały na spacerzy nad rzekę Charles, na zwiedzanie przedszkola Montessori, chodziły do Harvard Coop, gdzie kupowały z nią bluzy i czapeczki baseballowe, buszowały w księgarniach i sklepach muzycznych. Kiedy jednak rozpacz stała się nie do zniesienia, uciekła na przylądek Cod, do starego domku, pełnego cudownych wspomnień z młodości.

Samotnie włóczyła się po zimowej plaży, wpatrzona w groźne fale. A później, na werandzie, otulona kocami dla ochrony przed zimnem, w kółko zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że mężczyzna, którego, jak jej się zdawało, kochała, mógł jej zrobić coś tak strasznego.

Ale potem pojawiły się inne pytania: Czy naprawdę nadal kocha Bennetta? Czy w ogóle go kiedykolwiek kochała? A może po prostu zwałił ją z nóg urodą, wdziękiem i romantycznością związku na odległość? Może zawróciły jej w głowie telefony na dobranoc z najdalszych zakątków świata, kwiaty, szampan, wypad na wieś, pierścionek zaręczynowy? Kiedy o tym myślała, doszła do wniosku, że Bennett dążył do ślubu w takim tempie, że nie zdążyła się nawet zastanowić, jak wyglądałoby ich wspólne życie. I zdała sobie sprawę z tego, że wiedziała o Bennecie bardzo niewiele, tylko to, co sam mówił, a wtedy we wszystko uwierzyła.

Na przykład w dzieciństwo w sierocińcu i powody, dla których nie ma przyjaciół; albo w firmę w Szanghaju, która, jak zakładała, przynosi spore zyski. Nie miała nawet jego adresu i numeru telefonu stacjonarnego; podał jej tylko adres e-mailowy i telefon komórkowy, bo, jak twierdził, ciągle jest w podróży.

Teraz, z perspektywy czasu, wiedziała, że zachowała się jak idiotka. Choć nie chciała w to uwierzyć, Bennett James, czy jak tam się naprawdę nazywał, nigdy jej nie kochał i żenił się z nią tylko dla pieniędzy, które, jak sądził, odziedziczy. Nie wiedziała, co bardziej boli. I w przeciwieństwie do bohaterki *Placu Waszyngtona*, nie mogła zamknąć mu drzwi przed nosem, bo rozplynął się bez śladu, zniknął nie wiadomo gdzie, zaszył się w miejscu, w którym ukrywają się tacy jak on. Na przykład hiszpańska Marbella, pomyślała z goryczą. Czyż nie tam polują wszyscy oszuści matrymonialni?

Poczuła się odrobinę lepiej. Wróciła do Darii, do Bostonu, i powiedziała przyjaciółce, że

uporała się z rozpaczą. Przyjęła cios, ale już się podniosła. Niech piekło pochłonie Bennetta Jamesa.
– Nadal ci zostało trochę dni rozpaczy – zauważyła Daria i Preshy, jak na zawołanie, zalała się łzami. – Musisz zacząć nowe życie, Presh – powiedziała Daria poważnie. – Już najwyższy czas.

Rozdział 31

Paryż

Tydzień później Preshy wróciła do domu. Był pogodny grudniowy ranek, ale nie otworzyła okiennic. Leżała na kanapie. W pokoju panowała cisza. Nikt nie dzwonił, radio milczało, nawet uliczny hałas nie docierał przez zamknięte okiennice. Zazwyczaj o tej porze piła poranną kawę z bagietką w pobliskiej kafejce, ale dzisiaj nie miała na to siły. Był to dwudziesty z trzydziestu dni rozpaczy, które wyznaczyła jej Daria. Cały czas dręczyły ją te same pytania. Czy Bennett naprawdę jest taki podstępny? Czy naprawdę chciał się z nią ożenić tylko dla pieniędzy? Jak to możliwe? Był przecież taki szarmancki, taki zakochany, taki cudowny.

Poprzedniego wieczoru zadzwoniła ciotka Grizelda i namawiała Preshy, żeby do nich przyjechała.

– Pojeździmy na nartach – kusila, aż Preshy się roześmiała, bo wizja szusującej osoby w wieku ciotki Grizeldy (bliżej nieokreślonym, ale jednak bardzo zaawansowanym) była przerażająca, zresztą wiedziała, że to tylko pretekst i starsza pani chce mieć ją na oku. – Muszę się upewnić, że nie zrobisz żadnego głupstwa – dodała ciotka.

– Żaden facet nie jest wart popełnienia głupstwa, jak to nazywasz – zapewniła Preshy, ale nie zmieniało to faktu, że nie miała dokąd iść. Jedynie, jak powtarzały Daria i Sylvie, przed siebie, do przodu.

Z westchnieniem wstała z kanapy i przejrzała się w pięknie złożonym lustrze w stylu Ludwika XVI, wiszącym nad kominkiem. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Twarz bez makijażu była blada i zapuchnięta, podkrążone, przekrwione oczy, rozczochrane, splątane włosy. Przeczesała je palcami, zła, że się kręca, podczas gdy reszta kobiet na świecie ma włosy proste. Los jest niesprawiedliwy, pomyślała i rozplakała się. Patrzyła na potwora w lustrze.

– Ty idiotko – skarciła się surowo. – Rozczulasz się nad sobą. Myślisz, że Bennett robi to samo? O nie, na pewno nie. – Puściła włosy. – Cóż, z Bennettem nic nie zrobię – powiedziała głośno. – Ale z moimi włosami – tak.

Godzinę później siedziała w salonie fryzjerskim na bulwarze Saint Germain.

– Proszę ściąć wszystko – powiedziała. Fryzjer z zachwytem bawił się złotym lokiem.

– Na pewno? – zapytał. – Może skrócimy je do ramion, zobaczymy, jak się to pani spodoba. Na krótko to bardzo drastyczna zmiana.

– I właśnie tego chcę – stwierdziła Preshy. – Drastycznej zmiany. Chcę wyglądać jak Audrey Hepburn.

Dwie godziny później nie wyglądała co prawda jak Audrey Hepburn, ale zmiana była radykalna. Fala loków zniknęła, zastąpiła ją krótka fryzura z niesfornymi loczkami opadającymi na twarz, na oczy. Przeczesała włosy palcami, potrząsnęła głową. Nowa fryzura uwolniła ją od przeszłości, sprawiła, że nabrała dystansu do słabej romantycznej idiotki, którą kiedyś była. Oto nowa Preshy Rafferty.

Chcąc się utwierdzić w tym przekonaniu, wsiadła w metro i pojechała na bulwar Haussmann do galerii Lafayette. Godzinę później niosła sterty toreb z nową bielizną. Choć nikt jej w niej nie zobaczy i tak poczuła się lepiej. Następne kroki skierowała do działu kosmetycznego. Usiadła przy stoisku Chanel i pozwoliła, by śliczna stylistka wymyśliła jej nowy makijaż. Wystarczyło jedno spojrzenie na miedziane loki Preshy, by zaproponowała różowy róż i taką szminkę.

– Będzie pani dosłownie promienieć – zapewniła. A że tego właśnie Preshy potrzebowała, zgodziła się od razu.

W dziale z perfumami zastanawiała się, od jak dawna używa tego zapachu. Dobre dziesięć, dwanaście lat. Uważała go za swój znak rozpoznawczy, choć oczywiście sięgały po niego miliony kobiet. Czas to także zmienić. Zdecydowała się na perfumy Hermesa. Nazywały się 24 Faubourg, jak paryski adres firmy.

– To były ulubione perfumy księżnej Diany – poinformowała ją sprzedawczyni i Preshy przez chwilę zastanawiała się, czy dokonała właściwego wyboru. Cokolwiek by powiedzieć, księżna Diana nie miała szczęścia do mężczyzn, prawda?

Rozważała też kupno nowych butów, ale uznała, że za bardzo przypomina to zachowanie wzgardzonej kobiety z dowcipów, a ona nie chciała popaść w schemat, więc wsiadła do taksówki i pojechała do Verlaine. Sylvie akurat układała menu na wieczór.

Podniosła głowę, gdy Preshy stanęła w progu i obróciła się na pięcie.

– I co ty na to? – zapytała.

– Wyglądasz zupełnie inaczej. Nie wiem, czy to sprawa fryzury, czy różowej szminki, ale chyba mi się podoba.

– Chyba? – Preshy spochmurniała i nerwowo przeczesła palcami krótką czuprynę. – Oto nowa ja, a ty nie padasz z wrażenia?

Sylvie się roześmiała.

– Ależ owszem, lecz mało brakowało, a bym cię nie poznała. Trzeba pamiętać, że nigdy cię nie widziałam bez burzy włosów. A teraz wreszcie widać twoją buzię. Ładną buzię.

Preshy się rozpromieniła, słysząc komplementy.

– Spojrzałam dzisiaj w lustro i stwierdziłam: dosyć tego. Zaczynam nowe życie.

– To mi się podoba. Zresztą dni rozpaczy dobiegają końca, czas, żebyś się wzięła w garść. Chodź na kawę. Zostawię chłopców samych. Przez pół godziny nie wyrządzą za dużo szkód, taką przynajmniej mam nadzieję.

Dobrze było się spotkać z Sylvie, ale wieczorem, sama w mieszkaniu przy rue Jacob, znowu myślała o Bennecie, przypominała sobie wycieczkę *bateau mouche*, kolacje we dwoje w lokalnych knajpkach, jego zakochany wzrok i powitania, gdy wracał do domu, do niej. O Boże, pomyślała, przerażona ciszą, co mam robić?

Buszowała po internecie, aż trafiła na zdjęcie wielkookich chudych kociąt. Rozczuliła się, widząc ich bezbronność. Pod wpływem impulsu zadzwoniła do hodowcy. Okazało się, że maluchów już nie ma, ale została mu starsza, dziewięciomiesięczna kotka, którą zwrócono, bo nowi właściciele mieli alergię.

– Wezmę ją – zdecydowała Preshy.

– Może najpierw niech ją pani pozna, przekona się, czy do siebie pasujecie – proponował hodowca, któremu zależało, by kotka trafiła w dobre ręce.

– Na pewno, już to wiem – odparła Preshy. Przecież obie zostały odrzucone. Obie odesłano z powrotem do nadawcy. I tak syjamska kotka o wyszukanym imieniu Miranda de la Reine d’Or stała się jej własnością.

Preshy pojechała po nią następnego dnia. Czekala na nią ślicznotka w kolorze śmietanki i czekolady o oczach błękitniej szych niż najpiękniejsze szafiry. Zabrała ją do domu, bezpiecznie

zamkniętą, jak sądziła, w kartonie na tylnym siedzeniu. Nie wzięła jednak pod uwagę determinacji kota, który chce się wydostać z zamknięcia, i wkrótce kotka, jak Houdini, wymknęła się z pudła i usiadła jej na kolanach.

– Miau – stwierdziła poważnie, gdy samochód zatrzymał się na czerwonym świetle.

– Miau tobie – odparła Preshy z uśmiechem. I tak kotka została Miau.

Oczywiście Miau od razu poznała wszystkie sekrety Preshy. Zwierzała się w miękkie czekoladowe uszka, a kotka spoglądała ze zrozumieniem i mruczała współczująco.

Dzień później kupiła eleganckie i rzekomo nie do otwarcia pudło do transportu kotów i zabrała Miau do ciotek, do Monte Carlo.

Lalah i Schnuppi rzuciły się do niej biegiem, gdy stanęła w progu z klatką przytuloną do piersi, a Miau, bezpieczna za gęstą kratką, pogardliwie mierzyła psiaki wzrokiem.

Ciotki obserwowały rozbawione, jak psiaki, skruszone, podkuliły ogonki pod siebie i schowały się za ich plecami.

– Oczywiście kot to substytut mężczyzny – stwierdziła ciotka Grizelda podejrzliwie.

– I co w tym złego? – zdziwiła się Preshy. – Z Miau przynajmniej wiem, na czym stoję.

A psiaki, pod czujnym błękitnym wzrokiem syjamskiej kotki, pokornie siedziały na podłodze. Miau tymczasem wyszła z klatki i triumfalnie usadowiła się na kanapie, na honorowym miejscu między ciotkami.

Preshy poprawiła krótkie włosy, z którymi, jak orzekła ciotka Grizelda, wyglądała jak nieopierzone pisklę. To naprawdę niezły początek nowego życia.

Rozdział 32

Szanghaj

Gdyby Lily miała sporządzić listę ludzi, o których nigdy więcej nie usłyszy, na pierwszym miejscu znalazłby się Bennett, a zaraz za nim Mary-Lou. Zdziwiła się więc bardzo, gdy oboje się do niej odezwali.

Bennett nie zatelefonował; zjawił się osobiście, zadzwonił do drzwi o siódmej wieczorem, mniej więcej miesiąc po tym, jak zwolniła Mary-Lou. Lily nie posiadała się ze zdumienia, gdy zobaczyła go na monitorze, stojącego przy bramie z bukietem lilii.

– Czego chcesz? – zapytała niegrzecznie przez interkom.

– Musimy porozmawiać, Lily. Jeśli oczywiście możesz mi poświęcić trochę czasu.

Przynajmniej jest uprzejmy. Intrygowało ją, czego chce, więc go wpuściła. Stała na werandzie, gdy zbliżał się z kwiatami w dłoni. Jak dar pokoju, pomyślała. Może przyszedł wstawić się za Mary-Lou.

Uśmiechnął się.

– Chciałem się odezwać wcześniej, ale byłem w Europie. Mamy dużo do obgadania i mało czasu. Nie miała pojęcia, o czym mieliby rozmawiać, ale Bennett to zawodowy uwodziciel.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – zapytał, obdarzając ją uroczym uśmiechem, któremu uległa wbrew swojej woli.

Wbiegł po stopniach werandy i zatrzymał się przy klatce kanarka. Gdy patrzył na Lily, jej serce waliło tak głośno, że musiał to słyszeć.

– Kanarek, który nie śpiewa – powiedział, gdy weszli do domu. – Jakie to dziwne.

Otoczył ją zapach lilii, intensywny jak aromat francuskich perfum.

– Lilie dla Lily – powiedział. – Ale zapewne nie jestem pierwszym mężczyzną, od którego to słyszysz.

Przyjęła kwiaty, podziękowała krótko i położyła je na stoliku. Wskazała mu krzesło.

– Zapewne chcesz się wstawić za Mary-Lou – zaczęła. Przysiadła na kanapie i obserwowała go czujnie.

Uniósł brwi w zdziwieniu.

– A niby dlaczego miałbym to robić? Co się z nią stało? Pomyślała, że jest świetnym aktorem.

– Jak to? Nie wiesz?

– Nie mam pojęcia. Już mówiłem, że wyjechałem, zresztą zerwaliśmy ze sobą. – Wzruszył ramionami. – Było miło, ale czas iść dalej.

– Więc coś nas łączy. Mary-Lou już u mnie nie pracuje. Czy mogę w takim razie zapytać, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

– Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie podczas naszego pierwszego spotkania. To nie jest płocha imprezowiczka, pomyślałem. To poważna kobieta. Kobieta, z którą mógłbym robić interesy.

– Jakie?

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział, starannie dobierając słowa. – Jesteś w posiadaniu czegoś wyjątkowego. Miasto aż huczy od plotek, ale na razie tylko ty, ja i Mary-Lou znamy prawdę.

– Słyszałam plotki. Ale mnie nie dotyczą.

– Mary-Lou twierdziła co innego. I mam powody jej wierzyć. Lily czuła, że jej policzki płoną. Mary-Lou zdradziła ją kolejny raz.

– Powinieneś wiedzieć, że zwolniłam Mary-Lou, bo mnie okradała. Rozgoryczona była pracownica mówi, co jej ślina na język przyniesie, byle się zemścić. Jako człowiek interesu chyba o tym wiesz.

– Wiem także, że mówiła prawdę i chciała sprzedać naszyjnik za pośrednictwem Voortmanna, pośledniego szlifierza diamentów, który zaproponował go bogatemu szanghajczykowi, a ten zaczął gadać, stąd plotki. Gdyby tego nie zrobił, nie byłoby mnie tu, bo do tego czasu sprzedalabyś naszyjnik.

Pokręcił głową i posmutniał.

– Szkoda, że nie doszło do transakcji ze Szwajcarem. – Podniósł ręce na znak, by milczała. – Nie pytaj, skąd wiem. Żałuję, że plotki uniemożliwiły ci sprzedaż, ale dzięki temu chętniej wysłuchasz mojej propozycji. Bo ta oferta dojdzie do skutku, Lily.

Ze zdenerwowania żołądek Lily ścisnął bolesny skurcz. Poszła do kuchni i po chwili wróciła z butelką San Pellegrini i dwiema szklankami. Napełniła je, usiadła na drewnianym krześle i obserwowała gościa.

– Wypijemy za współpracę? – Bennett uniósł swoją, bardzo pewny siebie.

– Powiedz, co dokładnie masz na myśli. – Upiła łyk ze szklanki.

– To bardzo proste. Ty masz naszyjnik. Ja mam kupca. Jest gotów zapłacić sporą zaliczkę, zanim dostanie towar, ale chce mieć pewność, że otrzyma to, co mu oferuję. A zatem muszę zobaczyć naszyjnik. I muszę mieć pisemne potwierdzenie autentyczności. – Napił się, ale nie spuszczał z niej oczu. – No i oczywiście musimy dogadać się co do ceny. Liczę na jakieś trzydzieści milionów.

Było to o wiele więcej, niż żądała ona, i domyślała się, że przesadza, by zrobić na niej wrażenie. To stary numer, powiedz jej to, co według niego chce usłyszeć, zamachać milionami przed nosem, żeby połknęła przynętę. Czy naprawdę liczy, że da mu naszyjnik z uśmiechem na ustach?

– Pół na pół – ciągnął Bennett z przejęciem. – Już nigdy nie będziesz musiała handlować kopiami. To jak, jesteście współnikami?

– Przykro mi, Bennett, musisz gdzie indziej poszukać współniczki, bo nie mam tego naszyjnika. I nie wiem, kto go ma. To wszystko to tylko plotki. – Wstała na znak, że wizyta dobiegła końca. – To tylko plotki.

Bennett także się podniósł. Podszedł do niej. Przeszył ją strach, gdy poczuła na sobie jego nagle lodowate spojrzenie.

– Ależ owszem, Lily, masz go – powiedział miękko. – A ja mam zamiar go dorwać, nieważne, w jaki sposób. Zachowajmy się jak ludzie cywilizowani, dobijmy targu, zostanmy współnikami. Czy wolisz inny, mniej przyjemny sposób? Bo wiesz, co, Lily? Nieważne, co będę musiał zrobić, zdobędę ten naszyjnik.

Cofnął się i znowu uśmiechnął czarująco.

– No proszę! Wszystko ustalone. Zostawiam cię, żebyś mogła w spokoju wszystko przemyśleć. Daję ci czas, powiedzmy, do jutra wieczorem? O tej samej porze?

Jego groźba zawisła między nimi i nagle Lily przypomniała sobie podejrzenia Mary-Lou, że być może Bennett zamordował żonę dla pieniędzy. Teraz wiedziała, że był do tego zdolny. Zadrżała.

– Do jutra, o siódmej – powiedział. – Zobaczymy, jaka będzie sytuacja.

Serce znowu stanęło jej w gardle, gdy wychodząc, Bennett ponownie zatrzymał się przy klatce kanarka. Przerazona, że dostrzeże skrawek czerwonej skóry puzderka, szybko nacisnęła przycisk i

otworzyła mu furtkę. I odszedł, nie odwracając się. Wiedziała jednak, że wróci. Nie żartował. I bardzo się bała.

Rozdział 33

Mary-Lou celowo zaprzyjaźniła się z młodziutką recepcjonistką z siłowni, do której chodził Bennett. Spotykały się na drinka, czasem jadały razem lunch, robiły zakupy, choć do tych spotkań dochodziło coraz rzadziej, odkąd straciła pracę.

Tego samego wieczoru, gdy Bennett złożył wizytę Lily, Mary-Lou spotkała się z recepcjonistką w zatłoczonym barze Sasha's, niedaleko ulicy Hengshan, w budynku dawniej należącym do rodziny Sung, swego czasu najpotężniejszej w całych Chinach. Dziwnym zbiegiem okoliczności jedną z córek Charliego Sunga była MaiLing, która poślubiła Czang Kajszeke i której pantofle zdobiły perły ukradzione z grobowca cesarzowej Cixi.

Teraz jednak w rezydencji Sungów mieścił się zadymiony bar, pełen młodych ludzi, którzy nie mieli pojęcia o jego przeszłości. Mary-Lou wątpiła, by jej nowa przyjaciółka miała tego świadomość. Nad wytrawnym martini recepcjonistka powiedziała jej, że Bennett wrócił i do ślubu nie doszło.

– Zmienił zdanie – stwierdziła recepcjonistka i uśmiechnęła się znad kieliszka do Mary-Lou, którą podziwiała za urodę, szyk i drogą biżuterię. – Pewnie nie mógł o tobie zapomnieć – dodała. – I teraz możesz go odzyskać.

Mary-Lou zrobiło się słabo z wrażenia, a potem poczuła ulgę. Przypomniała sobie jednak ich ostatnie spotkanie i wiedziała, że Bennett z nią skończył. I że ślubowała mu zemstę, nieważne gdzie, jak i kiedy.

Zostawiła nową przyjaciółkę w barze i pojechała do Lily. Przed bramą zadzwoniła z telefonu komórkowego.

– Musimy porozmawiać. Wpuść mnie, proszę – zaczęła, ledwie Lily odebrała.

Lily odłożyła słuchawkę. Mary-Lou zadzwoniła po raz drugi.

– Musisz mnie wpuścić – nalegała. – Chodzi o Bennetta.

Lily zawahała się, ale przypomniała sobie groźby Bennetta i nacisnęła guzik domofonu. Stała na werandzie z rękami splecionymi na piersi, gdy Mary-Lou mijiała fontannę i oczko wodne ze złotymi rybkami, otoczone zapachem lotosu. Jaka piękna, pomyślała Lily. I jaka podstępna.

Mary-Lou zatrzymała się u stóp trzech schodków prowadzących na werandę i podniosła głowę. Kanarek ją rozpoznał i zaczął radośnie. Lily szybko przykryła klatkę.

– Musimy porozmawiać – stwierdziła Mary-Lou.

– Więc rozmawiajmy.

– Bennett wrócił. Pojechał do Europy, żeby się ożenić. Pamiętasz, jak mu opowiadałaś o kuzynce, Precious Rafferty? Z Paryża? Tej, która odziedziczyła rodzinny majątek? Właśnie z nią miał się ożenić. Ale coś się nie udało i do ślubu nie doszło. Może odziedziczyła zbyt mało, a dla Bennetta kobieta bez majątku nie jest warta małżeństwa. Ani zabójstwa. Nie po tym, co się wydarzyło w rodzinie Yuanów.

„Bennett miał się ożenić z Precious?” Lily wyczuła niebezpieczeństwo, grożące nie tylko jej, ale i nieznannej kuzynce. Nagle wiedziała, bez cienia wątpliwości, że Bennett ją zabije, byle zdobyć

naszyjnik. Musi stąd uciec przed siódmą wieczorem następnego dnia, gdy miał wrócić.

– Ani słowa więcej, Mary-Lou – powiedziała. – Nie chcę tego słuchać. Odejdź. – Otworzyła bramę i czekała, aż była przyjaciółka wyjdzie.

Mary-Lou patrzyła na nią tępym wzrokiem. Myślała, że Lily będzie w szoku, że połączy z nią siły w planowaniu zemsty na Bennecie.

– Wie o naszyjniku – dodała szybko. – Kazał mi go zdobyć, dlatego włamałam się do sejfu...

– Wiem – mruknęła Lily, znużona. – I wiesz co, Mary-Lou? Już mnie to nie obchodzi.

Mary-Lou zwiesiła ramiona, gdy straciła resztki nadziei, że Lily stanie po jej stronie. Pokonała małe podwórko, ale w bramie jeszcze się odwróciła.

– Zabije cię, byle go zdobyć – powiedziała, nim zamknęła się furтка. Lily, przepełniona strachem, nerwowo przechadzała się po podłodze z bambusowych desek. Musi zabrać naszyjnik i wyjechać z Szanghaju, i musi też ostrzec kuzynkę. Nagle coś jej przyszło do głowy. Precious handluje antykami. Może ona będzie знаła kolekcjonera zainteresowanego naszyjnikiem. To jej jedyna nadzieja.

Znalazła Antykwariat Rafferty w internecie, sprawdziła adres e-mailowy i napisała do kuzynki:

„Potrzebuję pomocy. Koniecznie musimy porozmawiać”.

Obliczyła różnicę czasu między Szanghajem i Paryżem, dodała czas lotu, zastanowiła się, jak nie dopuścić do tego, by Bennett ją odnalazł.

„Proszę, zarezerwuj mi pokój w Ritzu na twoje nazwisko. Przylecę w sobotę liniami Cathay Pacific. To bardzo pilne, sprawa dotyczy także ciebie. Nie spraw mi zawodu, proszę. Twoja kuzynka Lily Song”.

Następnie zadzwoniła do linii lotniczych i zarezerwowała miejsce na najbliższy lot do Paryża przez Hongkong.

Wyszła na werandę i spojrzała na kanarka, śpiącego w klatce. Wyjęła puzderko z czerwonej skóry, wsunęła je do plastikowej torebki i ukryła w zamrażarce. Zaniosiła kanarka do sąsiada, wyjaśniła, że musi wyjechać do Paryża i poprosiła, żeby zaopiekował się ptaszkiem podczas jej nieobecności.

Następnie zeszła do piwnicy, wybrała jedną z kopii posążków wojowników i zapakowała starannie. Wezwała kuriera i kazała natychmiast przesłać paczkę do kuzynki Precious.

Wróciła do domu, spakowała się, zamówiła limuzynę na rano. Wiedziała, że nie zaśnie, więc do świtu siedziała, przerażona, wpatrzona w ekran telewizora. Już wkrótce jej tu nie będzie.

Rozdział 34

Po powrocie do domu Mary-Lou musiała spojrzeć w oczy smutnej prawdzie – już wkrótce to nie będzie jej mieszkanie. Nie będzie jej na nie stać. Miała w banku trochę oszczędności, ale na pewno nie tyle, by pozwoliły jej na obecny ekstrawagancki styl życia. A przecież kocha swoje gniazdko, kocha włoskie kanapy, modernistyczne obrazy i burdelową czarno-czerwoną sypialnię, w której spędziła tyle wspaniałych chwil. Patrzyła na rzekę Huangpu za oknem i po raz pierwszy od lat chciało jej się płakać.

Jej nieodpowiedzialni rodzice w kółko się przeprowadzali i to był jej pierwszy prawdziwy dom. Zapłaciła za to mieszkanie sama, co prawda kradzionymi pieniędzmi i klejnotami, ale należało do niej. Nie chciała skończyć jak rodzice, którzy włóczyli się po całym mieście, objuczeni skromnym dobytkiem i dzieckiem, w poszukiwaniu najtańszego lokum w zakazanych uliczkach.

Wiedziała, że Lily ma naszyjnik, i żałowała, że go nie ukradła, gdy miała ku temu sposobność.

Usiadła przy eleganckim biurku, włączyła laptopa i przeglądała pocztę elektroniczną. Tylko jedna nowa wiadomość, od recepcjonistki z siłowni, z którą nie miała zamiaru się więcej spotykać. Ale w czasach, gdy jeszcze pracowała u Lily, zatrudniła hakera, żeby włamał się do komputera szefowej, by zawsze wiedziała, co w trawie piszczy. Szybko wpisała hasło i oto czytała email Lily do Precious Rafferty.

Zaskoczona, zrozumiała, że Lily zamierza wywieźć naszyjnik z kraju. Zapewne poprosi kuzynkę, właścicielkę antykwariatu, by pomogła jej go sprzedać. Zastanawiała się przez chwilę, co robić, ale wiedziała, że ma tylko jedną szansę.

Zadzwoiła do linii lotniczych Cathay Pacific i zarezerwowała miejsce w tym samym samolocie co Lily. Wiedziała, że była szefowa poleci klasą biznes, więc sama wzięła turystyczną. Wiedziała też, że pasażerowie klasy pierwszej i biznesowej wsiadają pierwsi i ich część jest oddzielona od części dla pozostałych pasażerów, więc Lily na pewno jej nie zobaczy. Na lotniskach będzie się trzymać na uboczu, wejdzie na pokład ostatnia, zresztą Lily nawet nie przyjdzie do głowy, że jest śledzona. Będzie pochłonięta szukaniem bagażu, będzie się tak spieszyła, że nikogo nie zauważy.

Po pewnym czasie usiadła na czarnej jedwabnej narzucie w czerwonej sypialni. Opuściła ją energia, nagle cały plan wydał się jej idiotyczny. Nawet jeśli uda jej się znaleźć naszyjnik w pokoju Lily, jak go sprzeda? Pokręciła głową, zrozpaczona, gdy jej szalone pomysły wypadały za okno, zapewne prosto w ramiona bogów rzeki, niechętnie do niej nastawionych, w co już nie wątpiła. Nie da rady sama. Musi na klęczkach wrócić do Bennetta. Będzie musiała mu powiedzieć, że wie, gdzie jest naszyjnik i jak mogą go zdobyć, i zgodzić się na równy podział zysków. Nie ufała mu, ale to jedyna szansa.

Zadzwoiła do niego i modliła się, by odebrał, ale zdziwiła się, gdy to zrobił, bo podświadomie oczekiwała czegoś innego.

- Tu Mary-Lou – powiedziała cicho, przerażona. – Mam ci coś do powiedzenia.
- Nie chcę tego słyszeć – przerwał jej bezceremonialnie.
- Chodzi o Lily... o naszyjnik...

– Więc? – Nie bawił się w uprzejmości.

– Ucieka do Paryża. Do Precious. I zabiera naszyjnik... – Opowiedziała mu wszystko.

Powiedziała, że jedzie w ślad za Lily do Paryża, że zdobędzie naszyjnik, że nadal są sobie potrzebni, że się podzielią po połowie, jak proponował. ...

– Kiedy wylatuje? – zapytał.

– Jutro rano. Ja też.

– Polecę przez Singapur – zdecydował. – Zadzwonię do ciebie w Paryżu.

– Bennett? – Nadal nie powiedział, co zamierza, nie powiedział też, że zgadza się na równy podział zysków.

– Zadzwonię do ciebie w Paryżu – powtórzył i rozłączył się.

Mary-Lou mu nie ufała. Bała się. Wyjęła berettę z szuflady nocnego stolika, ale po chwili uświadomiła sobie, że przecież nie może zabrać broni do samolotu. Tylko że nie ufa Bennettowi. Musi mieć broń.

Choć sama była malutkim trybikiem w przestępczej machinie Szanghaju, znała ludzi wyżej postawionych w hierarchii. Zadzwoiła do znajomego, powiedziała, o co jej chodzi, że odbierze towar w Paryżu. Sprawa będzie droga, ale zostanie załatwiona.

Potem zadzwoniła do paryskiego Ritza i zarezerwowała pokój. Nie było jej na to stać, musi jednak mieć dostęp do pokoju Lily. A potem spakowała się i jak Lily czekała na świt.

Rozdział 35

Paryż

Nieoczekiwanie jak na tę porę roku Preshy miała ponad tuzin potencjalnych klientów, z których co najmniej dwóch wyraziło zainteresowanie etruską wazą, choć uczciwie uprzedzała, że jej zdaniem to późniejsza podróbka i niech ich nie oszukają pęknięcia. Nic nie szkodzi, cena była wysoka i to ją cieszyło. O czwartej, z kotką pod pachą, pobiegła do siebie i szybko zatrzasnęła drzwi w obronie przed zimnem.

Miau siedziała na stole kuchennym i obserwowała, jak Preshy szykuje gorącą czekoladę – z cukierni Angelina przy rue de Tivoli, najlepszej w całym Paryżu. Nie myślała o liczeniu kalorii, gdy szalała z bitą śmietaną. Zamieszała napój i z kotką u stóp włączyła płytę Joni Mitchell, która zwierzała się z miłosnych rozczarowań. Zapadła się w miękkie poduchy kanapy, popijała słodki napój z przymkniętymi oczami i marzyła o nowym życiu. Takim, gdzie będzie silna, pewna siebie i uwodzicielska, i weźmie los w swoje ręce. Ha! Dopięła czekoladę i wyprostowała się. Niestety, w życiu rzadko układa się tak, jak chcemy. Rzeczywistość jest o wiele bardziej przytłaczająca.

Podeszła do biurka, uporała się z papierkową robotą, zastanawiała się, czy nie zadzwonić do jednego z przyjaciół, nie pójść do kina, a potem włączyła telewizor. Nadchodzi śnieżycy, oznajmił posępnie prezenter. Preshy westchnęła. Śnieżycy, no pięknie. Tyle, jeśli chodzi o ubicie targu. Oby klienci zainteresowani etruską wazą wrócili, zanim burza rozszałeje się na dobre.

Sprawdziła pocztę elektroniczną – same sprawy zawodowe... i coś dziwnego. Wiadomość od kuzynki Lily Song.

Przeczytała ją dwukrotnie, niepewna, czy wszystko dobrze zrozumiała. Lily przyjeżdża do Paryża? I Preshy ma ją zameldować w Ritzu? Pod swoim, Preshy, nazwiskiem? Niby po co? Dlaczego to takie ważne, żeby się spotkały? I jak to jej dotyczy?

Zdumiona, odchyliła się do tyłu i mało brakowało, a zgniotłaby kotkę, która usadowiła się za jej plecami. Oczywiście to wspaniale, że wreszcie pozna Lily, ale po co te wszystkie tajemnice? I o czym mają rozmawiać?

i ten pokój na jej nazwisko? Ale Lily przyjeżdża jutro, więc wkrótce wszystkiego się dowie.

Czuła się jak oszustka, gdy dzwoniła do Ritza i rezerwowała pokój na własne nazwisko. Powiedziała, że przylatuje jutro z Szanghaju i zatrzyma się przez tydzień.

Zanim położyła się spać, wyjrzała przez okno na nocne niebo. Było bezchmurne, gwiazdziste. Przy odrobinie szczęścia meteorolodzy znowu się pomylili i Lily przyleci bez opóźnienia. Nie mogła się już doczekać, chciała wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozdział 36

O dziesiątej rano w mroźny sobotni poranek, gdy Lily miała wylądować, Preshy siedziała w zatłoczonej kafejce przy rue de Buci i jak zwykle piła dużą kawę z mlekiem. Okna knajpki zaparowały, na zewnątrz wirowały pierwsze płatki śniegu. Ludzie na ulicznym targu ciasniej otulali się płaszczami i przyspieszali kroku.

Króciutkie loki Preshy skręcały się w wilgotnym powietrzu. Przeczesała je nerwowo palcami. Liczyła, że krótkie włosy nie będą się tak kręcić, ale nic z tego.

Dzisiaj przypadał ostatni z dni rozpaczy i z ulgą pomyślała, że wreszcie się uporała z odejściem Bennetta. Przynajmniej pogodziła się z tym, co się stało. Zadzwoiła do Darii i Sylvie i powiedziała o przyjeździe Lily. Obie umierały z ciekawości, jaka jest ta nieznana kuzynka i co ją sprowadza do Paryża.

Preshy bardzo się cieszyła na myśl o tej wizycie, choć wiadomość była bardzo tajemnicza. Wpatrzona w coraz gęstszy śnieg, miała nadzieję, że nie opóźni on przylotu Lily. Zadzwoiła do Cathay Pacific. Samolot miał wylądować o czasie.

Dopiła kawę, wstała i szczelnie owinęła się zimowym płaszczem. Właściwie był to kozuch dziadka Hennessy'ego, bezkształtne oliwkowozielone palto, które sięgało jej do kostek i którym z powodzeniem mogłaby się okręcić dwukrotnie, ale było jej w nim ciepło i tylko to się liczyło. Wciągnęła na głowę czapkę uszatkę, chwilowo żałując długich loków, które przynajmniej grzały ją w kark. Pomachała na pożegnanie zaprzyjaźnionemu kelnerowi i wyszła, przygotowana na walkę z żywiołem.

Pochyliła się pod naporem wiatru i śniegu, ale myślała o ulubionym serze, który kupi od znajomego handlarza. Dziesięć minut później niosła ostrożnie górski ser i prowansalski banon, owinięty w liście kasztanowca, do tego bochenek chleba prosto z pieca, i szła do domu, skubiąc po drodze chrupiącą skórkę.

Przytulne mieszkanie zdawało się na nią czekać. Przez wąskie okna wpadało szare światło, staroświeckie kaloryfery ogrzewały podłużny pokój. Kotka wstała z kanapki przy oknie i podbiegła, stawiając smukłe nogi elegancko jak modelka na wybiegu. Preshy kucnęła, pozwoliła, by kotka oparła jej przednie łapy na ramionach, i wstała.

– Dobra, Miau, czas do pracy, choć wątpię, byśmy dzisiaj miały wielu klientów – mruknęła.

Ledwie skończyła rozmawiać, telefon rozdzwoił się na nowo. Lily, pomyślała, energicznie wyciągając rękę po słuchawkę. Ale to była Daria, z Bostonu.

Zanim Preshy zdążyła się odezwać, Miau wdrapała się jej na kolana i zamiauczała po swojemu.

– O Boże – jęknęła Daria. – Do tego już doszło, że kot odbiera telefon?

– Właśnie uczę ją mówić „mama” – odparła Preshy.

– Co?

– „Mama” . . „Maa” już mówi, teraz musi się tylko nauczyć, że trzeba to powtórzyć.

– Jezu, Presh, źle z tobą. Musisz coś zrobić.

– Nie mogę – odparła posępnie. – Pada śnieg, lotnisko jest zamknięte, cały czas czekam na Lily.

Myślałam, że to ona dzwoni, ale to tylko ty.

– Wielkie dzięki! Ja tu poświęcam cenny czas i pieniądze, dzwoniąc zza oceanu, a ty mówisz, że oczekiwałaś innego telefonu!

Preshy się roześmiała. Daria jej zawtórowała.

– Dziś jest ostatni dzień rozpaczy – przypomniała. – Widzę, że wykorzystujesz go w pełni.

– Nie, nie, wszystko gra – zapewniła Preshy z nadzieją, że tak jest naprawdę. – Nudzę się – wyznała.

– Więc zamknij antykwariat i wracaj do nas na kilka dni.

– Nie mogę. Zresztą, jak ci mówiłam, lotnisko jest zamknięte. Poza tym muszę czekać na wieści od Lily. Z tego, co ostatnio słyszałam, jej lot skierowano do Niemiec.

– Nie ma sensu siedzieć w domu w tej sytuacji, nie sądzisz? Przynajmniej zadzwoń do Sylvie i skoczcie na drinka.

– Sylvie ma dzisiaj urwanie głowy, jest przecież sobota, choć z drugiej strony nie sądzę, by przy tej pogodzie miała tłumy gości. Ale i tak, na ile ją znam, nie wyjdzie aż do zaniknięcia na wypadek, gdyby zabłąkała się jakaś wygłodniała dusza.

– Więc idź do niej na kolację.

– Nie mogę iść sama, Sylvie będzie się o mnie martwiła.

Daria się roześmiała, ale wiedziała, że Preshy ma rację; Sylvie co chwila wyglądałaby z kuchni, szukając odpowiedniego kandydata dla przyjaciółki.

– Posłuchaj, kochanie, mówiłam poważnie, żebyś wybrała się do nas, później, po wyjeździe Lily. Tom jedzie na konferencję do St. Louis, moja mama zajmie się dzieciakiem – a my będziemy wolne. Wyskoczmy do spa, zrobimy się na bóstwa...

– Ja już jestem boska – zauważyła Preshy. – Zresztą nie mogę tak po prostu zamknąć sklepu i wyjechać.

– Dlaczego? Spodziewasz się tłumów kupujących w taką pogodę?* Preshy musiała przyznać, że nie; na jej obroty nie wpływały rewie mody, zjazdy naukowe czy pokazy lotnicze. Większość jej klienteli stanowili projektanci wnętrz pracujący na zlecenie bogaczy i zamożni turyści, którzy zakochali się w drobiazgu wypatrzonym na wystawie.

Kręciła w palcach krótki kosmyk. Nawet nieoczekiwana wizyta Lily nie rozjaśniała perspektywy szarej, długiej zimy. Propozycja Darii kusiała. Miau trąciła ją pyszczkiem w policzek. Preshy pogłaskała ją machinalnie.

– Nie zostawię Miau – powiedziała w końcu. – I nie wiadomo, kiedy otworzą lotnisko.

Daria westchnęła.

– Przyjmuję drugą wymówkę, o pierwszej nie chcę słyszeć. W takim razie może ja do ciebie wpadnę, poznam Lily...

– Świetnie, jest tylko mały problem – zamknięte lotnisko.

– No dobra, dobra, poczekam. Kocham cię.

– Ja ciebie też. Dzięki.

Dziękowała nie tylko za propozycję, ale także za uczucie. Teraz potrzebowała miłości, a w jej otoczeniu było jej załośnie mało. Pomyślała o Sylvie. Po tym, jak Bennett porzucił ją przy ołtarzu, Preshy miała dosyć mężczyzn, ale Sylvie, prawdziwa przyjaciółka, w ogóle nie przyjmowała tego do wiadomości.

– To tak, jak ponowna jazda konno po upadku – tłumaczyła, błyskając ciemnymi oczami. – Wiem, wiem, ja akurat nie mam tu nic do po – wiedzenia – dodała, opierając dłonie na pulchnych biodrach – ale jestem szefową kuchni i mam świetną wymówkę. Przy moich godzinach pracy poznaję tylko innych kucharzy, a po co komu facet z takim ego! Ale ty, Preshy Rafferty, nie masz żadnego usprawiedliwienia.

– Może nie podobają mi się porządni faceci – mruknęła Preshy ponuro. – Moim przeznaczeniem są dranie.

Teraz jednak poczuła się samotna. Zadzwoiła do ciotki Grizeldy. Odebrała Mimi.

– Co ty robisz w domu w sobotni wieczór, w Paryżu? – zdziwiła się.

– Mimi, pada śnieg.

– A odkąd śnieg jest przeszkodą w randce? Preshy westchnęła.

– Nie jest. Rzecz w tym, że nikt mnie nie zaprosił.

– Poddaję się – mruknęła Mimi i oddała słuchawkę Grizeldzie.

– Skarbie, wskakuj do samolotu i przylatuj do nas – zaproponowała ciotka. – Wydam przyjęcie na twoją cześć – dodała głośno. Zawsze mówiła głośno przez telefon. Preshy podejrzewała, że nigdy nie udało jej się w pełni pozbyć przekonania, że im dalej jest rozmówca, tym głośniejsze trzeba mówić. – Jest tu teraz mnóstwo fascynujących osób.

Owszem, z czego większość ma grubo po sześćdziesiątce, pomyślała Preshy. Ale cioteczka G się stara, to trzeba jej przyznać. Wy tłumaczyła, że zamknięto lotnisko z powodu śnieżycy, i opowiedziała o Lily.

– Jak to? Tak po prostu przyjedzie po tylu latach? – Ciotka była zdziwiona. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, co mi napisała: to bardzo ważne. I prosiła, żebym zarezerwowała jej pokój w Ritzu – na moje nazwisko.

W słuchawce zapadła cisza. Ciotka Grizelda trawiła wiadomości.

– Nie podoba mi się to – orzekła w końcu. – Ona czegoś chce.

– Czego? Nie mam nic, na czym mogłoby jej zależeć. Łączy nas jedynie dziadek Hennessy i fakt, że nasze matki były siostrami. I że obie handlujemy antykami.

– A ja ci mówię, że czegoś chce, możesz być tego pewna. Rodzina Song nie dawała znaku życia od pół wieku, a teraz Lily zjawia się jak grom z jasnego nieba.

– Jeszcze się nie zjawiała. Jej samolot wylądował we Frankfurcie. Nie odezwała się ani razu od tego pierwszego emaila.

– Nie przejmuj się, na pewno to zrobi. A tymczasem zapomnij o niej i przyjeżdżaj do nas. Nie podoba mi się, że siedzisz sama w domu w sobotnią noc.

– Mówisz jak Mimi – mruknęła Preshy i z uśmiechem obiecała, że się zastanowi. Na pożegnanie posłała ciotkom całusa.

Sama w cichym mieszkaniu rozważała, czy nie przyjmując propozycji ciotki – mogłaby wsadzić kota do klatki, zapakować do smarta i wyruszyć w noc. Ale jej samochodzik, idealny do parkowania w zatłoczonym mieście, nie nadawał się na długie wyprawy zaśnieżoną autostradą.

Nerwowo przechadzała się po mieszkaniu, wsłuchana w ciche tykanie zegara. Kotka mruczała przez sen, skulona na kanapie. Na kominku trzaskały drwa, kaloryfer syczał jednostajnie. Pomyślała smutno o chlebie, winie i serze w pustej kuchni. O nie, nie jest aż tak francuska. Poszuka pociechy w jedzeniu. Ma ochotę na stek z frytkami.

Porwała torebkę, musnęła usta nową różową szminką, przeczesła krótkie włosy grzebieniem, narzuciła wiekowy kozuch dziadka Hennessy'ego, wsunęła stopy w wielkie buciorę. Cmoknęła kociaka w nos i wyruszyła na poszukiwanie jedzenia... i towarzystwa, pomyślała.

Rozdział 37

Frankfurt

Lily czekała na swoje bagaże na lotnisku we Frankfurcie nad Menem. Niecierpliwie stuknęła paznokciem w poręcz metalowego wózka na walizki, nerwowo rozglądała się po przestronnej hali, jakby się obawiała, że zobaczy Bennetta.

Miała nieprzyjemne uczucie, że ktoś ją śledzi, czuła na sobie czyjś wzrok. Wreszcie zobaczyła swoją czarną torbę na taśmie. Ściągnęła ją i z nerwami napiętymi jak postronki przeszła kontrolę celną. Znalazła się w hali przylotów. Paryż odpadał; co teraz?

Spojrzała na tablicę odlotów. Odwołano wiele rejsów, ale nie chciała zostać we Frankfurcie. A jeśli rzeczywiście ktoś ją śledzi? Musi lecieć na południe, daleko od śniegu. Za godzinę odlatywał samolot do Wenecji.

Tam akurat Bennett nie będzie jej szukał. Jeśli zadziała szybko, może zdąży, inaczej czeka ją niespokojna noc w hotelu na lotnisku.

Rozglądając się niespokojnie, pobiegła do hali odlotów. Miała szczęście, nie zakończono jeszcze odprawy pasażerów i udało jej się kupić bilet. Napięcie spłynęło z niej, gdy koła samolotu oderwały się od ziemi. Zamknęła oczy, myśląc o wydarzeniach ostatnich dni. Nadal nie czuła się bezpieczna.

Na lotnisku w Wenecji zadzwoniła do hotelu Bauer. Teraz, poza sezonem, mieli niewielu gości i udało jej się zarezerwować pokój. Pojechała tam wodną taksówką. Nie dostrzegała otaczającego ją piękna, bo cały czas oglądała się na drugą motorówkę, która, jak się obawiała, podążała jej śladem. Ale gdy wysiadała przy hotelu Bauer, druga łódź pomknęła dalej i Lily odetchnęła z ulgą.

Wyczerpana, padła na łóżko jak długa. Później zadzwoni do Precious i wszystko jej wyjaśni.

Spała jak zabita.

W związku z nagłą decyzją Lily, by polecieć do Wenecji, Mary-Lou miała bardzo utrudnione zadanie, ale mimo wszystko udało jej się utrzymać byłą szefową na oku.

Jechała za jej *motoscafo*, ale kazała kierowcy minąć hotel, przy którym Lily wysiadła. Wróciła tam pół godziny później i wynajęła pokój na tym samym piętrze.

Zadzwoniła do Bennetta, który, jak się okazało, wylądował w Lyonie, i powiedziała mu, co się stało. A potem, wyczerpana, leżała na łóżku i zastanawiała się, co dalej.

Nagle usiadła gwałtownie. Zapomniała o pistolecie. Miała go otrzymać w Paryżu – a tymczasem jest w Wenecji. Nie przejmowała się różnicą czasu, zadzwoniła do kontaktu w Szanghaju. Usłyszała, że zmiana miejsca odbioru przesyłki będzie kosztowała dodatkowo. Wiedziała, że musi zapłacić z góry. Jeśli zaraz prześle gotówkę, jutro dostanie broń.

Spełniła polecenie, pozbawiając się resztek oszczędności, i wróciła do łóżka. Padała z nóg, a wiedziała, że będzie potrzebowała całej energii i sprytu, by zrobić to, co zamierzała.

Rozdział 38

Paryż

La Coupole była jedną z nielicznych restauracji otwartych w Paryżu podczas śnieżycy. Mimo złych wspomnień, które ten lokal budził w Preshy, było to odpowiednie miejsce dla samotnej kobiety.

Śnieg zasypywał przednią szybę samochodu, gdy powoli sunęła bulwarem Montparnasse, ale czekała ją nagroda – mnóstwo miejsc do parkowania – bo wszyscy z odrobiną oleju w głowie i partnerem u boku – zostali w domu.

Lokal świecił pustkami. Usiadła w kącie, z dala od stolika, przy którym poznała Bennetta. Zamówiła pół karafki czerwonego wina i stek z frytkami. Sącząc wino, dumiała, gdzie teraz jest Lily i kiedy się do niej odezwie. W tym momencie kelner posadził nieznanego przy sąsiednim stoliku.

Oczywiście nie był to Bennett, ale jej żołądek i tak wykonał salto. Spojrzenia jej i nieznanego spotkały się przelotnie. Po chwili mężczyzna obojętnie odwrócił wzrok.

Preshy odetchnęła z ulgą. To nie Bennett James. Nieznajomy był wysoki, szczupły i muskularny, miał ciemne oczy za okularami w złotych oprawkach, jednodniowy zarost i wyraz zgorzknienia na pociągłej twarzy. Dostrzegła obrączkę na palcu. Ha! I dobrze! Ten na pewno nie będzie próbował jej poderwać. Pewnie słodka żonka czeka na niego gdzieś w Stanach, dumiała. Może w Chicago albo w Oklahomie. Pewnie pracuje w wielkiej firmie prawniczej i przyjechał do Paryża w interesach. Jedyne, co nie pasowało do życiorysu, który mu wymyśliła, to dzinsy i czarny golf pod skórzaną kurtką. I to, że zamówił ostrygi i podwójną wódkę i wychylił ją duszkiem, by zaraz zamówić następną.

Hm... wkurzony na cały świat, to widać. Zamówił rybę Saint-Pierre, jej ulubioną, i tym samym zrehabilitował się w jej oczach za pospieszną konsumpcję wódki. Drugi kieliszek sączył o wiele wolniej, ale zamówił też butelkę dobrego bordeaux, zdecydowanie zbyt ciężkiego do ryby. Jako Francuzka półkrwi od razu się oburzyła, widząc taką ignorancję.

Rozejrzała się po prawie pustej restauracji i zaintrygowało ją, dlaczego wybrał akurat stolik koło niej. Zaraz jednak skarciła się za podejrzliwość – to zwykły przypadek, nic więcej. Przecież znajdują się w miejscu publicznym i każdy może siadać, gdzie chce. Odzywa się jej paranoja i tyle.

Popijała wino i niechętnie myślała o powrocie na rue Jacob w ciasnym smarcie. A tam czeka tylko puste mieszkanie. Po raz kolejny zastanawiała się, gdzie teraz jest Lily. Zerknęła na komórkę, czy nie ma żadnych wiadomości. Nic. Wbiła zęby w stek i dopiła wina.

– Mogę? – zapytał nieznanomy.

Trzymał w ręku paczkę marlboro i patrzył na nią pytająco. Nie lubiła dymu, ale we Francji pali się wszędzie; wzruszyła ramionami na znak, że zgadza się niechętnie. Jego oczy za szklami okularów były ciemne, badawcze. I zmęczone. Tak, to Amerykanin. Odgarnęła grzywkę z oczu, zła na siebie, że nie zadbała bardziej o wygląd, zanim wyszła z domu, i zapytała, skąd jest.

– Z Charlestonu w Karolinie Południowej – odparł.

Zaskoczył ją, choć teraz usłyszała miękki południowy akcent. Powiedziała, że też jest Amerykanką i studiowała w Bostonie. Spojrzał na nią obojętnie.

– Utknąłem tu przez pogodę – odparł. – Wstrzymano loty.

– Jeśli ci było pisane gdzieś utknąć, to Paryż nie jest złym miejscem – zauważyła. Łypnęła groźnie spod grzywki, oburzona, że choćby pośrednio krytykuje jej ukochane miasto.

– W ogóle niepotrzebnie tu przyjechałem.

Wbił wzrok w przestrzeń, wypił łyk bordeaux, zaciągnął się papierosem i wyglądał, jakby się nie mógł doczekać, żeby się stąd wyrwać. Zapadła cisza. Preshy ponownie skupiła się na smakowitych frytkach. Najwyraźniej jest uzależniona od węglowodanów. Ale oczywiście lubi też kawior i homary, no i jeszcze sery...

– Dlaczego jesteś taki wściekły? – zapytała po swojemu, bezpośrednio, i natychmiast tego pożałowała, bo przecież to nie jej sprawa.

– Dlaczego jestem wściekły? Ha! – zachnął się. – Mam za sobą trzy godziny w samolocie, na pasie startowym, gdy czekaliśmy na odlodzenie skrzydeł. Okazało się, że mają za mało sprzętu i gdy przysłała nasza kolej, było za późno, szalała śnieżycy i nici ze startu. Kazali nam wysiąść z samolotu i zagnali na lotnisko, w towarzystwie tysięcy innych podróżnych. Wszyscy szukali hotelu. Oczywiście na darmo.

Preshy westchnęła ze współczuciem.

– Ktoś zaproponował mi hotel drugiej, no, bądźmy szczerzy, trzeciej kategorii, i tam wreszcie udało mi się dostać pokój. O ile można to nazwać pokojem. To pakamera z plastikowym prysznicem i najmniejszą umywalką na świecie. – Upił łyk wina i spojrzał na nią. – Ponieważ mam prawie dwa metry wzrostu, sprawa jest bolesna. Ale ma też swoje dobre strony. W innej sytuacji miałbym za oknem nieustanny szum samochodów, a tak, dzięki śnieżycy, panuje cisza. Nie ma jednak w moim hotelu baru, w którym mógłbym utopić smutki, ani restauracji, w której zaspokoilibym głód. I oto jestem. – Znowu na nią spojrzał. – Tyle, jeśli chodzi o pieprzony Paryż – mruknął przez zęby, ale Preshy i tak go usłyszała.

– Och – westchnęła nerwowo. – Ale przynajmniej trafiłeś do La Coupole – dodała, szukając czegoś pozytywnego.

– Już tu byłem – odparł zwięźle. – Wiedziałem, że dobrze mnie napoją i nakarmią. Liczyłem, że będzie otwarte, w innym wypadku podciąłbym sobie żyły.

Zastygła w bezruchu, patrząc na niego z przerażeniem, ale ku jej uldze się uśmiechnął.

– Przepraszam – mruknął. – Mam za sobą długi dzień. I ciężki tydzień.

– Och – westchnęła po raz kolejny i skoncentrowała się na swoim steku, krwistym, cienkim jak deska do prasowania i niemal równie twardym, ale takie jadają Francuzi.

– A ty co robisz w Paryżu? – zapytał takim tonem, jakby nie pojmował, co można tu robić, oczywiście nie licząc cudzoziemskich fantazji o femme fatale i alkoholu.

– Pracuję – odparła. – Handluję antykami.

Spojrzał na nią. Wydawało się, że po raz pierwszy naprawdę się jej przyjrzał, jakby dopiero teraz okazała się rzeczywista, pomyślała z wyrzutem. Ale zaraz się zreflektowała, że to nie szkodzi; przynajmniej nie jest taki jak Bennett. Nie, nie będzie o tym myślała. O północy koniec dni rozpaczy.

– Jestem właścicielką antykwariatu Rafferty na rue Jacob – odparła, nagle w lepszym humorze. Samotność i wino dały o sobie znać; znowu podrywa nieznajomego. – Specjalizuję się w przedmiotach etruskich, rzymskich i greckich.

– Pewnie masz dużą wiedzę.

– Mam taką nadzieję. Uczyłam się, siedząc na kolanach dziadka – dodała.

Apotem, gdy mężczyzna jadł rybę, opowiadała o dziadku Hennessym, o ciotkach, o burzliwej przeszłości rodziny, o tym, jak trafiła do Paryża. Wino rozwiązało mi język, przyznała w duchu, bo

opowiedziała mu także historię rodziny Song i zwierzyła się, że kuzynka Lily przesłała jej tajemniczą wiadomość.

– Jak myślisz, o co jej chodzi? – zapytał, zapalając następnego papierosa.

Marszcząc czoło i rozpędzając dym przyznała, że nie ma zielonego pojęcia. Mężczyzna przeprosił i zdusił niedopałek w popielniczce. Nalał bordeaux do czystego kieliszka i postawił na jej stoliku. Preshy spojrzała na wino z uznaniem i podziękowała. Co prawda pali i źłocie wódkę, ale przynajmniej nie jest skąpcem i ma dość obycia, by nie nalewać dobrego wina do wcześniej używanego kieliszka.

– A ty? Czym się zajmujesz? – zapytała, nagle podejrzliwa.

– Jestem pisarzem.

– Co piszesz?

– Powieści.

– Naprawdę? – Przyjrzała mu się z uznaniem. – Może cię znam? Spojrzał na nią z ukosa.

– Jak to?

– No, twoje nazwisko?

– To zależy, czy gustujesz w kryminałach.

– Więc jak się w końcu nazywasz?

– Sam Knight.

Oczywiście. Jest bardzo znany, a jakże.

– Moja najlepsza przyjaciółka Daria jest twoją fanką – oznajmiła.

– A ty?

– Och, nigdy nie mam czasu na lekturę. – Teraz on się uśmiechnął. To oczywiście nieprawda, nie przepadała za kryminałami.

– O takich słowach marzy każdy pisarz – mruknął i dolał sobie wina. Wzniósł toast. – Za rozwiązanie tajemnicy Lily – powiedział z uśmiechem i nagle gorycz na jego twarzy ustąpiła chłopięcemu urokowi. – Właściwie jak się nazywasz? – roześmiał się, gdy mu powiedziała. – Nie mógłbym zwracać się do kobiety Precious – stwierdził. – Zresztą to do ciebie nie pasuje. Zdecydowanie jesteś Rafferty. – W porządku. – Zgodziła się, zadowolona, że nie postrzega jej jako słabiutkiej Preshy. Zastanawiała się, ile może mieć lat. Koło czterdziestki, tak, ale dokładnie? – Za twój pobyt w Paryżu – odparła z uśmiechem, który, jak miała nadzieję, nadał jej dziewczęcego wyglądu, choć wcale nie czuła się jak nastolatka. – Za pobyt, bez którego mógłbym żyć dalej.

– Ale musisz przyznać, że mamy dobre wina. Roześmiał się nisko, gardłowo. Zawtórowała mu.

– W ogóle niepotrzebnie tu przyjechałem – stwierdził.

– A dlaczego to zrobiłeś?

Jego oczy szukały jej spojrzenia zza szkieł okularów. Nagle spoważniał.

– Szukałem przeszłości – odparł cicho.

A potem gwałtownie wstał i odszedł do baru, żeby w spokoju zapalić, a Preshy została sama, samotna jak na początku kolacji, i głowiła się, co miał na myśli.

Dopiła wino, całkiem niezłe, a gdy Sam Knight wrócił, zaproponowała, że go podwiezie do hotelu, bo w taką pogodę nie ma szans na taksówkę.

– To po drodze do mnie – zapewniła, gdy podał adres – rue de Rennes.

Dostrzegła jego uśmiech, gdy wkładała wiekowy kożuch, i była niemal pewna, że uśmiech się poszerzył, gdy zobaczył jej buciory. Speszona, pożałowała, że przynajmniej się nie umalowała.

Na zewnątrz Sam Knight uważnie popatrzył na jej smarta.

– To ma być samochód? – mruknął ze zdumieniem.

I teraz ona chichotała pod nosem, gdy usiłował zmieścić długie ciało w małym aucie. Ale nie narzekał i czekał cierpliwie, gdy sprawdzała wiadomości. Ani słowa od Lily. Jeśli jest we

Frankfurcie, nie chce się z tym zdradzać.

– Nic? – zapytał, gdy zatrzasnęła drzwiczki i wyjechali na pusty bulwar.

– Ani słowa od Lily. Nic nowego w sprawie tajemnicy – dodała z uśmiechem. Wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy Sama Knighta, ale cieszyła się, że go poznała. Dzięki niemu nie myślała o Lily i nie rozczulała się nad swoją samotnością. Odrobina fantazji i opisze ciotkom ten wieczór jako randkę.

Zrobiło jej się żal Sama, gdy zatrzymali się przed jego obskurnym hotelem. Niemal tak bardzo, że była bliska zaproponowania mu noclegu u siebie na kanapie, ale szybko się opamiętała – przecież wcale go nie zna. Przemknęło jej przez głowę, że to jednak dziwne, iż wybrał stolik tuż przy niej w pustej restauracji. Niewykluczone, że to drugi Bennett.

Sam wysiadł, pochylił się i zajął jej w oczy, niemal równie znużone jak jego.

– Dzięki, Rafferty – powiedział. – Gdyby nie ty, musiałbym zasuwać na piechotę.

– Nie ma sprawy. Dzięki za towarzystwo.

– Powodzenia w sprawie tajemniczej Lily Song. – Wyprostował się, już miał zatrzasnąć drzwiczki, ale nagle znów się pochylił.

– Podaj mi swój numer telefonu – poprosił chłodno.

Sam Knight to ucieleśnienie chłodu, pomyślała. Chociaż nie, „nieprzenikniony” bardziej do niego pasuje.

– Na wypadek, gdybym znowu znalazł się w Paryżu – dodał. – Chciałbym wiedzieć, jak się rozwiąże zagadka Lily.

– Wszyscy mamy swoje zagadki – mruknęła. Sam się uśmiechnął.

Ma miły uśmiech, pomyślała, szukając w samochodzie kawałka papieru. Znalazła starą wizytówkę kwiaciarni i nabazgrała na odwrocie swoje nazwisko i numer telefonu. Wsunął ją do kieszeni, zatrzasnął drzwiczki, pomachał jej i odszedł.

W domu, w łóżku, z Miau u boku, zadzwoniła do Sylvie i wszystko jej opowiedziała.

– Najwyższy czas, żebyś kogoś poznała – mruknęła zaspana przyjaciółka.

Ale Preshy wiedziała, że Sam Knight to tylko podróżny i w śnieżny zimowy wieczór ich losy skrzyżowały się jedynie na moment.

Rozdział 39

Obudziło ją szare światło sączące się przez zasłony. Jeszcze zaspana przypomniała sobie o Lily, natychmiast oprzytomniała i zadzwoniła do linii lotniczych. Powoli traciła cierpliwość. Usłyszała, że samolot poprzedniego wieczoru wylądował we Frankfurcie i wszyscy pasażerowie wysiedli. Lotnisko Charles'a de Gaulle'a, owszem, już działa, ale w związku z opóźnieniami panuje na nim totalny chaos. Nie, pani Song nie kontaktowała się z linią lotniczą, nie starała się zarezerwować innego lotu do Paryża.

Gdy odłożyła słuchawkę, Miau wskoczyła na łóżko, mrużąc żałośnie, jak zawsze, gdy była głodna, więc Preshy wstała i napełniła jej miseczkę – oryginalne cacko od Hermesa, oczywiście prezent od ciotki Grizeldy. Wzięła prysznic, ubrała się i jak co dzień poszła na kawę, brnąc w śniegu i błocie, uśmiechnięta jak dzieciak na wagarach. Lada chwila odezwie się do niej Lily. Kuzynka jednak milczała, za to Sam Knight – nie.

Sam leżał na wąskim hotelowym łóżku. Na stoliku obok stała do połowy opróżniona butelka wódki.

Jęknął, odwrócił się i spojrzał na smętnie zwisające pomarańczowe zasłony i stalowoszare niebo za nimi. Przypomniał mu się jego dom na plaży w Karolinie Północnej, o tej porze roku smagany wichurami i burzami, ale jak zawsze piękny.

Tam dawniej pisał, z dala od towarzyskich zawirowań Nowego Jorku, z dala od luksusu apartamentu przy Gramercy Park. Jednak od trzech lat nie napisał niczego i nie wiedział, czy jeszcze kiedyś napisze.

Upił spory łyk wódki. Kolejny długi, pusty dzień w Paryżu, w mieście, z którym nic go nie łączyło. Będzie się ciągnął w nieskończoność. No dobra, zna Precious Rafferty. Przypomniał ją sobie w obszernym zielonym kozuchu, w wysokich buciorach, z jasnymi włosami opadającymi na oczy w kolorze, co ze zdumieniem zapamiętał, czystej akwamaryny. Przypomniał sobie jej bezpośrednie pytania, duże dłonie, dźwięczny śmiech i... przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. Niewinność. Tak jest. Ale czy naprawdę jest tak niewinna, na jaką wygląda? Oto pytanie.

Wyjął wizytówkę kwiaciarni z kieszeni i wybrał numer, który na niej nabazgrała.

Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Lily? – zapytała z nadzieją.

– Rafferty, chyba nie czekasz ciągle na tę tajemniczą kobietę? – zapytał.

– Owszem. – Najwyraźniej poznała go po głosie. – Ale zaczynam mieć tego dosyć. A co ty tu jeszcze robisz?

– Nie mogę się załapać na lot do Nowego Jorku. Może zamiast tego zaproszę cię na lunch? W końcu jest niedziela.

Preshy nie wahała się ani chwili.

– Przyjedź po mnie za pół godziny – powiedziała. – Znam lokal odpowiedni na taki dzień.

Rozdział 40

Śnieg skrzypiał mu pod nogami, a mróz szczypał w policzki, gdy szedł na rue Jacob. Paryż z miasta złotego stał się srebrny, lśnił czarodziejsko odbitym światłem, ale Sam tego nie zauważał. Szczerze mówiąc, wolałby być gdziekolwiek indziej, nieważne, ze śniegiem czy bez.

Łatwo odnalazł uliczkę Preshy i zatrzymał się przy wystawie, by zerknąć do środka. Drażnił go troszkę słodki różowy odcień wnętrza i stłumione światło, ale popiersie chłopca z kręconymi włosami przypadło mu do gustu. Był niewinny jak on przed laty, stwierdził z krzywym uśmiechem. Teraz ma czterdzieści dwa lata; jeszcze nie jest stary, ale lata i różne doświadczenia zostawiły ślady na jego twarzy, były widoczne w bruzdach ciągnących się od nosa do ust, w zmarszczkach dookoła oczu, w smutnym spojrzeniu. Młodość wydawała się bardzo odległa. Naprawdę minęły zaledwie trzy lata?

Odepchnął te myśli od siebie, nacisnął dzwonek u drzwi i po chwili znalazł się na ukrytym podwórku. Preshy czekała na szczycie kamiennych schodów, które, jak się domyślał, prowadziły do jej mieszkania.

– Popatrz! – zawołała radośnie, wskazując drzewko na środku podwórka. Na gałązkach leżała cienka warstwa śniegu, sople lodu zwisały jak kryształy. – Czy widziałeś kiedyś coś równie pięknego? – zapytała z przejęciem. – Chciałabym, żeby zawsze tak pięknie wyglądało. – Roześmiała się i wzruszyła ramionami. – Oczywiście co roku na wiosnę mówię to samo, gdy obsypuje się białymi kwiatkami, i później, gdy płatki opadają. Po prostu kocham to drzewo.

Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w Paryżu – stwierdził po dłuższej chwili.

– Hm. – Zmierzyła go wzrokiem i zaplotła ramiona. – W takim razie powinieneś rozglądać się uważniej... Jesteś w najpiękniejszym mieście na świecie.

Wszedł na najniższy stopień.

– Tak? A kto tak twierdzi? Roześmiała się.

– Ja, ma się rozumieć. A czyja jeszcze opinia cię interesuje? Złapał się na tym, że śmieje się razem z nią.

– No dobra, co powiesz na to: ja ci postawię lunch, a ty mi pokażesz najpiękniejsze według ciebie zakątki Paryża.

– Umowa stoi. – Rozpromieniła się. Ponurak z niego, ale ma potencjał, przy którym wdzięk może się schować. On na pewno nie zwali jej z nóg. – Tymczasem wejdź i przywitaj się z Miau, a ja pójdę po płaszcz.

Kot jak zwykle spał na kanapie przy oknie wychodzącym na ulicę. Leniwie uniósł powiekę i przez chwilę Sam i Miau obserwowali się uważnie, po czym kotka wróciła do przerwanej drzemki. Sam także zachował obojętność. Osobiście wolał psy i uważał, że koty to dziwne stworzenia, którym nie wychodzi na dobre ich niezależność. Przytrzymał Preshy wielki kożuch, który, jak stwierdził ze zdumieniem, ważył chyba tonę.

Wyjaśniła, że należał do dziadka, równie wysokiego jak Sam, ale znacznie potężniejszego.

– Wkładał go w każdą zimę, odkąd pamiętam. – dodała. – A na taką pogodę nie wyobrażam sobie lepszego okrycia. – Poprawiła kołnierz. – Mam nadzieję, że nie wyglądam zbyt niechlujnie?

Sam roześmiał się na głos. Nie przypominał sobie, żeby takie pytanie padło z ust jakiegokolwiek

innej kobiety. Zazwyczaj dopytywały się, czy im ładnie.

– Nie, niezbyt – odparł z uśmiechem. – Ale lepiej nie idźmy do eleganckiej restauracji, bo mogą cię nie wpuścić?

Ona także się roześmiała i owinęła szyję długim wełnianym szalikiem, którego końce opadały jej do kolan. Sam, jak zauważyła, miał na sobie to samo ubranie co wczoraj – dzinsy, golf i skórzaną kurtkę.

– Ty też nie zwalasz z nóg – mruknęła, patrząc na nieogoloną brodę. Potarł ją dłonią.

– Wyszadziłeś z samolotu pasażerów, ale bagaże zostały na pokładzie. Mam tylko bagaż podręczny, dość, by nie zginąć w takiej sytuacji, ale o maszynie do golenia zapomniałem.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, z głową przechyloną na bok, aż zrobiło mu się nieswojo, bo nie wiedział, o czym myśli.

– Dobrze ci – orzekła w końcu. – Zastanów się, czy nie zapuścić brody.

– Ha! – zawołał. – Teraz wiadomo, że nigdy nie czytałaś żadnej z moich powieści, bo gdyby tak było, zobaczyłabyś zdjęcie autora. Właśnie z brodą.

– No cóż... – Uśmiechnęła się do niego. – Teraz wszystko jasne. Już wiesz, czemu cię nie rozpoznałam w La Coupole.

Opiekuńczo wziął ją pod rękę, gdy schodzili z oblodzonych schodków na podwórko.

– Mam wrażenie, że na wszystko znajdziesz wytłumaczenie – mruknął.

– I chyba się nie mylisz. Daria twierdzi, że żyję z głową w chmurach i dlatego skończyłam... – Już miała powiedzieć: sama jak palec przed ślubnym ołtarzem w Wenecji, ale nagle sobie uświadomiła, że właściwie nie zna tego człowieka i że to nie jego sprawa.

– Skończyłaś jako.... ?

– Och, sprzedawczyni antyków. Chyba łatwej żyć przeszłością.

– Nie zawsze – stwierdził krótko.

Teraz ona z kolei przyjrzała mu się badawczo. Już wczoraj mówił o przeszłości, powiedział, że szukał jej w Paryżu. Znowu ją zaintrygowało, co chciał przez to powiedzieć.

– Pomyślałam, że pójdziemy do małej knajpki na Ile Saint Louis – powiedziała. – To spory kawałek stąd, ale jest piękny dzień, a Paryż bez korków to rzadki widok.

– Pod warunkiem że mają dobre wino.

– Owszem, ale musisz mi obiecać, że nie zamówisz dobrego bordeaux do ryby.

– Kiedy ja lubię czerwone wino do ryby! – zaprotestował. – Ilekroć łowiłem u wybrzeży Karoliny, grillowaliśmy to, co złowiłem, na plaży i piliśmy do tego czerwone lokalne wino. W Karolinie robią całkiem niezłe wina, wiesz? Może nie takie jak bordeaux, ale przyzwoite.

Zatrzymali się na moście de la Tourelle, obserwowali barki na rzece i spacerowiczów nad brzegami powolnej Sekwany. Preshy przypomniała sobie rejs tamtej nocy, gdy poznała Bennetta.

– Widziałeś kiedyś Paryż z perspektywy *bateau mouchel* – zapytała nagle.

Sam spojrzał na nią pogardliwie.

– Czy to nie dla turystów?

Już kiedyś odbyła tę rozmowę – tyle że teraz role się odwróciły.

– A ty oczywiście nie jesteś turystą?

– Nie, właściwie nie. Ja... mam misję do wypełnienia.

Patrzył na statki wypływające spod mostu, a Preshy obserwowała jego profil i zastanawiała się, jaki właściwie jest. Niczego nie zdradzał. Wiedziała o nim tylko, że jest pisarzem i lubi czerwone wino.

– Czasami dobrze być turystą – stwierdziła tęsknie. Spojrzał na nią i ich oczy się spotkały.

– Pamiętam – powiedział. – Kiedyś, dawno temu, też nim byłem. – Wziął ją pod rękę. – Chodźmy już, jest za zimno, by tu sterczeć. Gdzie ta restauracja, którą tak lubisz?

Była to mała, ciemna knajpka. Po naciśnięciu klamki drewniane drzwi otwierały się na czarnobiałą hol z czerwoną aksamitną zasłoną, która chroniła salę jadalną przed podmuchami zimnego wiatru. Na niskim suficie, pożółkłym od dymu tytoniowego, krzyżowały się poczerniałe ze starości belki; na stolikach, przykrytych białymi papierowymi obrusami, stały bukiety sztucznych czerwonych róż. W małych okienkach wisiały czerwone zasłonki, w kominku buzował ogień. Salę wypełniał zapach pieczonej jagnięciny i winnego sosu, i był równie nieodparty, jak myśl o Świętym Mikołaju w Boże Narodzenie.

W takich lokalach na stole zawsze czekała butelka czerwonego stołowego. Ku zdumieniu Preshy, Sam nie odesłał jej, nie zażądał karty win, tylko nalał wino do kieliszków, nawet go nie próbując.

– Pamiętaj, polegam na tobie – zaznaczył z uśmiechem, gdy stuknęli się kieliszkami. Obserwowała z niepokojem, jak podnosi wino do ust. Odpowiedzialność bardzo jej ciążyła.

– Niemal tak dobre, jak czerwone karolińskie – orzekł, a Preshy się roześmiała.

Właściciel, mały i chudy, z wyglądu nie stanowił dobrej reklamy swojej kuchni. Podszedł szybko i przedstawił menu dnia.

– Szanowni państwo muszą wziąć zupę z soczewicy i szynki – namawiał. – Idealna na taki zimny dzień. A na drugie polecam jagnię, udziec pieczony a point, różowutki, ociekający sokiem. Oczywiście do mięsa podajemy flageolets, małe płaskie zielone fasolki, a także ziemniaki forestiere, z czosnkiem, cebulą i grzybami w lekkim sosie.

Sam spojrzał Preshy w oczy.

– Idziemy na to – zdecydował. Entuzjastycznie pokiwała głową.

Zupa była tak pyszna, jak to obiecywał właściciel, sprawiała, że w całym ciele Preshy rozpełzały się ciepłe płomyki, czuła je nawet w palcach stóp, w samych koniuszkach. Czuła też, że na jej policzki wypływa rumieniec. Zdjęła szalik, położyła go na krześle obok torebki. Spojrzała na Sama. Coś nie dawało jej spokoju.

– Wiesz o mnie wszystko – stwierdziła. – A ja o tobie nic.

– A co chcesz wiedzieć?

– Hm., na przykład, kim jesteś.

– To już wiesz.

– Nie. Wiem, co robisz, ale nie wiem, kim naprawdę jesteś. Spojrzał na nią pogardliwie.

– Precious Rafferty, chcesz powiedzieć, że ja wiem, kim ty jesteś, właścicielko antykwariatu w Paryżu, kozucha dziadka, fajnej fryzury i dwóch przedziwnych ciotek?

Oczywiście miał rację; on także nie wiedział, jaka jest naprawdę. Przecież właściwie w ogóle się nie znają.

– No dobrze, może posunęłam się za daleko – przyznała. – Ale wiesz, gdzie mieszkam. Mógłbyś mi przynajmniej opowiedzieć o tym domu na plaży, gdzie pijałeś czerwone karolińskie?

Odsunął się, gdy właściciel zbierał brudne talerze.

– Mam ten dom od piętnastu lat – zaczął. – Pokochałem go od pierwszego wejrzenia i kupiłem za pierwsze honorarium za książkę. Leży na skraju małej miejscowości, właściwie miasteczka, jednego z tych, które ciągną się wzdłuż wybrzeża. Dom stoi na uboczu, wznosi się na palach ponad wydiami, wśród traw. Od wiatru osłaniają go drzewa tamaryndowca, które sam zasadziłem i które mają już ponad trzy metry wysokości. To tylko nieduży budynek z szarych łupków, z wielkimi oknami, żeby zawsze można było obserwować wiecznie zmienne morze. Otacza go weranda, na której przesiaduje się w leniwe letnie wieczory.

Umilkł i Preshy pomyślała, że ogarnęła go tęsknota za domem.

– Mówisz jak pisarz – stwierdziła. – Dom staje mi przed oczami, gdy o nim opowiadasz.

Ale kiedy na nią spojrzał, w oczach za szklami okularów malował się smutek.

– To prosty, skromny dom, na zewnątrz i w środku – ciągnął. – Jasne drewno, pastelowe

chodniki, wygodne kanapy tu i tam. Na kominku w lecie stoi wazon gałęzi, zimą, jak tutaj, buzuje ogień, który kusi, by przy nim usiąść, by patrzeć w płomienie, zamiast w ocean, który uparcie wali o brzeg, a wiatr hula wśród wydm. Ten dom jest jak wyspa – dodał miękko. – Moja własna wyspa, gdzie wszystko jest zawsze dobre i nigdy nie dzieje się nic złego.

– A stało się? – Jak zwykle, najpierw mówiła, potem myślała, i zaraz przeprosiła za to pytanie. – Przepraszam, ale opisujesz bardzo sugestywnie i wydawało mi się, że jestem w połowie fascynującej opowieści.

– Bo byłaś, choć tej historii nigdy nie napiszę. – Dolał wina do pustych kieliszków, a właściciel podał jagnię, wrócił do kuchni i zaraz zjawił się ponownie z warzywami i sosem.

Preshy, wpatrzona w ślubną obrączkę Sama, miała ochotę zapytać go o żonę, ale tym razem miała dość rozsądku, by tego nie robić. Gdyby był bardzo zaangażowany, powiedziała by coś do tej pory.

Sam skosztował jagnięciny. Uśmiechnął się. Kiedy się uśmiechał, stawał się zupełnie innym człowiekiem.

– Pycha – stwierdził.

– A nie mówiłam?

– Widzę, że można na tobie polegać. Nawet fasolka jest smaczna, a jako dziecko nienawidziłem warzyw.

– Ale teraz jesteś już duży i rozsądniejszy.

Roześmiał się.

– Na to wygląda. Ale wiesz co? Z tego wszystkiego zapomniałem cię zapytać o Lily.

Imię kuzynki padło niespodziewanie, ale Preshy złapała się ze zdumieniem na tym, że i ona o niej zapomniała.

– Ani słowa – powiedziała. Wbiła zęby w chrapiącą skórę ziemniaka i uśmiechnęła się błogo. – Nie mam pojęcia, gdzie jest. Mogłaby przynajmniej zadzwonić, przecież Frankfurt nie leży daleko. Jest tak tajemnicza, że wcale się nie zdziwię, jeśli w ogóle nie przyjedzie. Chyba że... – Zamyśliła się. – Nie, nieprawda, zdziwię się, jeśli się nie zjawi. Mówiła, że to pilne, że musi ze mną porozmawiać. To dotyczy także mnie, twierdziła. – Preshy wzruszyła ramionami. – Choć nie pojmuję, jak coś może mnie dotyczyć, skoro w ogóle się nie znamy.

– Pewnie sprawa rodzinna – orzekł Sam. – Dowiedziała się, że odziedziczyłaś kozuch dziadka Hennessy'ego i chce ci go sprzątnąć.

Roześmieli się oboje, tym razem radośnie. Wzniesli toast.

– Podoba mi się tu. – Sam z uznaniem rozejrzał się po ciasnej salce, która zdążyła już zapełnić się gośćmi. – To miejsce jest autentyczne, nie takie jak cały ten wielki Paryż.

– Ale cały ten wielki Paryż składa się z setek takich miejsc. Jest jak twoja Karolina, musisz dobrze poznać dane miejsce, by je docenić, by widzieć coś więcej niż urodę. Anie zaprzeczysz, że moje miasto jest piękne.

Przyglądał się jej ponad stołem, patrzył na rumiane policzki, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, jasne oczy pod splątaną złotą grzywką, lekko skrzyconą pod wpływem wilgoci.

– Masz rację, Paryż jest piękny – zgodził się.

– A kiedy wreszcie przylecisz do Nowego Jorku, zaraz pojedziesz do domku na plaży?

Ku jej zdumieniu, nonszalancko wzruszył ramionami i odparł:

– Nie byłem tam od lat. – Skinął na kelnera, zamówił drugą butelkę wina i zapytał, co zjedzą na deser, gwałtownie zmieniając temat.

– Na deser? – zawołała. – Oczywiście szarlotkę z lodami. Tak się składa, że podają tu lody od Berthillona, tu obok, na Ile Saint Louis. Najlepsze na świecie.

Zamawiali kolejne lampki wina i jedli szarlotkę z najlepszymi lodami na świecie, choć Sam zaznaczył, że on osobiście jest fanem produktów HaagenDazs, a potem pili mocną czarną kawę, do

której Sam, jak stwierdziła Presly, nasypał tyle cukru, że łyżeczka chyba w niej stawała.

Rozdział 41

Później uściskali rękę rozpromienionego właściciela, obiecali, że niedługo znowu przyjdą, i wyszli na dwór, na zimne, szare popołudnie. Tym razem nie zatrzymywali się na żadnym moście, szybko szli przez labirynt ciasnych uliczek do mieszkania Preshy.

Zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała na niego.

– Dzięki za obiad – powiedziała. – Było naprawdę miło.

– O dziwo, to prawda. Dzięki, że poszłaś, Rafferty. Dobra z ciebie towarzyszka.

– Dla samotnego mężczyzny – uściśliła, bo nagle zrozumiała, jak bardzo jest samotny.

Spojrzał na nią ponuro, odwrócił się i odszedł. Znowu powiedziała coś nie tak. Gryziona wyrzutami sumienia, zawołała go.

– Słuchaj, nie możesz tak po prostu spędzić reszty dnia w tym obskurnym hotelu. Chodź do mnie. Napijemy się kawy, posłuchamy muzyki, może pooglądamy telewizję. Wszystko jedno, dopóki nie będziesz musiał jechać na lotnisko. – Zatrzymał się i patrzył na nią, wyraźnie niezdecydowany.

– Żadnych zobowiązań – dodała i uśmiechnęła się promiennie. Miała nadzieję, że przyjmie zaproszenie, bo sama czuła się samotna.

Zawrócił.

– Dzięki – powiedział.

Szli przez podwórko, gdy konsjerżka wyskoczyła ze swojej siedziby na parterze.

– Paczka dla pani, mademoiselle Rafferty – zawołała. – Specjalna przesyłka, kurierem. I to w niedzielę. To coś bardzo ważnego – dodała, pociągając nosem. – Kazałam zostawić na progu i oczywiście za panią podpisałam.

Zdumiona Preshy grzecznie podziękowała. Nie spodziewała się żadnej dostawy, ale na progu rzeczywiście czekała paczka, a dokładnie mówiąc skrzynka, zaadresowana do niej. Na naklejkach widziała mnóstwo chińskich napisów i adres Antykwariatu Song w Szanghaju.

– Na pewno od Lily – stwierdziła.

Otworzyła drzwi. Sam wniósł skrzynkę do środka. Postawił ją na podłodze w kuchni i Miau zaraz przybiegła sprawdzić, co to takiego. Pudła i skrzynie to ulubione kocie sprzęty, można się w nich schować, ułożyć, wskoczyć do środka. Obwąchała skrzynię podejrzliwie, usiadła grzecznie i spojrzała na Sama, czekając, aż rozpakuje pudło. Preshy tymczasem szukała śrubokrętu w szufladzie.

– Umieram z ciekawości, co jest w środku – stwierdziła.

Sam otwierał skrzynię, a ona parzyła kawę. Ustawiła filiżanki na tacy z czarnej laki, dodała cukierniczkę, bo przypomniała sobie, że Sam dużo słodzi, naląła mleka do dzbanuszka. Poszła do saloniku i rozpałała ogień w kominku. Patrzyła, jak zajmuje się najpierw skrawek papieru, potem podpałka, i wreszcie dołożyła drewno do ognia. Przemknęło jej przez myśl, że to taka domowa scenka, typowa w niedzielne popołudnie. Słyszała, jak skrzynka trzeszczy, i pobiegła do kuchni. Samowi udało się ją otworzyć. Wyjął ze środka paczkę owiniętą w brązowy papier.

– Szybciej ponaglała go. – To jak Gwiazdka!

Sam zdarł brązowy papier. Pod spodem było kolejne opakowanie, specjalna ochrona.

– To coś wyjątkowego – stwierdził.

W środku była terakotowa figurka. Preshy od razu wiedziała, że to podróbka, kopia jednego z wojowników słynnej armii dynastii Xi'an. Dotknęła jej, poczuła charakterystyczne ślady formy odlewniczej.

– Po co Lily przesyła mi coś takiego? – zastanawiała się na głos. – Można to kupić w sklepach z pamiątkami na całym świecie. Idę o zakład, że nawet tu, w Paryżu, są na bulwarach, u handlarzy z północnej Afryki. Koszt przesyłki jest wyższy niż wartość figurki. No cóż. – Wzruszyła ramionami, wzięła posążek, zniosła do saloniku i zrobiła mu miejsce na półce. Z tyłu, gdzie nie wyglądał tak okropnie. Przesunęła wzrokiem po rzędzie fotografii i zmarszczyła brwi.

– Dziwne – mruknęła, zaglądając za każdą z nich. – Gdzie ślubne zdjęcie dziadka? Zawsze stało tutaj, koło ciotki Grizeldy i Mimi.

– Było cenne? – zapytał Sam.

– Tylko dla mnie. W srebrnej ramce, ale do mieszkania wchodzi tylko moja gospodyni, a pracuje tu już od wielu lat. Ufam jej całkowicie. Oczywiście nie patrzyłam na to zdjęcie codziennie. Ono po prostu... zawsze tu było. Nie wiem nawet, kiedy zniknęło, dopiero teraz zauważyłam, że go nie ma. – Znowu wzruszyła ramionami i przestała zwracać sobie tym głowę. – Cóż, pewnie się znajdzie prędzej czy później. Napijemy się kawy?

Poszła po tacę, a Sam rozglądał się po saloniku, oglądał antyki beztrąsko poupychane po kątach, a kotka podejrzliwie obwąchiwała mu stopy. Gdy usiadł na fotelu, wskoczyła na oparcie i wbiła w niego nieruchome spojrzenie błękitnych oczu.

Przyglądał się jej czujnie.

– Zawsze taki jest?

– Ona, nie on. Ma na imię Miau, zapomniałeś?

Preshy postawiła tacę na stoliku koło fotela i zaciągnęła zasłony w oknie, za którym już gromadził się wieczorny mrok i chłód.

– Domyślam się, że nie lubisz kotów? – Podsunęła mu pastelowe makaroniki z Laduree, słynnej cukierni kilka kroków od jej domu. – Spróbuj, są pyszne i znane. I bądź miły dla Miau. Nie przywykła do mężczyzn.

Sam widział, jak się zarumieniła, gdy zdała sobie sprawę, że tym wyznaniem niemal prowokuje pytanie, czemu nigdy nie bywają u niej mężczyźni, ale z opresji i wybawił ją dźwięk telefonu.

– To na pewno ciotka Grizelda z pytaniem, czemu mnie jeszcze nie ma – powiedziała, podnosząc słuchawkę. Myliła się. To była Lily. Preshy nie wiedziała, czy się cieszyć, czy przestać denerwować.

– Lily! – zawołała. – Wreszcie. Już zaczynałam podejrzewać, że wcale nie istniejesz – dodała, zaskoczona. Cisza po drugiej stronie kabla. – Lily? – zapytała. – Jesteś tam?

– Dlaczego to powiedziałaś? – Lily była wyraźnie zdenerwowana.

– Ale co?

– Że nie istnieję.

– Cóż, najpierw się nie zjawiasz, potem nie dzwonisz, a jeszcze nawet cię nie widziałam. – Preshy się roześmiała. – Ale już jesteś, więc wszystko w porządku. Teraz wiem, że jednak istniejesz.

– Precious, nie rozumiesz. Niedługo mogę przestać istnieć. Ktoś mnie śledzi. Chce mnie zabić.

– Co? – Preshy powiedziała to tak wysokim głosem, że bez problemów dostałaby się do paryskiej opery.

I Sam, i kot nadstawili uszu. Kotka gapiała się na nią jawnie, Sam udawał, że nie słucha.

– Chodź, kiciu. – Wyciągnął rękę, ale Miau spojrziała na niego z pogardą i odwróciła się ostentacyjnie, jakby wiedziała, że ją wykorzystuje. – Mądrała – mruknął i słuchał, jak Preshy mówi:

– Zabić? Jak to, Lily? Niby dlaczego ktoś chciałby cię zabić? Sam przestał udawać i słuchał ciekawie.

– Nie mogę rozmawiać przez telefon – powiedziała Lily.

– A gdzie jesteś? I kto cię śledzi? – Preshy z niepokojem spojrzała na Sama. Pokręciła głową i zmarszczyła brwi, wyraźnie zdenerwowana.

– W Wenecji – odparła Lily, a Preshy przeszedł dreszcz na wspomnienie tego miasta.

– Myślałam, że wybierasz się do Paryża.

– Owszem, dlatego prosiłam, żebyś mi zarezerwowała pokój w Ritzu na twoje nazwisko. Myślałam, że on się nie dowie, dokąd jadę, że mnie nie wyśledzi, że w Wenecji nie będzie mnie szukał.

– Chwileczkę. – Preshy gubiła się w tym wszystkim. – Zastanów się i powiedz mi powoli, o co chodzi.

– O morderstwo, Precious.

– Morderstwo? – Preshy oczy wyszły z orbit. A ona myślała, że Lily przyjeżdża z wizytą i poprosi o drobną przysługę. – Ale dlaczego ktoś chce cię zamordować?

– Mam coś, na czym mu zależy i zabije mnie, byle to dostać. To dotyczy także ciebie. Precious, możesz być następną na liście.

– Co?

– Jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Musisz mi pomóc. Musisz tu przyjechać, i to natychmiast. Błagam. Błagam, spotkaj się ze mną w Wenecji. Tylko ty możesz mi...

– Lily, nie mogę tak po prostu...

– Musisz.

Preshy słyszała panikę w jej głosie.

– Jestem w hotelu Bauer – dodała Lily. – Czekam na ciebie. – Po chwili milczenia dodała: – Chodzi też o mężczyznę, którego znasz.

O imieniu Bennett.

Cisza dzwoniła Preshy w uszach, gdy Lily odłożyła słuchawkę. Zaszokowana, spojrzała na Sama.

– Cóż to za dziwna rodzinna rozmowa? – zapytał. Opadła na krzesło. Ukryła dłonie między kolanami.

– Słyszałam strach w jej głosie – stwierdziła zdumiona.

– Co dokładnie powiedziała?

– Że ktoś ją śledzi. Że chce ją zabić, bo ma coś, czego ten ktoś chce.

i że ja mogę być następną. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Chce, żebyśmy się spotkały w Wenecji, najszybciej, jak dojadę. Powiedziała, że jest w Wenecji, bo myślała, że tam nie będzie jej szukał.

– A powiedziała, kto taki?

Gdy Preshy przecząco pokręciła głową, Sam stwierdził:

– No jasne, nigdy tego nie mówią.

– Masz na myśli szaleńców. Ale ja ci mówię, Sam, ona nie oszalała. Ona się boi. Zresztą powiedziała też, że to dotyczy kogoś, kogo znałam. Mężczyzny imieniem Bennett. Mieliśmy się pobrać, ale zostawił mnie przed ołtarzem. W Wenecji. Kilka miesięcy temu.

Rozdział 42

Miau miauczała głośno w panującej ciszy i przeciągała się na kanapie. Preshy wstała, sięgnęła po pogrzebacz, poprawiła drwa w kominku. Stała tyłem do Sama, wpatrzona w płomień.

– To pewnie więcej, niż chciałbyś wiedzieć.

– Jesteś bardzo odważna, że mi to powiedziałaś. Nie musiałaś.

– To prawda. Porzucił mnie przy ołtarzu mężczyzna, który, jak sądziłam, mnie kocha. Zniknął bez śladu. Ciotka Grizelda usiłowała go odnaleźć, ale prywatni detektywi stwierdzili, że musiał się posługiwać fałszywym nazwiskiem. Mieszkał w Szanghaju, tak przynajmniej mówił.

– Pracował tam?

– Twierdził, że ma firmę eksportową, James Exports, ale nic takiego nie istnieje. Mówił, że produkuje części do mebli, składanych potem w Karolinie Północnej.

– Mam znajomych w tej branży. Mam go sprawdzić? Preshy wzruszyła ramionami.

– To już nieważne, chyba że ze względu na Lily. Najdziwniejsze jest to, że nigdy dotąd z nią nie rozmawiałam. Nie wiem nawet, skąd zna imię Bennetta.

– On pewnie ma wiele znajomości. Tacy faceci zazwyczaj tak działają.

– Oni?

– Oszuści, kryminaliści. – Sam wzruszył ramionami. – Naprawdę myślisz, że Lily uważa, że ten cały Bennett chce ją zabić?

Preshy energicznie pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

– Nie, na pewno nie on. Bennett był delikatny, nigdy nie posuwał się do przemocy. „

– A wiesz, co takiego ma Lily, że ktoś chce ją zabić?

I znowu pokręciła głową – nie miała pojęcia. Opadła na krzesło i upiła łyk kawy, pogrążona w myślach. Jedno jest pewne – Lily była naprawdę przerażona, choć cała ta sprawa wyglądała na istne szaleństwo. Ale jeśli Bennett miał z tym coś wspólnego, Preshy musi poznać prawdę.

– Lily ma kłopoty – powiedziała do Sama. – To moja kuzynka. Jestem jej potrzebna. Jadę do Wenecji.

– A niby jak chcesz się tam dostać? Zapomniałaś, że lotnisko jest zamknięte?

– Pojadę samochodem.

– Tym maleństwem? W taką pogodę? Spojrzała na niego zaczepnie.

– Umiem jeździć. Pojadę do Monte Carlo, do ciotki Grizeldy, i z Nicei polecę do Wenecji.

– Nie będę jechał taki kawał drogi smartem – stwierdził. – Wynajmiemy coś większego.

Preshy gapiła się na niego z otwartą buzią.

– Pojedziesz ze mną? Czemu?

– Słuchaj, i tak jestem uziemiony w Paryżu, równie dobrze może to być Wenecja. Tam przynajmniej dostanę lepszy pokój. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Zresztą nie puściłbym cię samej, nie po tak intrygującej opowieści o Lily. A zatem... Wenecjo, przybywamy.

Rozdział 43

Sam pojechał autem Preshy do wypożyczalni samochodów, a ona zadzwoniła do ciotek. Wiedziała, że zawsze na wyścigi biegną do aparatu. Tym razem jednocześnie podniosły słuchawkę.

– Cześć, ciotki – powiedziała wesoło. – Zapewne się ucieszycie, kiedy wam powiem, że jednak zdecydowałam się do was przyjechać.

A potem Mimi się odsunęła, żeby Grizelda mogła porozmawiać z siostrzenicą.

– Zaraz wyjeżdżam. Pojadę w nocy, będę u was jutro na obiedzie.

– Ależ, Presh, nie możesz jechać sama taki kawał drogi.

– Nie sama. Zabieram ze sobą mężczyznę.

– Jakiego mężczyznę? – Cioteczka G wyraźnie się ucieszyła.

– Nikogo specjalnego, to taki amerykański pisarz, którego wczoraj poznałam w La Coupole.

Słyszała, jak cioteczka G mówi do Mimi:

– Wczoraj znowu poderwała faceta w La Coupole. – A Mimi odkrzyknęła: – To jej wchodzi w krew, oby ten okazał się lepszy niż poprzedni.

– Mam nadzieję, że jest bardziej godny zaufania niż jego poprzednik – oświadczyła ciotka Grizelda. – Jak długo zostaniecie?

– Nie wiem, czy w ogóle się u was zatrzymamy, może od razu polecimy do Wenecji. Ale na pewno się spotkamy. – Skrzywiła się, niepotrzebnie wspomniała o Wenecji, teraz będzie musiała wszystko tłumaczyć. No, może na szczęście nie wszystko.

– Leci do Wenecji – poinformowała cioteczka G swoją przyjaciółkę. – Z tym nowym. – Po chwili rzuciła do słuchawki: – Ale po co?

– Chodzi o Lily. Nie mogła wylądować w Paryżu i w końcu trafiła do Wenecji. Mówi, że mnie potrzebuje, że to bardzo ważne. – Preshy zawahała się i wypaliła z grubej rury: – Twierdzi, że to ma coś wspólnego z Bennettem.

– Jak to? Lily zna Bennetta?

– Wiem tylko to, co powiedziała: chodzi o mężczyznę, którego znam, o imieniu Bennett.

– Ale czy to możliwe, by chodziło o tego samego człowieka?

– Kto wie? I dlatego muszę polecieć do Wenecji, by się dowiedzieć.

– Chwileczkę. – Ciotka Grizelda odbyła szeptaną naradę z Mimi i ponownie odezwała się w słuchawce. – Dobrze, jutro macie być u nas. Wtedy wszystko omówimy. Zadzwoń, kiedy będziecie blisko, wyjedziemy do was do Nicei. W restauracji Chantecler w hotelu Negresco podają dobry lunch. Przedstawisz nam nową zdobycz i wszystko opowiesz.

Była niedziela i Preshy wiedziała, że Sylvie jest w domu, więc zadzwoniła, żeby przedstawić ostatnie wydarzenia. Sylvie podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku. Słuchała przerażona opowieści o Lily i tego, co powiedziała o Bennecie.

– Nie możesz tam jechać – stwierdziła stanowczo. – Absolutnie nie. Zabraniam.

– Nie martw się, mam opiekuna – odparła Preshy. – Jedzie ze mną.

– Co? Kto?

– Nazywa się Sam Knight. Poznałam go wczoraj w La Coupole...

– *Merde*, Presh, czy ty zupełnie oszalałaś? – Głos Sylvie podniósł się do krzyku. – Czy ty się nigdy nie nauczysz? Zaledwie wczoraj poznałaś faceta, a dzisiaj wybierasz się z nim na południe Francji, żeby się przekonać, ile prawdy jest w słowach wariatki, która twierdzi, że zna Bennetta i że ktoś chce ją i ciebie zamordować? Preshy Rafferty, czy ty już zupełnie zwariowałaś?

– Nic mi nie będzie – uspokajała Preshy. – Owszem, przyznaję, Sam jest tajemniczy, ale to porządny człowiek. I jeden z ulubionych pisarzy Darii. Słuchaj, nie jest taki jak Bennett, to znany autor, więc nie może być draniem, prawda? A poza tym ma żonę – dodała po chwili. Sylvie jęknęła.

– Jeszcze lepiej! Więc jedziesz z żonatym facetem, żeby się dowiedzieć, co Lily ma do powiedzenia o Bennecie i kim jest jej rzekomy prześladowca? Czy rzeczywiście to ci wygląda na normalny scenariusz?

Preshy zachichotała.

– To mi wygląda na szkic kryminalnej powieści Sama Knighta – odparła. – I teraz przyszło mi do głowy, że pewnie dlatego chce ze mną pojechać. Wyczuł dobry temat.

– Bardziej prawdopodobne, że ma na ciebie ochotę.

– Jeśli tak, to podziałała nowa fryzura. Zresztą chwilowo jestem nie do zdobycia. Kto się sparzył...

– Na ile wyjeżdżasz? Jadę z wami. – Sylvie naprawdę się zmartwiła.

– Nie ma potrzeby, wracam za kilka dni.

– Gdzie się zatrzymasz?

– Lily jest w hotelu Bauer, więc pewnie tam.

– Hm, zażądaj osobnych pokojów. I zadzwoń, jak dojedziesz, dobrze? – poprosiła Sylvie.

Preshy na to przystała i odłożyła słuchawkę. Wsadziła oporną Miau do torby podróżnej. Kotka wierciła się niespokojnie. Wkrótce wrócił Sam wynajętym samochodem.

– A to co? – Podejrzliwie patrzył na kocią torbę.

– Miau, ma się rozumieć.

– Jedzie z nami?

– Wszędzie ze mną jeździ. Zresztą, gdzie niby miałabym ją zostawić w niedzielny wieczór? – Gdy Sam spojrzał na nią pytająco, uściśliła: – Wyjaśnijmy sobie jedno, Samie Knight. Gdzie ja, tam Miau, jasne? Nie podoba ci się to? Wiesz, gdzie są drzwi.

Przewrócił oczami, ale nic nie powiedział, więc wzięła kotkę i pierwsza poszła do samochodu.

– Proszę – podała mu przenośną kuwetę i torbę żwirku. – Postaw to na podłodze z tyłu i wsyp żwirek – pouczyła.

Sam z jękiem wykonał polecenie, a Preshy ustawiła kocią klatkę na tylnym siedzeniu. Niedbale cisnęła obok pospiesznie spakowaną torbę podróżną. Sam rzucił swój skromny bagaż, który po drodze zabrał z hotelu.

Preshy zmierzała do fotela kierowcy, ale złapał ją za ramię.

– O nie – sprzeciwił się i poprowadził ją w stronę drzwi pasażera. – Ja prowadzę.

– Dobrze znam trasę – upierała się.

– Ale nie wiem, jak jeździsz. – Usiadł za kierownicą, spojrzał na nią i uśmiechnął się. – No dobra, Rafferty, będziemy się zmieniać – zaproponował wielkodusznie.

Zapinała już pas, gdy nagle przed oczyma stanął jej chrupiący chleb i pyszne sery leżące w kuchni.

– Chwileczkę... – Wysiadła z samochodu. Pobiegła z powrotem na górę, spakowała jedzenie, kubki, talerze, sztucce i butelkę wina i wróciła do samochodu.

– Na wypadek, gdyby ratownicy na Przełęczy Świętego Bernarda nie zdołali do nas dotrzeć – wyjaśniła, upychając prowiant na tylnym siedzeniu i zajęła miejsce pasażera.

Sam w milczeniu słuchał jej poleceń, gdy pilotowała go przez labirynt paryskich uliczek na *peripherique*, obwodnicę, a stamtąd na autostradę. Chwilowo milczała także kotka.

Gdy wjechali na autostradę, Preshy przemknęło przez głowę, że jest coś bardzo intymnego we wspólnym przemierzaniu mroźnej nocy w kabinie samochodu. Po krótkim poszukiwaniu wyjęła z torebki płytę Zuccherro & Co, której ostatnio najchętniej słuchała. Zuccherro, włoski kompozytor i piosenkarz, śpiewał mieszankę popu i muzyki klasycznej i to przypominało jej dawne wakacje na południu Francji w towarzystwie ciotki. Zamknęła oczy i po chwili już spała.

Obudziła się kilka godzin później. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest. Zerknęła na Sama, skoncentrowanego na prowadzeniu wozu. Wydawał się bardzo surowy i nagle sobie uświadomiła, że nic o nim nie wie, poza tym, że jest pisarzem i ma dom nad morzem. Przypomniała sobie ostrzeżenia Sylvie i nagle, podejrzliwa, zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie z nią jedzie, chociaż pewnie po prostu nudził się, czekając na lot do Nowego Jorku.

Ale nie jest najgorszy, w tym czarnym golfie i džinsach, musiała mu to przyznać. Zerknęła na niego spod rzęs: wysokie czoło, sterczące ciemne włosy, coraz gęstszy zarost – nadal się nie ogolił. Nawet okulary w złotych oprawkach wydawały się modne, choć w stylu retro. Coraz bardziej jej się podobał.

Płyta dawno się skończyła i w samochodzie panowała cisza. Cały czas myślała o nim, ciekawa, czym tak naprawdę się kieruje.

– Opowiedz mi o żonie – powiedziała nagle. Spojrzał na nią kątem oka.

– Myślałem, że śpisz.

– Spałam. Milczał.

– Przepraszam – wycofała się. – Nie chciałam być wścibska, po prostu mnie intrygujesz.

– Ma na imię Leilani – odparł. – Poznałem ją na spotkaniu autorskim zorganizowanym przez wydawnictwo. Byłem w Santa Fe, podpisywałem moje powieści. Leilani przyszła i poczekała do końca. Zaczęliśmy rozmawiać... – Wzruszył ramionami. – A dwa miesiące później wzięliśmy ślub, – Jakie to romantyczne.

– Owszem. – Umilkł, skupiony na szosie.

– Jak ona wygląda?

Milczał długo, zanim powiedział:

– Jest śliczna, ale urodą, która nie rzuca się w oczy. Jest półkrwi Hawajką: długie czarne włosy, złota skóra, szczupła, zwinna. Artystka, dlatego tak jej się podobało w Santa Fe; jest tam wielka kolonia malarzy. Kupiliśmy dom na pustyni, tylko my i mój pies, owczarek niemiecki o imieniu Cent. Leilani malowała, ja pisałem. Podobało jej się tam, ale ja pochodzę z nizin i tęskniłem za zapachem oceanu. Brakowało mi rzek zalewających bagna, szumu trzciny na wietrze, krzyku ptaków, widoku chmur nisko na niebie i słońca odbijającego się w oceanie. Mam to we krwi, potrzebuję tego, by żyć, by pisać. I tak, choć Leilani nienawidziła oceanu, zgodziła się na przeprowadzkę i kupiłem mój wymarzony dom na plaży.

– I od tej pory tam mieszkacie.

– Mam mieszkanie w Nowym Jorku, w Gramercy Park.

– Najlepsze z obu światów – stwierdziła Preshy, ciekawa, czemu w Paryżu jest bez pięknej Leilani. – Dzieci? – zapytała. – Nie.

Ugryzła się w język, by nie zapytać, dlaczego. Wyobraziła sobie, jak Sam wraca do Nowego Jorku, a Leilani czeka na niego na lotnisku JFK.

– Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy znowu ją zobaczysz – powiedziała.

Skręcił na parking przed przydrożną restauracją.

– Przerwa na kawę – mruknął.

Preshy wypuściła Miau z torby, poczekała, aż kotka się załatwi, ponownie wsadziła ją do

transportera i poszła z torbą do restauracji. Siedzieli nad kawą, chlebem i serem, analizowali zagadkę Lily i nie doszli do żadnych wniosków.

W samochodzie powiedziała, że teraz ona poprowadzi. Kolejne dwie godziny upłynęły w milczeniu, bo Sam zasnął. Później znów się zmienili, a podczas następnego postoju nastąpiła kolejna zamiana. Aż w końcu byli na *Autoroute de Soleil*, w drodze na południe. Przy zjeździe na Saint Tropez Preshy zadzwoniła do ciotek i umówiła się z nimi w restauracji Chantecler w Nicei za pół godziny.

Rozdział 44

Zjawili się kilka minut przed czasem i wykorzystali to, by się odświeżyć w eleganckich toaletach hotelu Negresco. Preshy przyjrzała się swemu odbiciu. Wygląda całkiem nieźle, zważywszy, że jechała przez całą noc i marzyła o prysznicu, choć akurat teraz bardziej kusząca wydawała się lampka wina.

Zostawiwszy Miau pod opieką konsjerżki, weszli z Samem do restauracji Chantecler i zamówili szampana. Uprzedzała Sama, żeby się nie zdziwił na widok dwóch podstarzałych girls rodem z Las Vegas. A jednak Sam uniósł brwi, gdy Mimi dumnie kroczyła przez ociekającą złotem salę w jasnoróżowym wełnianym kostiumie, na obcasach, które sprawiały, że jej fantastyczne nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Jasne włosy upięła w kok. Na jej przegubach błyszcząły bransoletki z brylantami.

– *Enchantee, M'sieur Knight* – mruknęła i z westchnieniem ulgi osunęła się na krzesło. – Szpilki to odpowiedź na modlitwy wysokich dziewczyn i najlepsi przyjaciele niskich, ale to istny koszmar dla nóg – wyjaśniła.

– Jesteś wreszcie. – Grizelda sunęła w ich stronę w obcisłej czerwonej kreacji, w krótkiej kurteczce z nerek, która, jak twierdziła, należała do jej teściowej i była starsza od niej. Niosła także piękny biały płaszcz od Valentino, który podała Preshy. – Wiedziałam, że będziesz w tym zielonym koszmarze – wyjaśniła. – Więc przyniosłam ci to. W Wenecji jest teraz zimno, przyda ci się. – Wyciągnęła rękę do Sama. – Słyszałam, że poderwałeś moją małą w La Coupole. – Podobnie jak siostrzenica, od razu przechodziła do rzeczy.

Sam się uśmiechnął:

– Mam za to przeprosić? Przyjrzała mu się uważnie.

– Chyba nie – orzekła w końcu. – Usiądźmy. O, już zamówiliście szampana, dobrze. – Skinęła na kelnera i poprosiła o dwa dziny z tomkiem. – Znają nas tutaj – zwierzyła się Samowi. – Wiedzą, co najchętniej z Mimi pijemy. – Spojrzała na przyjaciółkę. – Jak sądzisz, moja droga? Nadaje się dla naszej małej?

– O Boże! – Preshy skuliła się na krześle. – Przestań, ciociu! – jęknęła. Sam się roześmiał.

Mimi spróbowała drinka i z uznaniem spojrzała na kelnera, unosząc przy tym kciuk.

– Więc o co chodzi z tą Lily?

– Najpierw zamawiamy, potem gadamy – zdecydowała Grizelda. – Jechali całą noc, pewnie umierają z głodu.

Wszyscy wybrali to samo: filet wołowy z kaparami i ziemniakami, a później sery i tartę z jabłkami i lodami. Do picia – prowansalskie różowe wino.

– A teraz przejdźmy do rzeczy – ponagliła Mimi.

Preshy opowiedziała wszystko od początku, łącznie z tym, że w całą sprawę zamieszany jest Bennett.

– I dlatego muszę lecieć do Wenecji – zakończyła.

Spojrzała czujnie na starsze panie, pewna, że zaraz powiedzą, że oszalała. Grizelda zmarszczyła

brwi.

– Nigdy ci tego nie mówiłam, ale przed laty poznałam Songów, spotkaliśmy się w kasynie w Makao. Henry stracił już dawną urodę, zniszczyły go alkohol i papierosy. Był blady, zmęczony i stary. Mrużył oczy w wąskie szparki, palce miał pożółkłe od nikotyny. – Wzdrygnęła się. – Wyglądał jak robak, jakby nigdy nie widywał światła słonecznego. A jego żona, biedna rozpuszczona córeczka dziadka Hennessy’ego, miała na sobie niemodną sukienkę i tandetne buty. Była wyczerpana. Powiedziała, że Henry przepuścił cały majątek. Poradziłam, żeby go zostawiła. Przepraszaj ojca, że uciekłaś z tym nicponiem, radziłam. Oczywiście ojciec przyjąłby ją z otwartymi ramionami, ale biedaczka nie widziała świata poza mężem. Widziałam, że zależy mu na władzy, panował nad nią, a był uzależniony od alkoholu i hazardu. No i wtedy mieli już dziecko. Biedną Lily.

– Także dlatego chcę się z nią spotkać – wtrąciła Preshy. – Dziadek chciałby, żebym jej pomogła. Grizelda przyznała jej rację.

– Ale musisz być bardzo ostrożna. Wcale mi się to nie podoba. Ani trochę. – Zerknęła na Sama. –

Czy mogę liczyć, że się nią zaopiekujesz?

Spojrzał jej w oczy.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł spokojnie. Ciotka westchnęła z ulgą.

– Bo więcej nie da się zrobić – mruknęła. – Szkoda, że nie możecie zostać dłużej, urządziłabym Samowi *petite soiree*, przedstawiłabym ci moich przyjaciół. Jeszcze jedno, Preshy: kiedy do nas jedziesz, nigdy nie jedź Corniche. Ja też unikam tej szosy, odkąd jakiś wariat niemal zepchnął mnie w przepaść. To było zaraz po tym, jak odwiedziłaś nas z Bennetem – dodała po chwili i zaraz zakryła sobie usta dłonią. – Co ja plotę? Przepraszam, kochanie.

– Nic nie szkodzi, już mi przeszło – odparła Preshy, ale bez przekonania w głosie.

Sam słuchał opowieści Grizeldy o zajściu na górskiej szosie. Zapytał, czy zgłosiła to na policji, odparła, że tak, ale dopiero po kilku dniach, gdy wzięła się w garść, ale wtedy oczywiście było już za późno, by odszukać białą furgonetkę. A reperacja bentleya pochłonęła majątek.

– I to się wydarzyło zaraz po wizycie Bennetta?

– Bennett i Preshy wyjechali, wracali do Paryża, on miał zaraz lecieć do Szanghaju. To zajście miało miejsce kilka dni później.

– Więc z tego, co wiesz, nie było go w kraju?

Zdziwiona Grizelda odparła, że chyba nie, i na tym temat się skończył. Sam zarezerwował bilety na lot do Wenecji czwartej po południu. Po lunchu pożegnali się z ciotkami, zostawili Miau pod ich opieką i wyszli.

– No i? – W zielonych oczach Grizeldy błyszczała ciekawość, gdy ścisnęła Preshy na pożegnanie, a Sam poszedł po samochód.

– No i co?

– Och, no wiesz – zachnęła się Mimi.

– Jeśli chodzi wam o to, czy jestem nim zainteresowana, odpowiedź brzmi: nie. Poznaliśmy się przypadkiem i tyle.

– I tyle? Więc co tu robi? – zdziwiła się Mimi. – Moim zdaniem on jest zainteresowany. Preshy jęknęła.

– Przestańcie w końcu mnie swatać. Zresztą jest żonaty.

– Co! – Patrzyły na nią dwie pary zdumionych oczu.

– Jak to? Nie zauważyłyście obrączki?

– A gdzie żona?

– Nie wiem. Właściwie prawie nic o nim nie wiem. Mówiłam wam, poznaliśmy się zupełnie przypadkiem. zaproponował, że pojedzie ze mną do Wenecji, żeby wyjaśnić tajemnicę Lily. I szczerze mówiąc, bardzo mnie to ucieszyło.

– Hm... mnie też – stwierdziła ciotka Grizelda po chwili namysłu. – Choć jestem ciekawa, dlaczego to zrobił. Uważaj, Preshy – dodała. I zdziwiła się, gdy Preshy rozumiała, że ostrzega ją przed Samem, a nie przed tajemniczą kuzynką w Wenecji.

Rozdział 45

Wenecja

Było już ciemno, gdy wylądowali. Lotnisko Marca Polo przywołało wspomnienia ostatniego pobytu tutaj, z Sylvie i Daria, z piękną złocistą suknią w bagażu podręcznym, z obszytą futerkiem pelerynką z kapturem, wspomnienia jej szczęścia. I później, gdy załamana wylatywała w towarzystwie przyjaciółek, a nie świeżo upieczonego męża.

– Pewnie to miejsce budzi przykre wspomnienia – stwierdził Sam ni stąd, ni zowąd.

– Owszem – przyznała. – Ale nie chcę o tym myśleć. – A jednak na wszelki wypadek zamknęła oczy, by nie widzieć katedry Santa Maria Della Salute, gdy ją mijali.

– Czuję się jak na obrazie Canaletta – mruknął Sam. Preshy się uśmiechnęła.

– Czasami się zastanawiam, czy przypadkiem nie było tak, że najpierw on malował, a dopiero później budowano miasto. Jest tak idealne... Zapomniałam zapytać – nagle zmieniła temat, czym zaskoczyła samą siebie. – To twoja pierwsza wizyta w Wenecji?

– Pierwsza, ale z tego, co widzę, nie ostatnia.

Motoscafo zatrzymało się przy prywatnym nabrzeżu hotelu Bauer. Bagażowy zabrał ich walizki, kto inny pomógł wyjść na brzeg.

Luksusowy hotel wznosił się nad Canale Grandę. Nie można było niczego zarzucić idealnemu wnętrzu, ale cały budynek zdawał się emanować tęsknotą za innymi, bardziej romantycznymi czasami. Zameldowali się – osobne pokoje na różnych piętrach, wszystko zgodnie z nakazami przyzwoitości. Preshy powiedziała recepcjonistce, że ma się spotkać z panią Song, która także zatrzymała się w tym hotelu; czy zostawiła może dla niej jakąś wiadomość? Recepcjonistka sprawdziła – nie.

Sam chciał się rozejrzeć po mieście. Wybierał się na mały rekonesans, ale, ku jej zaskoczeniu nie zaproponował, by z nim poszła.

W pokoju, znowu sama, rozsunęła zasłony, a tam, po drugiej stronie Canale Grandę, wznosiła się dumnie katedra Santa Maria Della Salute, z kopułą lśniącą jak księżyc na wieczornym niebie. Najwyraźniej nie da się uciec od przeszłości. Nagle posmutniała, poszła zmyć rozpacz pod prysznicem, gdzie łzy mieszały się z wodą. Zastanawiała się, czyjej rana kiedyś się zagoi. I co Lily ma jej do powiedzenia o Bennecie.

Rozdział 46

Było już późno, gdy Lily ocknęła się po długim śnie, który wcale nie przyniósł jej odpoczynku. Zerknęła na telefon, ale zaraz sobie przypomniała, że sama go wyłączyła i oczywiście nie może oczekiwać żadnych wiadomości. Usiadła gwałtownie i rozejrzała się po ciemnym pokoju. Nadal nie czuła się bezpiecznie, nadal odbierała zagrożenie, choć oczywiście, logicznie na to patrząc, nikt nie mógł wiedzieć, – gdzie jest. Poza kuzynką Precious, która, jak liczyła, już jest w drodze na spotkanie.

Niedługo później, po kąpieli, ubrana i głodna, zastanawiała się, czy nie skorzystać z *room service*, ale uznała, że przesadza. Jest przecież w Wenecji, jednym z cudów świata, mieście, w którym nigdy nie była. Ba, w ogóle do tej pory nie była w Europie. Powinna przynajmniej rzucić okiem na jego piękno, skosztować jego smakołyków.

Krążyła po wąskich uliczkach, aż wyszła na plac Świętego Marka z fantastycznym widokiem na Canale Grande i zapierającą dech w piersiach bazyliką. Usłyszała muzykę dobiegającą ze świątyni i weszła, mrużąc oczy, by w półmroku dostrzec otaczające ją piękno. I nagle zapłonęły wszystkie światła, wypełniły wielki kościół złotym blaskiem. Zaczynała się msza. Lily stała i patrzyła, i słuchała, porażona majestatem bazyliki, blaskiem złota, Madonnami i świętymi w niszach, pięknem wielkiego ołtarza, przejmującym śpiewem chóru. Nagle wstydlive wspomnienia lodowatych nocy na starych cmentarzyskach, wspomnienia kradzieży, przemocy i zdrady, strachu i grózb, zniknęły bez śladu.

Przepełniał ją spokój i równowaga. Oby, błagała opatrność, zostały z nią jak najdłużej.

Po pewnym czasie wyszła ze świątyni i wędrowała brzegiem kanału, dumając o przeszłości, o latach trudnego wiązania końca z końcem, o przyszłości po sprzedaży naszyjnika. Stanie przed nią otworem nowy świat. Oby kuzynka Precious przyjechała jak najszybciej. Bardzo chciała z nią porozmawiać, nie tylko o naszyjniku, także o mnóstwie innych spraw.

Skreśliła w wąską boczną uliczkę i natknęła się na niewielką restaurację. Spodobało jej się wnętrze wykończone ciemnym drewnem. Weszła do środka, zamówiła makaron z owocami morza i lampkę białego wina. Później rozkoszowała się mocnym espresso. Po raz pierwszy od dawna była spokojna, w końcu pewna, że nikt jej nie śledzi.

Gdy wyszła z lokalu, w uliczce było ciemno i pusto. Przyspieszyła kroku, żeby dotrzeć do większej ulicy biegnącej wzdłuż kanału. Uśmiechnęła się na widok niemal idealnie okrągłego księżyca odbijającego się na powierzchni wody. Zatrzymała się, żeby popatrzeć, głęboko zaczerpnęła tchu, wpatrzona w panoramę miasta, w wieżyczki i kopuły nad ciemną, nieruchomą wodą. Nigdy nie zapomni tej chwili.

Cios w głowę zaskoczył ją całkowicie. Krzyknęła jeden raz, podniosła rękę. Ciepła krew spływała między jej palcami. Nagle świat pociemniał, miała wrażenie, że światła Wenecji gasną, jedno po drugim. Pchnięta w plecy, zatoczyła się gwałtownie. Zachwiała się na krawędzi... Jeszcze jeden ruch i wpadła do kanału. I wtedy otoczyła ją czerń. Ciemna woda zamknęła się nad nią niemal bezgłośnie.

Morderstwo doskonałe.

Rozdział 47

Preshy nie mogła usiedzieć w miejscu i postanowiła się przejść. Ubrała się – dzinsy, sweter, buty. Było zimno i narzuciła biały zimowy płaszcz od bardzo znanego projektanta, prezent od cioteczki G.

Owinęła szyję długim niebieskim szalikiem, którego końce opadały jej aż do kolan, bo tak lubiła, choć ciotka zapewne stwierdziłaby, że tym dodatkiem psuje linię drogiego płaszcza. A potem wyszła z hotelu na ulicę.

Włóczyła się leniwie wąskimi *calli*, drżąc na lodowatym nocnym wietrze. Zza każdego rogu wyglądały wspomnienia. Miała wrażenie, że nawet bruk pod stopami i odrapany tynk na ścianach kamienic promieniują miłością. Powietrze przesycił zapach kawy i drewna na kominku, pizzy, chleba i wina. Jasno oświetlone witryny sklepów kusily milionem skarbów, ze wszystkich stron docierał szum wody obmywającej fundamenty tonącego miasta. Miała wrażenie, że spaceruje po historii.

Skręciła za kolejny róg i nagle stanęła naprzeciwko pałacu Rendino. Stopy same ją tu przyniosły, nie myślała o tym. Budynek spowijała ciemność, nie jaśniał jak w przeddzień jej ślubu, placyk tonął w mroku. Zamknęła oczy i poczuła przeszywający ból tam, gdzie dawniej miała serce, zanim je złamano. A potem, gdy uniosła powieki, dostrzegła wysokiego ciemnowłosego mężczyznę w długim płaszczu, znikającego w wąskiej uliczce.

– Bennett! – zawołała.

O Boże, czy to naprawdę on? Pobiegnęła w tamtą stronę, ale zobaczyła tylko staruszkę z psem. Pewnie jej się przywidziało. Powrót do *palazzo* podzielał na jej wyobraźnię i tyle.

Wolnym krokiem podeszła do wejścia do *palazzo*, gdzie w noc przed ślubem stała wtulona w Bennetta. Pamiętała, jak powiedziała:

– Jutro, najdroższy – i pocałowała go.

– Jutro – odparł.

A potem zniknął z jej życia.

Ale mimo wszystko w głębi duszy chciała, żeby się okazało, że to naprawdę jego przed chwilą widziała. Gdzieś w głębi serca nadal miała cień nadziei, że może to wszystko da się logicznie wytłumaczyć i jeszcze będzie dobrze. Bardzo chciała, by Bennett błagał ją o wybaczenie, by znowu powiedział, że kocha, żeby było jak dawniej. Ale to oczywiście niemożliwe.

Rozdział 48

Samotnie włóczyła się po mieście, aż wyszła z ciemnej uliczki na imponujący plac Świętego Marka. Był pełen światła, trzepotu gołębic skrzydeł i ludzi. Z rywalizujących ze sobą kafejek Quadri i Florian płynęła muzyka. Po jej lewej stronie wznosiła się majestatyczna, rozświetlona bazylika, po prawej wiekowe krużganki w kolorze płynnego miodu przypominały o przeszłości. A przed nią widniała chluba Wenecji – Canale Grande, a w oddali, wśród mgły, czekały wyspy i laguna. W lecie stoliki wymykały się z kafejek na bruk placu, ale styczniowy chłód zmusił wszystkich do pozostania w środku. Poza oczywiście nachalnymi gołębiami.

– Skrzydlate szczury – złościła się cioteczka G.

Preshy pchnęła szklane drzwi do Quadri i znalazła się w przytulnym, złotoróżowym wnętrzu kafejki. Zdecydowała, że wenecjański specjał, podwójne espresso z grappą, dobrze jej dzisiaj zrobi. Lokal wypełniały papierosowy, dymny głosne rozmowy, śmiech i dźwięki *Night and Day* Cole'a Portera, który swego czasu także mieszkał w Wenecji, choć jego utwór w wykonaniu kwartetu smyczkowego brzmiał zupełnie inaczej niż oryginalna wersja.

Nagle ktoś zawołał ją po imieniu. Podniosła głowę i zobaczyła Sama. Siedział przy zaparowanym oknie, nad, jak jej się wydawało, podwójną wódką z lodem.

– Cześć. – Z uśmiechem podeszła i usiadła naprzeciwko niego.

– Uznałem, że najwyższy czas na drinka – zaczął. – Czego się napijesz?

– Espresso z grappą. Kiedy wejdiesz między Włochów... Zawołał zabieganego kelnera i z rozbawieniem obserwował, jak Preshy odwija długi szalik. Z podziwem zmierzył wzrokiem biały płaszcz.

– Wglądasz bardzo... włosko.

– I dobrze, to Valentino. Cioteczka G – dodała. – Nie znosi kozucha.

– Och, sam nie wiem, można się do niego przyzwyczaić.

Ku jej zdumieniu, po chwili śmieli się razem, jak para na wakacjach, która nie ma żadnych zmartwień, a przecież bawią się w detektywów i chcą rozwiązać zagadkę.

– Nadal ani śladu Lily – stwierdziła. – Naprawdę jest tajemnicza.

– Jasne, połączenie Grety Garbo i Maty Hari – mruknął.

Kelner przyniósł Preshy kawę z grappą. Stuknęli się kieliszkami, zgodnie z włoskim zwyczajem powiedzieli *cin cin*, a potem zapytała, jak mu się podoba Wenecja.

– Czy można to ująć w słowa? – zastanawiał się głośno. – Nie wierzysz, że takie cuda istnieją naprawdę, póki nie zobaczysz ich na własne oczy. Nawet Canaletto oddał tylko ułamek jej piękna. Pięknie budynki nad srebrzystą wodą, niskie niebo tuż nad miastem, jakby lada chwila miała się pojawić drabina do niebios. Spojrzała na niego z podziwem.

– Ubierasz w słowa to, co ja ledwie zdołam pomyśleć.

– Słowa to narzędzie pracy pisarza.

Sączył wódkę, której, jak zauważyła, pijał dość sporo, a ona zadzwoniła do hotelu z pytaniem, czy nie zostawiono dla niej żadnych wiadomości. Nie. Posiedzieli jeszcze trochę, rozmawiając o

Wenecji, a potem wyszli w zimną styczniową noc.

Mgła przysiadła nad laguną, tak wilgotna, że na włosach perliły się drobne krople. Sam objął ją ramieniem i szli przytuleni, zmarznięci nieznajomi. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że to się jej podoba.

– Jestem głodna – oznajmiła. – A skoro Lily się nie odezwała, chodźmy sami na kolację.

Złapali *vaporetto* na Rialto i zabrała go do starego klasztoru, a tam, pod wiekowym kamiennym sklepieniem oświetlonym kandelabrami, jedli kraby i wenecki przysmak, cielejącą wątróbkę z cebulą. Sam zdecydował, że to Preshy zamówi wino. Jej wybór padł na skromnego pinota grigio ze wzgórz Venetto, które, co Sam głośno przyznał, idealnie pasowało do posiłku. Preshy tak pochłonęła rozmowa o Wenecji, że zupełnie zapomniała o Lily.

Rozdział 49

Mary-Lou piła trzecie espresso. Siedziała naprzeciwko Bennetta w hotelowym barze.

Bennett skinął na kelnera i zamówił drugą grappę. Dla niej także.

– Chyba ci to dobrze robi – mruknął, pogardliwie unosząc górną wargę, co, jak podejrzewała, było jego prawdziwym uśmiechem, zupełnie innym od czarującego błyskania zębami, którym zniewalał kobiety.

Mimo to opróżniła kieliszek i wzdrygnęła się, gdy alkohol dotarł do żołądka. Czarna zamszowa torebka leżała na stoliku, a w niej, we wnętrzu wyłożonym różową satyną, spoczywała beretta. Położyła sobie torebkę na kolanach. Z nią czuła się bezpieczniejsza.

– Nasza jedyna nadzieja w tym, że Lily ukryła naszyjnik w swoim pokoju, w sejfie albo w walizce – stwierdził Bennett. Patrzył na nią twardym, niewzruszonym wzrokiem. – Mamy klucz do jej pokoju. Razem tam pójdziemy i przejrzymy jej rzeczy. Nawet jeśli pokojówka cię zobaczy, weźmie cię za nią.

Mary-Lou wiedziała, że nie pozwoli jej pójść samej. Od początku dawał jasno do zrozumienia, że nie spuści jej z oczu. Przeszył ją dreszcz, gdy musnęła palcem torebkę z bronią. Nienawidziła Bennetta. Prędzej go zabije, niż odda mu naszyjnik.

Razem poszli do windy, a potem do pokoju Lily. Pokojówka spojrzała na nich przelotnie i rzuciła obowiązkowe *buona sera*. W pokoju paliła się lampka, łóżko było rozesełane. Wszystko w porządku. Walizka Lily stała na półce. Najwyraźniej jeszcze jej nie rozpakowała. Mary-Lou szybko przejrzała jej zawartość.

Spojrzała na Bennetta, który obserwował ją z rękami splecionymi na piersi.

– Nie ma – stwierdziła.

– Sejf.

Zajrzała do sejfu. Był pusty. Lily ich przechytrzyła.

Mary-Lou usiadła na łóżku i nagle się rozpłakała. Posunęła się do ostateczności – i wszystko na darmo.

Bennett spojrzał na nią z pogardą i wyszedł bez słowa z pokoju i hotelu. Mary-Lou już nie była mu potrzebna. Nie warto nawet ryzykować, zabijając ją. Za bardzo jest wplątana w całą sprawę, by pójść na policję. Będzie milczała. Wykonała swoje zadanie. Teraz grzecznie wróci do domu, a on nigdy więcej jej nie zobaczy.

Tej nocy godzinami włóczył się ciemnymi weneckimi uliczkami i zastanawiał się, có Lily mogła zrobić z naszyjnikiem. I nagle wiedział. To jasne. Była w drodze do Paryża. Zapewne wysłała go kuzynce. A zatem ma go Preshy Rafferty.

Rozdział 50

Po powrocie do hotelu Sam i Preshy poszli do jej pokoju i sprawdzili, czy nie ma żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce. Czerwona lampka nie migiała. Preshy zadzwoniła do Lily. Cisza.

Usiadła na skraju łóżka i spojrzała na Sama.

– I co teraz? – zapytała, zmartwiona.

Za znużeniem rozłożyła ręce.

– Proponuję się przespać, a rano zobaczymy.

Pożegnali się, ale Preshy, zdenerwowana, nie mogła zasnąć. Zadzwoniła do Darii do Bostonu i streściła wydarzenia ostatnich dni. Oczywiście Daria zareagowała równie nerwowo jak Sylvie, zwłaszcza kiedy usłyszała o Bennecie.

– Presh, dlaczego w ogóle pojechałaś do Wenecji? – dopytywała się Daria. – To problem Lily Song, nie twój. Ta cała sprawa wydaje mi się groźna. Zwłaszcza ten epizod z Bennettem. To już koniec, nie zapominaj.

– Ale tylko ja mogę jej pomóc. Naprawdę nie ma nikogo innego – tłumaczyła Preshy. – Zresztą muszę wiedzieć, co ma mi do powiedzenia o Bennecie. A poza tym nie jestem sama. Jest ze mną mój nowy znajomy. Nazywa się Sam Knight. Może o nim słyszałaś – dodała ze śmiechem w głosie.

– Co? Jesteś z Samem Knightem? Jezus, Presh, jak go poznałaś?

– Nie uwierzysz. Historia lubi się powtarzać. Poznaliśmy się w La Coupole, podczas zamieci śnieżnej, w sobotni wieczór.

– Poderwałaś Sama Knighta?

– No tak. Czemu nie? Był w Paryżu sam, utknął – odwołane loty, lotnisko zamknięte... A co? Coś nie tak?

Westchnienie Darii powiało chłodem.

– Jedno trzeba ci przyznać – sapnęła przyjaciółka. – Naprawdę wyszukujesz ich jak radar.

– O co ci chodzi, do licha?

– Czyli nie wiesz?

– Czego, do cholery?

– Chyba ci się to nie spodoba – zaczęła Daria. – Ale moim zdaniem powinnaś to wiedzieć. Mniej więcej trzy lata temu żona Sama Knighta zaginęła. Zniknęła.

– Zniknęła? – Serce Preshy poruszyło się niespokojnie. – Jak to: zniknęła?

– Już ci mówię. Sam zeznał na policji, że po raz ostatni widział ją w domu przy plaży. Potem popłynął na ryby. Miał małą łódź, twierdził, że często łowi w nocy. Ona nie lubiła morza i nigdy z nim nie wypływała. Twierdził, że gdy wychodził, była w domu, sama, jeśli nie liczyć psa, owczarka niemieckiego o imieniu Cent. Widzisz, zapamiętałam nawet, jak się nazywał... W mediach było o tym głośno przez kilka tygodni...

Preshy zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Co się z nią stało?

– Nie było śladów przemocy, niczego nie zniszczono, nie doszło do włamania. Pies, według Sama bardzo do niej przywiązany, był w domu. Łóżko było zaścielone, telewizor włączony. Po prostu zniknęła, zupełnie jak w jego powieściach. Policja przeszukała cały dom i nie znalazła niczego. A Leilani Knight nie odnalazła się do dzisiaj. Policja, zdaje się, wciąż ma Sama na oku – od początku tylko tak to określali, nikt nigdy go o nic nie oskarżył. Ale tak, podejrzewają, że ją zabił. Wszyscy tak myślą. Leilani Knight nie odnalazła się do dzisiaj.

– Nie wierzę – sapnęła wstrząśnięta Preshy. – Niemożliwe, żeby ją zabił. – A jednak, gdy się nad tym zastanowić, to tłumaczy niechęć, z jaką mówił o przeszłości. – Może odeszła z innym. – Chwytała się brzytwy, niezdolna uwierzyć, że Sam miał coś wspólnego z zaginięciem żony.

– Naprawdę sądzisz, że do dzisiaj by się nie odnalazła, gdyby uciekła z kochankiem? Preshy, minęły trzy lata. I jeszcze jedno ci powiem: od tego czasu Sam Knight nie napisał ani słowa.

Preshy z całej siły ścisnęła słuchawkę. Wiedziała, że Daria nie kłamie. Więc dlatego Sam tak niechętnie rozmawia o Leilani... bo niewykluczone, że ją zabił. Miała łzy w oczach, gdy szepnęła w słuchawkę:

– Dawniej życie było takie proste. Jestem tu z Samem i szukam Lily. A teraz nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego właściwie ze mną przyjechał. Myślisz, że coś o nich wie? O Lily? I o Bennecie? Nie wiem już, co robić.

– Uważaj – ostrzegła Daria. – Wracaj do domu. Sama. Błagam cię, Preshy, uciekaj stamtąd, i to bez Sama Knighta.

Obiecała, że tak postąpi, i pożegnała się. Zgasiła lampkę i leżała, przerażona, wpatrzona w mrok.

Staneła jej przed oczami szczupła twarz Sama; piwne oczy za okularami, poważny profil, który obserwowała poprzedniej nocy, podczas jazdy. Myślała, że przypadkowo usiadł koło niej w La Coupole, choć lokal był niemal pusty. Zupełnie jak Bennett. A teraz szybko, bez zastanowienia, zaproponował, że pojedzie z nią do Wenecji. Zastanawiała się teraz, dlaczego. Czyżby wiedział coś, czego ona nie wie? Czyżby i on był zamieszany w sprawę Lily? Tak samo jak w zniknięcie żony?

O Boże. Jest w Wenecji z mężczyzną podejrzanym o morderstwo i szukają innego, który być może także maczał palce w zabójstwie. Co ona narobiła?

Rozdział 51

Sam nie spał. Pił przez całą noc. Przed świtem, po szóstej rano, wyszedł z hotelu i wrócił nad *fondamenta*, promenadę nad kanałem. Dookoła nie było nikogo, woda szumiała w rytm jego kroków.

Po pewnym czasie zaczęło padać, lodowaty deszcz przenikał go do szpiku kości. Postawił kołnierz kurtki, podciągnął suwak i szedł dalej, nie zważając na pogodę. W półmroku tylko on i bezdomne koty, chude cienie skulone przy fontannach, na kościelnych schodach, czekali na wschód słońca i nowe życie.

Na kanale jednak widać było ruch; łodzie z warzywami i owocami płynęły na rynek Rialto, przemknęła łódź śmieciarzy, minęło go niemal puste *vaporetto*. I policyjna łódź, migająca niebieskim kogutem.

Na nabrzeżu zgromadziła się grupka gapiów i razem z Bennettem obserwowała, jak policjanci wyciągają coś z wody na pokład.

– Pewnie turysta – usłyszał komentarz jakiegoś Anglika. – Zobaczył ją facet z łodzi dostawczej. Azjatka. Leżała w wodzie chyba od kilku godzin. Pewnie się upiła i wpadła do kanału. Tak, to się zdarza – zauważył. – Albo wepchnął ją jej chłopak – dodał i zaśmiał się. Jego śmiech odbijał się od uśpionych budynków.

Sam odwrócił się i wędrował labiryntem ciasnych uliczek, aż trafił na otwarte *caffè*. Stał przy barze, obok mężczyzn w garniturach, z gazetami pod pachą, którzy duszkiem wychylali kawę i chrupali *cornetti* w drodze do biura. Zamówił podwójne espresso, posłodził je obficie, wypił duszkiem i zamówił następne. Zapalił papierosa i skrzywił się, czując kwaśny smak nikotyny. Rzucił palenie wiele lat temu i dopiero niedawno wrócił do nałogu. Papieros smakował jak popiół. Zdusił go w popielniczce i sięgnął po espresso. I po jeszcze jedno – czekał, aż kofeina zadziała i rozpędzi opary alkoholu w jego głowie. Dochodziła ósma, gdy nad Wenecją zajaśniał szary poranek. Zawrócił do hotelu.

W recepcji poprosił, żeby zarezerwowano mu lot do Paryża i dalej, do Nowego Jorku.

Z pokoju zadzwonił do Preshy. Zorientował się od razu, że ją obudził, ale kiedy poznała go po głosie, w jej tonie rozbrzmiały czujne, chłodne nuty.

– Czy trochę nie za wcześnie na telefon? – zapytała oschle.

– Musimy porozmawiać – odparł. – Sprawa się rozwija.

– Jest dopiero dziesięć po ósmej. Jakim cudem coś się mogło wydarzyć?

– Rafferty, ubieraj się. Daję ci pięć minut i przychodzę. – Odłożył słuchawkę, zapalił, skrzywił się, zgasił papierosa. Spojrzał na pustą butelkę po wódce i na minibar. Nie, nie da się skusić. Ma sprawę do załatwienia.

Rozdział 52

Otworzyła mu drzwi ubrana w dzinsy i koszulkę. Krótkie włosy sterczały jak miedziane igiełki, pod jasnymi oczami widniały ciemne sińce. Widać było, że jest wyczerpana.

Bez słowa wpuściła go do pokoju. Obserwowała, jak zdejmował przemoczoną skórzaną kurtkę i wygładzał dłońmi ciemne włosy.

– Słucham – zaczęła chłodno.

Przemknęło mu przez myśl, że teraz najbardziej pasuje do niej określenie: oziębła. Zastanawiał się, jak do tego doszło. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Odwróciła głowę. Pochylił się do przodu, splótł dłonie między rozsuniętymi kolanami. Kiedy w końcu z wahaniem spojrzęła mu w oczy, oznajmił:

– Dzisiaj rano policja wyłowiła z kanału ciało Azjatki. Gwałtownie podniosła głowę. Wpatrywała się w niego uważnie.

– Moim zdaniem to Lily – dokończył.

– O Boże – szepnęła. – Wiedziałam. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. – Pod wpływem nagłych podejrzeń zmrużyła oczy. – A skąd właściwie o tym wiesz?

– Tak się złożyło, że byłem na nabrzeżu, gdy ją wyciągali, dzisiaj przed świtem.

– No jasne. Tak się złożyło, że byłeś akurat tam, o tej porze, gdy policja wyławiała zwłoki? I być może okaże się, że to Lily? Niezły zbieg okoliczności, co? Coś takiego, żony nie odnalazłeś do dzisiaj, ale Lily – błyskawicznie. Co właściwie stało się z Leilani, Sam? Coś takiego, jak z Lily? A może brak ci odwagi, by się do tego przyznać?

Sam wzruszył ramionami. Teraz już wiedział, skąd się wziął jej chłód.

– Najwyraźniej wszystko już wiesz, więc po co pytasz?

– Bo chcę to usłyszeć z twoich ust.

– Prawdę i tylko prawdę – stwierdził z goryczą. – Będzie mnie prześladowała do końca życia.

– Owszem – skinęła głową. – Właśnie tak.

Wstał, podszedł do drzwi. Zawahał się, myślał przez chwilę, a potem odwrócił się w jej stronę, wbił ręce w kieszenie dzinsów i utkwiał wzrok w podłozę.

– Moja żona Leilani miała skłonność do depresji – powiedział w końcu. – Była bardzo wrażliwa, nieśmiała i płochliwa jak leśna nimfa, w jednej chwili spokojna i szczęśliwa, w drugiej w otchłani rozpacz. Tamtej nocy odeszła i zrobiła to, czym groziła od dawna. Nie chciała więcej sprawiać mi kłopotów, jak to ujęła. Jakich kłopotów, pytałem, wściekły, że nie rozumie, że ją kocham i tylko to się liczy. Ale Leilani nienawidziła oceanu. Bała się go. Właśnie dlatego wyjechała z Hawajów, miała dosyć szumu fal. Santa Fe było jej oazą, a ja, jak najgorszy egoista, zabrałem ją stamtąd.

Nie wiem, co się z nią stało, wiem tylko, że nie było jej w domu, gdy następnego ranka wróciłem z połowu, ale domyślałem się, że zrobiła to, co zamierzała od dawna. Odeszła, żeby nie sprawiać mi kłopotów. Nie zostawiła żadnego listu ani słowa wyjaśnienia. – Podniósł głowę i spojrzęła na Preshy. – Była bardzo zamknięta w sobie. Nie mogłem przynieść jej wstydu, opowiadając całemu światu o jej problemie. Media oszalałyby ze szczęścia. Milczałem i przyjąłem wszystkie ciosy na siebie. –

Wzruszył ramionami. – I dobrze mi tak. Cokolwiek się stało, to wszystko moja wina. Zabrałem ją z miejsca, gdzie czuła się bezpiecznie, zmusiłem, by zamieszkała w otoczeniu, które wpędziło ją w obłąd.

Był taki... pokonany, że mimo wątpliwości Preshy instynktownie zrobiło jej się go żal.

– Myślisz, że ona... ? – Słowa: popełniła samobójstwo, nie przeszły jej przez gardło.

– Nie myślę o tym – powiedział gwałtownie. – A przynajmniej się staram. Kiedy nie śpię, ma się rozumieć.

Wiedziała, co miał na myśli. Pod osłoną nocy wspomnienia zakradają się nieproszone, przynoszą mnóstwo pytań i wątpliwości.

– Rozumiem – szepnęła. Chciała mu uwierzyć, ale nadal nie była pewna.

Jego oczy za szklami okularów były lodowato zimne.

– Naprawdę? – zapytał obojętnie, jakby nie obchodziło go zdanie innych. Wzruszył ramionami i usiadł naprzeciwko niej. – Musimy porozmawiać o Lily – stwierdził.

Rozdział 53

Zdjął okulary i przetarł oczy ze znużeniem.

– Musisz iść na policję – powiedział. – Powiesz, że miałaś się tu spotkać z kuzynką i że sądzisz, że to ją wyłowili z kanału. – Spojrzał jej w oczy. – Będą chcieli, żebyś dokonała identyfikacji.

Preshy sapnęła, przerażona.

– Przecież w życiu jej nie widziałam. Nie mogę jej zidentyfikować, nie wiem nawet, jak wyglądała.

– W recepcji albo w pokoju powinien być jej paszport. – Nie dodał, że topielica po kilku godzinach w wodzie w niczym nie przypomina fotografii w paszporcie i do identyfikacji posłużą zapewne odciski palców i dane stomatologiczne.

Preshy drżącą ręką naląła sobie wody San Pellegrini z opróżnionej do połowy butelki. Była ciepła i bez smaku. Skrzywiła się z niechęcią.

– Oczywiście natychmiast zarządzają sekcję zwłok – ciągnął Sam. – Żeby ustalić przyczynę śmierci. A potem wydadzą ciało. Tobie – dodał.

Preshy ukryła twarz w dłoniach. Będzie musiała zidentyfikować zwłoki, zająć się wszystkim, wysłać Lily do Chin, zorganizować pogrzeb. Chciała, żeby ten koszmar się wreszcie skończył. Ale na to na razie nie było szans.

Sam spojrział na zegarek.

– Do roboty – mruknął. – Miej to już za sobą.

Preshy wzięła się w garść, narzuciła piękny biały płaszcz od Valentino i owinęła szyję niebieskim szalikiem. Lily to jej kuzynka. Jej obowiązkiem jest się zająć tą sprawą. Tego oczekiwałby od niej dziadek Hennessy.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił Sam. Spojrzała na niego przelotnie.

– Pójdiesz ze mną, prawda? – zapytała, nagle zaniepokojona.

– Nie mogę – odparł cicho.

Patrzyła na niego zaskoczona. Jest w to zamieszany... Nie może tak po prostu odejść, zostawić jej samej, żeby zbierała paskudne resztki.

– Słuchaj, ja już to przechodziłem – wyjaśnił. – Nie będę się w to pakował jeszcze raz. Znasz już moją historię i musisz zrozumieć. Dzisiaj wieczorem wracam do Nowego Jorku. Przykro mi, Rafferty, ale sama musisz sobie z tym poradzić.

W milczeniu stali wpatrzeni w siebie przez dłuższą chwilę. Sam pokręcił głową i wyszedł. Z jej pokoju i, pomyślała Preshy z nagłym żalem, z jej życia. Na zawsze.

Rozdział 54

Jakimś cudem na tyle wzięła się w garść, że zadzwoniła do ciotki Grizeldy i przekazała smutną nowinę.

– Niczego nie rób – zdecydowała ciotka z przerażeniem. – Za kilka godzin będziemy tam z Mimi i prawnikiem.

Preshy przechadzała się po pokoju i w kółko analizowała słowa Sama. Oczywiście wiedziała, co miał na myśli. Żaden człowiek podejrzany o morderstwo nie może się angażować w kolejną aferę – ze względu na przeszłość podejrzenie znowu może paść na niego.

Nie dawało jej spokoju pytanie, dlaczego właściwie Sam zaangażował się w tę sprawę. A Bennett? Może wiedział o nim coś, o czym ona nie ma pojęcia? I co takiego miała Lily, że ktoś chciał ją zabić, byle to zdobyć? A skoro kuzynka już nie żyje, czy prześladowca zdobył upragniony przedmiot?

Zaraz oszaleje. Roztrzęsiona, narzuciła płaszcz na ramiona i wyruszyła na poszukiwanie kawy. Bolała ją głowa. Żałowała, że miała jakikolwiek kontakt z Lily, że poznała tajemniczego Sama Knighta, którego przeszłość jest równie zawikłana jak losy Lily. Jak mógł mnie teraz zostawić? Był tam, gdy znaleźli ciało. Był częścią sprawy. Drań. Nie miał prawa uciekać.

Pochylona w kawiarni nad kawą za dziesięć dolarów, dumiała, że wolałaby być gdziekolwiek indziej, byle nie w Wenecji, która dla niej zaczynała tonąć w złych wspomnieniach.

Cioteczka G zjawiała się w kilka godzin później, przyleciała prywatnym samolotem pożyczonym od bogatego przyjaciela. Przywiozła prawnika, maitre Hugo Dechamps'a.

– Wyglądasz okropnie, *cherie* – powitała Preshy pocieszająco. A po chwili zapytała, gdzie się podziewa Sam.

– Czuję się okropnie. – Preshy ukryła twarz na wyperfumowanym ramieniu ciotki Grizeldy i wreszcie się rozplakała. – A Sam wrócił do Nowego Jorku. Zostawił mnie samą z całym tym bałaganem. Nie dziwię mu się – dodała, patrząc na ciotkę przez łzy. – Przerabiał to już, gdy jego żona zniknęła bez śladu i nigdy się nie odnalazła.

– Co? – Mimi pisnęła, ciotka G sapnęła i Preshy musiała im wszystko opowiedzieć.

– Jak widzicie, jest podejrzany o zamordowanie własnej żony.

– Coś takiego, taki miły mężczyzna – powiedziała Mimi. Przypomniał jej się uroczy obiad w Chantecler.

Grizelda tylko prychnęła pogardliwie i orzekła, że wszyscy mężczyźni są tacy sami i żadnemu z nich nie można zaufać, a już na pewno nie może tego robić Preshy, która wyszukuje ich jak radar.

– Oczywiście maitre Deschamps to chlubny wyjątek – dodała i słodko się uśmiechnęła do prawnika, wysokiego, imponującego siwowłosego Francuza, który miał za sobą czterdzieści lat adwokatury i kilka słynnych procesów kryminalnych na koncie.

– Dziękuję, hrabino. – Skłonił się uprzejmie. – Teraz udam się z Precious na *polizia*, gdzie ty, moja droga, będziesz milczeć. – Spojrzał groźnie na Preshy. – Zdasz się na mnie.

Preshy obiecała, że będzie trzymała buzię na kłódkę. Maitre Deschamps poinformował ciotki, że

spotkają się wszyscy później w barze Harry's, bo obawiał się, że na posterunku Grizelda chlapnie coś niepotrzebnie, mimo jego próśb, żeby trzymała język za zębami.

Dzięki jego obecności przesłuchanie nie było tak okropne, jak Preshy się obawiała. Zgodnie z obietnicą sam wszystko załatwił. Powiedział, że Preshy miała się spotkać z kuzynką z Szanghaju. Co jakiś czas zerkał na nią, chcąc się upewnić, że poprze jego wersję wydarzeń.

Policjant zajmujący się tą sprawą stwierdził, że nie ma nic podejrzanego w śmierci turystki, która utonęła w kanale, prawdopodobnie dlatego, że za dużo wypła. Jutro odbędzie się sekcja zwłok, na podstawie której ustali się przyczynę śmierci. Podziękował im za pomoc i obiecał przedstawić wyniki sekcji następnego dnia.

– I co pan na to? – Preshy spojrzała na adwokata. Jechali *motoscafo* do baru Harry's.

– Oczywiście wszystko zależy od wyników sekcji, to jasne. Jeśli odkryją ślady przemocy, musimy się zastanowić nad dalszą strategią. Ale jeśli uznają jej śmierć za wypadek... – Wzruszył ramionami. – Mamy policję z głowy. A później radzę zapomnieć o Lily Song. – Pomógł jej wysiąść z *motoscafo* przed lokalem. – Teraz napijmy się słynnych bellini, moja droga.

Sączyli koktajle bellini, drink rozstawiony przez barmana imieniem Harry. Był to szampan z sokiem brzoskwiniowym, choć teraz, w zimie, zastępowano go sokiem z koncentratu. To nieważne – koktajl i tak był przepyszny i sływał w ściśnięte gardło Preshy jak płynny jedwab.

Sam, ty draniu, zostawiłeś mnie z tym wszystkim samą, pomyślała, kończąc trzeci koktajl. Wiem, dlaczego to zrobiłeś, ale okazałeś się tchórzem ... Zresztą i tak ci nie ufam...

– Jesteś za bardzo milcząca – stwierdziła cioteczka G podejrzliwie. – Co ci chodzi po głowie?

Wyglądała ekstrawagancko jak zwykle, w czarnej sukni z dekoltem w kształcie serca, z brylantową broszką i rudymi włosami sływającymi, jak u Rity Hayworth, na podejrzenie zielone oko. Obok niej leżała gronostajowa narzutka. Nosila buty na zabójczo wysokich obcasach, całkowicie nieodpowiednie na weneckie kocie łby.

– Myślałam właśnie, jak świetnie obie wyglądacie – skłamała Preshy. – Zwłaszcza że miałyście tak mało czasu i zjawiłyście się tutaj w rekordowym tempie.

– *Cherie*, wiesz, że potrafię się spakować w dziesięć minut i zawsze będę świetnie ubrana na każdą okazję. – Ciotka uśmiechnęła się ciepło. – Ale wcale nie o tym myślałaś.

– Jestem pewna, że myślała o tym zdrajcy Samie – wtrąciła Mimi. Zdążyła już całkowicie zmienić o nim zdanie.

Preshy z westchnieniem przyznała jej rację.

– Nic na to nie poradzę – wyznała ze smutkiem. – Ciągle trafiam na czarne charaktery.

Maitre Deschamps spojrzał na zegarek i wstał.

– Mademoiselle, radzę o nim zapomnieć – stwierdził, płacąc rachunek. – I o tym drugim także. Bennett, zdaje się? Niech ciotki przedstawią pani miłego dżentelmena. Mają mnóstwo przyjaciół i na pewno doskonałe z nich swatki.

Ciotki się rozpromieniły, a Grizelda stwierdziła, że już ta rada jest warta pieniędzy, które mu płaci.

– Proszę się nie obawiać, wystawię odpowiedni rachunek – zapewnił z uśmiechem. – Poczekam, aż policja da mi jutro znać, a potem zadzwonię i ustalimy nasz następny ruch.

– No proszę. – Grizelda odetchnęła z ulgą. – Wiedziałam, że Hugo wszystko załatwi. *Cherie*, nie ma się czym przejmować. Wszystko będzie dobrze.

– No tak, ale co z biedną Lily?

– Tym zajmiemy się jutro, kochanie – orzekła Mimi. – A tymczasem zachowujmy się jak typowe turystki i zamówmy hamburgery Harry'ego. Podobno są boskie!

Rozdział 55

Samolot do Paryża był w połowie pusty. Sam zamówił wódkę i wypił ją duszkiem, gdy lecieli nad Alpami i francuską prowincją. Chciał zapomnieć o wydarzeniach ostatnich dni.

Rozejrzał się po samolocie i zauważył Azjatkę. Przemknęła po nim obojętnym spojrzeniem migdałowych oczu w kolorze ciepłego bursztynu. Była śliczna. Zastanawiał się, co ją sprowadzało do Wenecji. Oczywiście idiotyzmem byłoby myśleć, że znała Lily tylko dlatego, że obie pochodziły z Azji, ale ten zbieg okoliczności nie uszedł jego uwagi.

Wyjechał z Wenecji z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mógł sobie pozwolić, by jego nazwisko znowu łączono ze zbrodnią, po drugie, nie był w stanie nic zrobić. To już koniec. Prawda? To pytanie nie dawało mu spokoju przez cały lot.

Myślał o niej, jak sobie radzi z policją, zajmuje się rzeczami Lily, organizuje transport zwłok do Szanghaju.

Nawet kolejny drink nie pozwolił mu o niej zapomnieć. Przez opary alkoholu słyszał jej głos: „Pójdiesz ze mną, prawda?” Gdy zamykał oczy, widział jej akwamarynowe spojrzenie, pamiętał smugę piegów na nosie.

Samolot wylądował w Paryżu, nadal nękanym burzami. Sam przeszedł do terminalu Delty, skąd miał odlecieć do Nowego Jorku, ale w połowie drogi zmienił zdanie. Skręcił do stanowiska Cathay Pacific i zarezerwował miejsce w samolocie do Hongkongu i później dalej, do Szanghaju.

Odwołał lot do Nowego Jorku, a potem poszedł na zakupy. Kupił koszulki, bieliznę, kilka koszul, kaszmirowy sweter i ciepły płaszcz. W innym sklepie wybrał torbę podróżną, by zapakować nowe rzeczy. Potem zarezerwował pokój w hotelu Hilton na lotnisku, zamówił hamburgera, którego zjadł, oglądając w telewizji wiadomości, jak zawsze złe, tym razem po francusku. Wziął prysznic i położył się spać. I spał spokojnie.

Rano poleciał do Hongkongu samolotem Cathay Pacific. Lot trwał jedenaście godzin. Po czterech godzinach czekania wsiadł do maszyny Dragonair i udał się w dalszą podróż do Szanghaju.

Rozdział 56

Wenecja

Preshy śniła o kobiecym ciele unoszącym się w kanale tuż pod powierzchnią wody. Woda obmywała twarz, nie wiedziała, kto to jest, ale wyciągnięte ramiona i otwarte dłonie zdawały się błagać o pomoc.

Usiadła gwałtownie, zrana potem. Zerknęła na zegarek i jęknęła. Wpół do piątej. Wstała, nałapała sobie wody i siedziała wpatrzona w migający ekran telewizora. Trzeba czekać jeszcze tyle godzin, zanim maitre Deschamps zdobędzie wyniki sekcji. Tyle godzin, zanim się dowiedzą, czy to naprawdę Lily. Tyle godzin, zanim będzie musiała dokonać identyfikacji kobiety, której nigdy nie widziała. ...

Wyobraziła sobie kostnicę i zapach formaliny, kobiecy kształt na laboratoryjnym stole, z karteczką przywiązaną do dużego palca u nogi. Asystent patologa unosi prześcieradło... Nie da rady. Ale musi. Nie ma nikogo innego.

Wzięła prysznic i zastanawiała się, czy nie wrócić do łóżka. Co tym razem jej się przyśni? Kolejne zwłoki? Bennett? Wzdrygnęła się. Na jawie przynajmniej kontrolowała swoje myśli.

Rozważała, czy nie zamówić kawy, ale w jej żyłach płynęło już dość kofeiny i uznała, że to tylko pogorszy jej samopoczucie. Pomyślała o Samie w drodze do Nowego Jorku. Tyle, jeśli chodzi o rycerza w lśniącej zbroi.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w pustą szklankę, potem wstała, podeszła do okna, rozsunęła zasłony. Niebo było bezchmurne, kopuła bazyliki lśniła blado w świetle księżyca, przywodziła wspomnienia Bennetta i ślubu, którego nie było.

Znużona, wróciła do łóżka i zgasła światło. Czeką ją długa bezsenne noc.

O dziesiątej następnego ranka siedziała w apartamencie ciotek i jadła śniadanie, gdy zadzwonił maitre Deschamps.

– Możesz odetchnąć z ulgą, moja droga – powiedział. – Nie musisz identyfikować zwłok. Zrobili to na podstawie paszportu i odcisków palców. Niestety, mam złe wiadomości. To była Lily Song. Najwyraźniej poślizgnęła się na kocich łbach – na mokrym chodniku – uderzyła się w głowę i wpadła do kanału. Przyczyną śmierci było utonięcie. Moim zdaniem powinna pani zapomnieć o wszystkim, co Lily mówiła przez telefon. Proszę zabrać ją do domu, pogrzebać i dać sobie spokój.

– Cóż. – Preshy odłożyła słuchawkę i spojrzała na ciotki. – Wydadzą mi ciało. Teraz muszę jeszcze tylko załatwić transport zwłok i pogrzeb w Szanghaju.

– Ale kto załatwi pogrzeb?

– Jej rodzina, znajomi... – Na pewno kogoś miała. Niemożliwe, żeby była sama jak palec. – Przejrzymy jej kalendarzyk, zobaczymy, z kim się przyjaźniła.

Mimi wyznaczone zadanie znalezienia przewoźnika, który zapewni odpowiednią trumnę, a Preshy zadzwoniła do linii lotniczych z pytaniem o transport zwłok do Szanghaju. A potem poszła z ciotką do pokoju Lily.

Lily nie zdążyła się rozpakować, jej rzeczy nadal leżały w walizce. Preshy, wpatrzona w kilka

sztuk bielizny, czarne zamszowe szpilki i sweterek, pomyślała, jakie to żałosne; resztki, które zostały po umarłej. Miała łzy w oczach.

– Nie wyślę jej do domu samej – stwierdziła. – Muszę przynajmniej polecieć na pogrzeb.

– A ja z tobą – zdecydowała ciotka.

Preshy wiedziała jednak, że mimo gorących zaprzeczeń, jakoby była „stara”, ciotka odchorowałaby tak męczącą podróż.

– Nie ma potrzeby – odparła. – Będę nas reprezentowała i zajmę się wszystkim.

Grizelda znalazła notes Lily na nocnym stoliku.

– Ze Smythsona, ekskluzywnego sklepu na Bond Street w Londynie – stwierdziła z aprobatą. –

Kuzynka Lily miała dobry gust.

– Raczej drogi – poprawiła Preshy i przejrzała notes w czarnej skórce. Ze środka wypadło kilka wizytówek. Większość to karty Lily, pozostałe napisano po chińsku, z wyjątkiem jednej z nazwiskiem Mary-Lou Chen. Adres był ten sam co Lily, ale numer telefonu inny.

Preshy domyśliła się, że Mary-Lou pracuje u Lily. Zadzwoiła do niej, ale nikt nie podnosił słuchawki. Nie chciała zostawiać na automatycznej sekretarce wiadomości o śmierci Lily, więc się rozłączyła. Zadzwoi później.

Mimi tymczasem zorganizowała transport zwłok. Preshy nie mogła znieść myśli o podróży tym samym samolotem i wykupiła miejsce na lot przez Singapur. Grizelda zarezerwowała jej pokój w szanghajskim hotelu Cztery Pory Roku i ciotki odleciały samolotem do Monte Carlo.

Preshy wyjeżdżała z Wenecji po raz ostatni, taką miała nadzieję, najpierw do Frankfurtu, potem dalej do Singapuru, Hongkongu i Szanghaju. Do miasta Bennetta.

Rozdział 57

Szanghaj

Sam zakładał, że ciotka Grizelda nie pozwoli Preshy zatrzymać się w obskurnej norze. Ledwie wylądował na lotnisku Pudong, zaczął obdzwaniać szanghajskie hotele, zaczynając od najbardziej ekskluzywnych. Nie mylił się. W Czterech Porach Roku powiedziano mu, że panna Rafferty ma się zjawić jutro. Owszem, są jeszcze wolne pokoje. Od razu pojechał tam taksówką.

Już z pokoju zamówił dla niej kwiaty.

– Egzotyczne – tłumaczył. – Orchidee i peonie, coś takiego. – Napisał bilecik ze słowami: „Witaj, Rafferty”, a potem poszedł na pół godziny do łaźni, by rozjaśniło mu się w głowie. Ubrał się, narzucił nowy ciepły płaszcz i poprosił recepcjonistę, żeby sprawdził adres i numer telefonu Antykwariatu Song – zapamiętał tę nazwę z paczki, którą Lily wysłała do Paryża. I pojechał tam taksówką.

Okolica, w której mieszkała Lily, stanowiła dziwną mieszaninę staroświeckiego uroku, hałasu, tempa i miejskiego blichtru, ale szerokie aleje ocienione wiekowymi drzewami zachowały dawny czar, a wąskie alejki, *langtang*, tętniły życiem, pełne małych sklepików, klubów, barów i herbaciarni, w których w bambusowych klatkach mieszkały kanarki, a troskliwi właściciele karmili je żywymi świerszczami.

Za shikumen kryły się domki kryte dachówką, drewniane furtki prowadziły na małe podwórka.

Zaczęło padać, ledwie skręcił w uliczkę, przy której mieścił się sklep Lily. Zatrzymał się przy ogrodzeniu i spojrzał na posiadłość. Widział czerwony dach, wierzchołki kolumn i werandę w stylu art deco. Domek Lily wyglądał na większy od pozostałych – zapewne mieszkała tu i pracowała. Po jednej stronie wyrósł nocny klub, po drugiej – mała restauracja. Zadzwoił do drzwi i czekał. Nikt nie otwierał, ale też niczego innego się nie spodziewał. Energicznym krokiem wrócił na główną ulicę i dla ochrony przed deszczem wszedł do pierwszej lepszej herbaciarni, i zamówił tutejszy specjał – herbatę longjing i shenjian bao, pierożki nadziewane wieprzowiną. Wbił w nie zęby i skrzywił się, gdy poczuł wrzące nadzienie. Ale było pyszne.

Patrzył na ludzi przy sąsiednich stolikach. Wszyscy rozmawiali po mandaryńsku, w języku, którego nawet nie usiłował zrozumieć. Czasami ktoś przemykał po nim wzrokiem z poważną miną. Nagle zdał sobie sprawę, że jest tu jedynym cudzoziemcem. Poczł się jak intruz, wstał i wyszedł. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć na bazar.

Zapadł wieczór, na ulicach tłoczyli się hałaśliwi ludzie. Woń kadzidełek z niedalekiej świątyni mieszała się z zapachami z ulicznych kramów, w których szykowano najróżniejsze smakołyki.

Sam przepychał się przez tłum, oślepiiony tysiącami migających neonów i szorstkim brzmieniem języka, a także muzyką, gongami i bębnami, oszołomiony widokiem dzieci, rozkrzyczanych, rozbieganych, z balonikami w dłonach, widokiem tłumów wychodzących ze świątyni z czerwonymi kolumnami, w której przepowiadano przyszłość.

Podszedł do miejsca, gdzie mężczyźni biegli w sztuce jasnowidzenia reklamowali swoje usługi

po angielsku, dla turystów takich jak on, i chwalił się wycinkami z gazet, opisującymi ich umiejętności.

Jeden z wyblakłych wycinków głosił, że mężczyzna w świątyni to syn najśłynniejszego jasnowidza Chin i godnie reprezentuje wielkiego ojca. „Potentaci, milionerzy i damy z towarzystwa na co dzień korzystają z jego usług”, zapewniała gazeta. „Według jego rad ustalają daty, wiedzą, kiedy los im będzie sprzyjać w interesach, kiedy spotkają życiowego partnera”.

Pod wpływem impulsu Sam odgarnął zasłonę z koralików i wszedł do środka.

Wróżbita okazał się niskim mężczyzną w średnim wieku, ze zmrużonymi oczami i gładką skórą. Siedział za pustym stolikiem. Skinął na Sama, żeby zajął miejsce naprzeciwko.

Sam oczekiwał, że wyjmie talię kart albo przynajmniej kryształową kulę, ale wróżbita tylko uważnie przyglądał się jego twarzy. Sam wyciągnął rękę, żeby obejrzał dłoń, jasnowidz jednak mruknął:

– Jeszcze nie teraz. – I nadal badał wzrokiem jego rysy. Sam, speszony, odwrócił wzrok.

– Czytam twoją twarz – powiedział w końcu wróżbita. – Mówi mi wszystko o tobie. Jako dziecko byłeś bardzo ciężko chory.

Sam podniósł głowę, zaskoczony. Rzeczywiście, jako pięciolatek otarł się o śmierć.

– Myślisz szybko, jesteś bystry. Jesteś twórcą – ciągnął wróżbita. Znowu się nie mylił. – Sukces przychodzi ci z łatwością. Pieniądze do ciebie lgną. – Jego oczy przypominały wąskie szparki, gdy ponownie skupił się na rysach Sama. – Ale tragedia depcze ci po piętach – dodał miękko. – Obrazy przemocy i śmierci nie dają ci spokoju. Nawet teraz, z dala od domu, jest ich coraz więcej.

Zaskoczony Sam milczał, obserwował, czekał.

– Otacza cię tajemnica – mówił wróżbita. – Wiecznie szukasz odpowiedzi.

W końcu wziął Sama za rękę i uważnie przyjrzał się dłoni.

– Masz długą linię życia, ale są w niej przerwy. – Patrzył na plątaninę linii. – Tutaj, gdy byłeś mały, i tutaj. – Podniósł głowę, znowu zmrużył oczy. – Teraz.

Samowi nie przypadło to do gustu, ale nie zapomniał, że wróżbita nie mylił się co do dziecięcej choroby i tajemnic.

– Szukam dwóch osób. Powiedz mi, czyje znajdę – zapytał. Wróżbita spojrzał mu w oczy.

– Pierwsza osoba to kobieta. A odpowiedź leży w twojej duszy – powiedział spokojnie. – A co do drugiej, odpowiedź zna inna kobieta.

Sam zapłacił i wyszedł zza koralikowej zasłony. Pot perlił mu się na czole, gdy dumał nad słowami wróżbity. Ze świątyni napływał aromat kadzideł, mieszał się z pikantnymi zapachami jedzenia, hałas się nasilał. Nagle nie mógł tego wytrzymać. Złapał taksówkę i wrócił do hotelu, do pokoju, gdzie zasnął i śnił o Rafferty, która jutro przyjedzie do Szanghaju z ciałem Lily.

Rozdział 58

Niemal dwadzieścia cztery godziny później zmęczona Preshy wysiadła z windy w holu hotelu Cztery Pory Roku i zameldowała się.

– Madame, w barze ktoś na panią czeka – poinformował recepcjonista. – Prosił, żeby pani o tym powiedzieć, kiedy tylko pani się zjawi. Nadal oszołomiona wieloma godzinami podróży w metalowym cylindrze wypełnionym kiepskim powietrzem, szampanem, którym usiłowała zagłuszyć złe wspomnienia, zastanawiała się niespokojnie, kto to może być. Weszła do baru i jej serce zabiło szybciej. Sam.

– Co ty tu robisz? – zdziwiła się.

– Czekam na ciebie, Rafferty, ma się rozumieć. Usiadła na skórzanej kanapce naprzeciwko niego.

– Dlaczego? – zapytała, patrząc mu w oczy. Były przekrwione.

– Bo potrzebujesz pomocy. I nie pozwolę, żebyś sama przez to przechodziła.

– Ha! – Wzruszyła ramionami z niedowierzaniem. – Ostatnio dałeś mi do zrozumienia, że nie chcesz się w to angażować. A poza tym wyglądasz okropnie.

– Nawet w części nie tak, jak się czuję. A propos: czego się napijesz? Z dezaprobatą spojrzała na stojącą przed nim podwójną wódkę.

– Wody mineralnej. Z cytryną.

– Podczas lotu do Paryża wszystko przemyślałem – zaczął. Przeczesał ciemne włosy palcami i się uśmiechnął. – Powiedzmy, że zmieniłem zdanie.

– Czyżby? A jaką rolę w tej metamorfozie odegrała Leilani? Przez chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem, a potem pokręcił głową i zauważył ze smutkiem:

– Nie musiałaś tego mówić, Rafferty.

Kelner przyniósł jej wodę. Zawstydzona, wbiła wzrok w musujący płyn.

– Przepraszam – mruknęła. – Nie chciałam. – Umilkła znużona. – Oczywiście z kanału wyłowiono Lily – wyjaśniła. – Ciało już wróciło do Szanghaju. Przyjechałam tu na jej pogrzeb, ale najpierw muszę sprawdzić, czy ma krewnych albo przyjaciół.

– Wiedziałem, że tak będzie. Chcę ci pomóc.

Spojrzała na niego. Wyglądał gorzej niż poprzednio, ale ona zapewne też. Nadal nie wiedziała, czy może mu zaufać. Z drugiej strony nikt nie leci na drugi koniec świata pomóc w pochówku kuzynki, chyba że ma ukryty motyw.

– Dzięki, nie musiałaś tego robić. – Wstała. – Sama sobie poradzę.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia.

– Może.

Odwróciła się, zanim wyszła z zatłoczonego baru. Chciała mu wierzyć. Że też ze wszystkich mężczyzn na świecie trafiła akurat na niego, pomyślała. Czy to nie cytat z *Casablanki*? Nie, tam było coś o wszystkich barach świata....

Była zbyt zmęczona, by sobie przypomnieć. A w pokoju czekały na nią przepiękne kwiaty. „ Witaj, Rafferty”, przeczytała na bileciku i zmiękła. Troszeczkę.

Rozdział 59

Czekały na nią trzy wiadomości. Rozebrała się, wzięła prysznic, włożyła szlafrok, położyła się, podniosła słuchawkę i odsłuchiwała je po kolei.

Ciotka Grizelda domagała się, żeby zadzwoniła zaraz po przylocie, powiedziała jak jej minęła podróż i jak wygląda sytuacja. Poinformowała, że Miau całkowicie opanowała apartament i w tej chwili psiaki posłusznie siedzą u jej łapek na podłodze, a kociak rozwała się na kanapie i mierzy je czujnym wzrokiem.

Drugą zostawiła Daria:

– Co, do cholery, robisz w Wenecji, zamieszana w śmierć kuzynki Lily, o czym dowiedziała się Sylvie od cioteczki G? I co, do cholery, robisz w Szanghaju, organizując biedaczce pogrzeb? Dlaczego nie dasz sobie spokoju, niech się tym zajmą jej rodzina i przyjaciele! – Chwila ciszy, gdy Daria zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć, a potem: – O ile ich miała. A gdyby mała nie zachorowała na ospę, siedziałabym w następnym samolocie, ale jak tylko poczuje się lepiej, lecę do Paryża. Strasznie się martwię. Błagam, powiedz, że nic ci nie jest.

Ostatnia wiadomość była od Sylvie.

– Ciotka Grizelda wszystko mi powiedziała – zaczęła poważnie. – Brak mi słów, by określić twoje szalone zachowanie. Skąd pomysł, że musisz się zająć tą sprawą? Lily miała swoje problemy, nic ci do nich, a teraz sama jesteś w niebezpieczeństwie. – O Boże, Sylvie płacze! – Dzisiaj wsiadam do samolotu, jutro będę w Szanghaju. Mam nadzieję, że nadal żyjesz i że nie będę ci musiała robić sztucznego oddychania. *Merde*, Preshy, kocham cię, ty kretynko.

Mimo zmęczenia i zmartwień Preshy się roześmiała. Nazywały się tak, gdy zrobiły coś bardzo głupiego.

Zgasiła lampę i starała się ułożyć zmęczone podróżą ciało wygodnie na łóżku. Gdyby nie była tak wykończona, poszłaby na masaż, żeby się pozbyć napięcia... ale bardzo chce jej się spać...

Następnego ranka obudziła się o piątej, jeszcze było ciemno. Rozsunęła zasłony i patrzyła na migające neony obcego miasta, ciekawa, co przyniesie dzień. Pomyślała o Samie, pochylonym nad barem ze szklanką w ręku, i zastanowiło ją, jak się teraz czuje. Pewnie pijany w sztok. Ale przejechał kawał świata, żeby jej pomóc – a pomoc jej się przyda. Namyslała się przez chwilę, a potem podniosła słuchawkę i ze złośliwym uśmiechem zamówiła śniadanie dla dwojga, natychmiast, do pokoju. A potem zadzwoniła do Sama.

Długo trwało, zanim podniósł słuchawkę.

– Co...

Uśmiechnęła się. Nie był w najlepszej formie.

– *Bonjour* – zaszcebiotała.

– Co?

Przynajmniej wypowiedział całe słowo.

– To znaczy „dzień dobry” po francusku – poinformowała. – Nie zrozumiałeś?

– Jezu! – jęknął. Wyobraziła sobie, jak opada z powrotem na poduszki, ciągle nie unosząc

powiek. – Rafferty, masz pojęcie, która godzina? Piąta rano. Czy to nie odrobinę za wcześnie na rozmowy? Zwłaszcza z powitaniem w obcym języku?

– Sam powiedziałaś, że bym zadzwoniła, kiedy będę gotowa... więc dzwonię. Zamówiłam nam śniadanie – dodała energicznie. – Przyniosą je mniej więcej za dziesięć minut, więc ruszaj się. Musimy się spotkać i wszystko omówić.

– Hm, nagle stałaś się kobietą sukcesu, co? Wczoraj wydawało mi się, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

– Podobnie jak ty zmieniałam zdanie – odcięła się. – Masz dziesięć minut – przypomniała i rozłączyła się.

Przyszedł po piętnastu, równocześnie z kelnerem ze śniadaniem. Przyglądała mu się, gdy kelner nakrywał do stołu. Miał włosy mokre po kąpieli, nie ogolił się, a zza szkieł okularów patrzyły zapadnięte oczy. Alkohol mu nie służył.

– Proszę, napij się soku. – Podała mu wysoką szklankę. – Podobno dobrze robi na kaca.

Wypił duszkiem i spojrzał jej prosto w oczy.

– Każdy walczy z demonami na swój sposób – powiedział. – Ja piję. Ty, jak zdążyłem się zorientować, wolisz koty.

Roześmiała się. Nagle zatęskniła za zmysłowym mruczeniem Miau.

– Masz rację.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Preshy naląła kawy do filiżanek i sięgnęła po rogalika. Sam z apetytem zajadał jajecznicę na bekonie. Podała mu mały notesik oprawiony w czarną skórę.

– Tutaj mamy wszystkich znajomych Lily. Chciałam do nich dzwonić po kolei, ale potem znalazłam to.

Obejrzał wizytówkę Mary-Lou Chen.

– Ten sam adres co Lily. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Skąd wiesz?

– Recepcjonista sprawdził mi go w książce telefonicznej. Byłem tam wczoraj, ale nikogo nie było w domu.

W życiu nie wpadłaby na coś tak prostego, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wydawało się bardzo skomplikowane.

– W każdym razie podejrzewam, że Mary-Lou to asystentka Lily i z nią przede wszystkim powinniśmy się skontaktować.

Zerknął na zegarek.

– O wpół do szóstej rano? Nie wiem dlaczego, ale sadzę, że nie byłaby zadowolona. Pewnie zaczyna pracę o dziewiątej.

– No dobra, masz rację, tak bardzo chciałabym już działać...

– Wiem, Rafferty, wiem. – Poklepał jej dłoń. – Ale po rym, co spotkało Lily, musimy zachować większą ostrożność.

– Mówisz jak pisarz – zachnęła się.

– Pewnie dlatego, że kiedyś nim byłem.

– Byłeś?

Wzruszył ramionami.

– Jakoś straciłem zapał. Nagle zrobiło jej się go żal.

– Przepraszam za to, co wczoraj powiedziałam. O Leilani. – Nie patrzyła mu w oczy, wolała obserwować fusy na dnie filiżanki. – Nie wiem, co mnie ugryzło, ale naprawdę tak nie uważam. I chciałabym ci podziękować, że mi pomagasz.

– Nie ma sprawy. – Wstał. – Spotkamy się o wpół do dziesiątej i sprawdzimy, co wie. – Odwrócił się od drzwi i uśmiechnął szeroko. – Wykap się – mruknął. – Wyglądasz dzisiaj okropnie.

Rozdział 60

Mary-Lou też nie wyglądała najlepiej. Buszowała w szafie, niezdecydowana, co na siebie włożyć. Zgodnie z tradycją powinna nosić biel, kolor żałoby, ale nie mogła tego zrobić, póki nie odnajdą ciała Lily. Jeśli kiedykolwiek je odnajdą... Czy w Wenecji nie ma przypadkiem ukrytych prądów, które unoszą wszystko? Śmiecie, skarby, zwłoki... Oby tak było.

Ostatecznie włożyła spodnie khaki i białą koszulę, którą związała w talii. Dodała koralowy naszyjnik, złote bransoletki i kolczyki. Przeczesała krótkie ciemne włosy, musnęła usta karminową szminką... Ale nie była zadowolona z efektu. Morderstwo nie dodaje urody, pomyślała.

Narzuciła czerwoną skórzaną kurtkę, zjechała windą do garażu, wsiadła do zniechęconego małego samochodu i pojechała do domu Lily. Życie toczy się dalej. Musi się zachowywać, jak gdyby nigdy nic.

Weszła na podwórko, zaparkowała koło wozu terenowego Lily, wbiegła po schodach na werandę i otworzyła drzwi.

Stary dom wydawał się nienaturalnie cichy. Umilkł nawet stary zegar. Należał do matki Lily, przywiozła go z Francji. Kradziony, podobnie jak naszyjnik, i zawsze był w tym domu, jego tykanie stanowiło nieodłączny akompaniament życia Lily. A teraz stanął.

Przesądna Mary-Lou wzdrygnęła się. Otworzyła kasetkę, pchnęła wskazówki. Na nic. Poszukała w ukrytej szufladce, znalazła kluczyk, nakręciła zegar... Coś zachrobotało w mechanizmie i znowu zapadła cisza. Uznała to za zły omen, cisnęła kluczyk z powrotem do szufladki i zatrzasnęła drzwiczki.

Rozejrzała się w poszukiwaniu kanarka Lily – przynajmniej jego śpiew napełni dom życiem. Ale klatki nigdzie nie było.

Pomyślała o naszyjniku i przypomniała sobie, że Lily przechowywała swoją biżuterię w małym sejfie w szafie. Wiedziała, gdzie jest kluczyk – pod swetrami, na trzeciej półce od góry.

W sejfie nie było nic wartościowego poza pierścieniem z brylantem, który Lily czasami zakładała. Mniej więcej pięć karatów, oszacowała, niezły kolor. Wsunęła go do kieszeni spodni. Do tego złoty naszyjnik i bransoletka, złote i jadeitowe kolczyki, kilka wisiorków. Plik dokumentów – akt własności domu. Nic specjalnego. Uznała, że na wszelki wypadek, gdyby ktoś sprawdzał, zostawi wisiorki, kolczyki i dokumenty. Zamknęła sejf i już szła po skrzypiących schodach do piwnicy, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? – rzuciła niecierpliwie do słuchawki.
- Czy rozmawiam z panią Chen? Mary-Lou Chen? Kobieta. Nieznajoma.
- Tak. – Ton jej głosu sugerował, że jest zajęta i zła, że się jej przeszkadza.
- Pani Chen, tu Precious Rafferty. Kuzynka Lily z Paryża.
- Och. – Najpierw przyszedł szok, potem strach.
- Pani Chen, jestem tutaj, w Szanghaju.
- W Szanghaju?
- Przyleciałam wczoraj. Mam ważne nowiny. Mary-Lou już się zorientowała – Precious wie o

Lily.

– Jakie?

Precious westchnęła i powiedziała:

– Wolałabym porozmawiać z panią osobiście. Mogę być u pani za pół godziny, jeśli to pani odpowiada.

Mary-Lou zawahała się. Jej odmowa może się wydać podejrzana, zwłaszcza że jest najlepszą przyjaciółką i współpracowniczką Lily.

– Bardzo chętnie spotkam się z krewną Lily – powiedziała cieplejszym tonem. – Lily mówiła, że ma kuzynkę we Francji. Przykro mi, że nie powita pani osobiście, ale tak się składa, że akurat jest w Europie.

– Wiem – odparła Precious Rafferty i Mary-Lou przeszył dreszcz. – Do zobaczenia za pół godziny, pani Chen.

Mimo dziwnej rozmowy Mary-Lou nie zapomniała o gotówce w sejfie w piwnicy, którą Lily zarobiła, handlując kradzionymi antykami. Ma pół godziny. Akurat zdąży spakować pieniądze do worka i zanieść do bagażnika samochodu. A propos samochodu – wóz Lily jest lepszy niż jej. Pewnie zostawiła kluczyki w stacyjce. Później go zabierze.

Rozdział 61

Sam powiedział, że lepiej będzie, jeśli Preshy sama się spotka z panią Chen, więc zostawiła go w pobliskiej herbaciarni i wyruszyła wąską uliczką, przy której wyrastały małe domki za wysokimi murami. Furtka Lily była zielona. Preshy zadzwoniła i czekała. Mary-Lou Chen powitała ją przez domofon i wpuściła.

Stary dom, otoczony chińskim ogrodem, ze stawem ze złotymi rybkami, pachnący kwiatem lotosu, sprawił, że poczuła się, jakby weszła do innego, spokojniejszego świata. Mary-Lou czekała na nią na stopniach werandy.

– Zapraszam do środka – powitała ją. – Lily będzie niepokieszona, że pani jej nie zastała, ale mam nadzieję, że chociaż częściowo zdołam to pani wynagrodzić.

Wpuściła Preshy do saloniku, wskazała krzesło, a sama poszła zaparzyć herbatę.

Preshy rozglądała się ciekawie. Skromne umeblowanie. Lśniaca bambusowa podłoga, ołtarzyk i złoty Budda. Wszystko bardzo proste, ale piękne. Po raz pierwszy pożałowała, że nie było jej dane poznać kuzynki.

Mary-Lou wróciła i Preshy patrzyła na nią z podziwem, zachwycona jej urodą, lśniącymi włosami, bursztynowymi oczami i pełnymi ustami pomalowanymi czerwoną szminką, o której ona nawet nie mogła marzyć.

Mary-Lou naląła herbaty do błękitnych czarek.

– To naprawdę wielka szkoda. Lily ucieszyłaby się bardzo, mogąc panią poznać – zapewniła. – Jest pani jej jedyną krewną? – zapytała, podając Preshy naczynie.

– Jedyną europejską krewną. Nie wiem, jak wygląda sytuacja z rodziną ze strony ojca.

– Lily nienawidzi ojca – odparła Mary-Lou szczerze. – Po jego śmierci ona i jej matka zerwały wszelkie kontakty z rodziną Song, od tego czasu minęło wiele lat. Lily jest bardzo zamknięta w sobie – dodała ze smutkiem. – Często... o wiele częściej, niż można sądzić, usiłowałam ją wyciągać na bale i imprezy dobroczynne, ale Lily to prawdziwa pustelnica. Oddała się pracy – dodała i uśmiechnęła się szeroko. – Ma świetny gust, jeśli chodzi o antyki, choć oczywiście zajmuje się przede wszystkim kopiami dla turystów.

– Podróżkami – podsumowała Preshy.

– Jeśli tak chce pani to nazywać... choć nigdy nie sprzedajemy ich jako oryginały, zawsze opisujemy je jako repliki. – Wzruszyła szczupłym ramieniem z taką gracją, że Preshy zaczęła się zastanawiać, czy Mary-Lou jest w stanie wykonać ruch pozbawiony wdzięku. Miała wrażenie, że obserwuje młodą panterę, patrzyła, jak dziewczyna podchodzi do półki i zdejmuje z niej gipsową figurkę.

– Lily handluje czymś takim – wyjaśniła. – Tak zarabiamy na życie. Preshy spojrzała jej w oczy.

– Panno Chen, mam złe wiadomości.

– Złe wiadomości? – Zmarszczyła czoło, zaniepokojona.

– Lily była w Wenecji. Zdarzył się wypadek... Przykro mi, ale Lily utonęła.

Mary-Lou osunęła się na krzesło. W oczach zalśniły łzy. Zagryzła usta. Oplotła się ramionami,

jakby chcąc dodać sobie otuchy.

– Ale dlaczego była w Wenecji? – zapytała. – Miała jechać do Paryża... Wspominała nawet, że chciała się z panią spotkać...

Preshy zaintrygowało, dlaczego Mary-Lou nie powiedziała jej tego wcześniej, ale uznała, że tak się postępuje w Chinach – może Mary-Lou nie chciała rozmawiać z nieznajomą, choćby spokrewnioną z Lily, o jej prywatnym życiu.

– Przykro mi – powtórzyła cicho. – Ale przyjechałam tu, żeby dopilnować pogrzebu Lily. – Położyła na niskim stoliku karteczkę z adresem chińskiego zakładu pogrzebowego i wyjaśniła, że w zakładzie czekają na instrukcje. – Mam nadzieję, że pani mi pomoże – dodała. – Nie znam się na chińskich zwyczajach, nie wiem, czy ma krewnych, z kim się przyjaźniła.

Mary-Lou w końcu wzięła się w garść. Powiedziała, że oczywiście, wszystkim się zajmie. Nie, nie ma rodziny ani przyjaciół, jest tylko ona. A jeśli pani Rafferty jej wybaczy, jest trochę zdenerwowana i wolałaby zostać sama. Nie, proszę się nie martwić, zajmie się pogrzebem.

Obiecała, że zadzwoni, i odprowadziła gościa do drzwi. Przy furtce Preshy odwróciła się, żeby się pożegnać, ale drzwi do domu już się zamknęły. Biedactwo, pomyślała. To dla niej straszny szok.

Sam czekał w herbaciarni i popijał herbatę longjing, którą, jak zapewniał, zaczynał lubić.

– Lepsza niż wódka – stwierdziła Preshy po jednym łyku.

– Co ty, Rafferty? Bawisz się w reformatorkę? – Łypnął na nią groźnie.

– Przepraszam, przepraszam... Nie nadymaj się. – Uśmiechnęła się. – Zresztą to akurat prawda. – Sam nadal był naburmuszony, więc ciągnęła: – Mary-Lou Chen jest piękna i dobra. Kiedy jej przekazałam nowiny, biedaczka prawie się załamała. Wyglądała jak przerażone dziecko.

– Dlaczego przerażone? Myślałem raczej, że będzie w szoku. Przyglądała mu się uważnie. Oczywiście miał rację.

– Właściwie nie wiem – przyznała. – Ale obiecała, że zajmie się pogrzebem. Później do mnie zadzwoni.

Mary-Lou rzeczywiście zajęła się pogrzebem i zrobiła to szybko i sprawnie, zanim mogły paść następne pytania.

– Pogrzeb odbędzie się jutro – poinformowała Preshy przez telefon. – W świątyni, w której spoczywa też matka Lily. Jeśli zechce pani uczestniczyć w ceremonii, proszę tam być o dwunastej. I proszę nie wkładać czerni. Nie mamy takiego zwyczaju.

Rozdział 62

Później tego wieczoru zjawiała się Sylvie, zmęczona i wściekła.

– Nie zasługujesz na mnie – poinformowała Preshy, gdy ta obejmowała ją w holu hotelu Cztery Pory Roku. – Jestem męczennicą twoich emocji – dodała dramatycznie.

– I dobrze – mruknęła Preshy. – Męczennica dobrze mi robi. To miła odmiana po pijaku.

– Jakim pijaku?

– Po Samie Knightcie. Zaczął pić.

– Nie dziwię mu się, w twoim towarzystwie? – Sylvie zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na nią z ukosa. – A co Sam Knight tu robi? Wydawało mi się, że wrócił do Stanów.

– Zmienił zdanie. – Preshy usiłowała zrobić skromną minkę, ale parsknęła śmiechem. – Albo jest w to wszystko zamieszany, albo mój zabójczy urok zwałił go z nóg.

– Cóż, dla Lily z pewnością okazał się zabójczy – mruknęła Sylvie. – A nie przyszło ci do głowy, że coś jest nie tak w tym, że kobiety z otoczenia Sama Knighta znikają, ewentualnie pojawiają się jako trupy?

– Owszem, przyszło.

– I nie obawiasz się, że jesteś następna na liście?

W milczeniu jechały windą do apartamentu Preshy, w milczeniu szły po puszystym dywanie do pokoju, w którym Sylvie miała z nią zamieszkać. W końcu Preshy się odezwała:

– Sylvie, jestem w Szanghaju z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam odwiedzić do domu biedną kuzynkę Lily. Po drugie, tutaj mieszkał Bennett. A Lily mówiła, że jest w to wszystko zamieszany.

– No i?

– Chcę go odnaleźć, ale nigdy nie dał mi adresu czy numeru telefonu stacjonarnego, tylko komórkowy. Ale mam notes Lily. Jeszcze nie przejrzałam go dokładnie, ale liczę, że coś tam znajdę.

Sylvie zmywała z siebie trudy podróży, a Preshy przeglądała notes kartka po kartce, ale nie znalazła Bennetta Jamesa.

– Nic – stwierdziła rozczarowana, ledwie Sylvie wyszła z łazienki w szlafroku, z ręcznikiem na mokrych włosach.

Sylvie westchnęła, podniosła słuchawkę i zamówiła herbatę i grzanki do pokoju.

– Tylko niech będą gorące – zaznaczyła. – Poproszę też odrobinę wędzonego łososia. Sałatka? Nie, dziękuję. Za piętnaście minut? Dobrze.

Znużona opadła na fotel i przejrzała notes.

– Może nie figuruje tu jako Bennett – zauważyła. – Zobacz, tu jest Ben Jackson, a tu Yuan Bennett. Warto spróbować.

Sylvie jadła, a Preshy dzwoniła. Pierwszy mężczyzna okazał się handlarzem antykami, który współpracował z Lily i bardzo się przejął wiadomością o jej śmierci. Mary-Lou Chen już mu mówiła, jutro przyjdzie na pogrzeb.

Drugi numer odłączono od sieci.

– Ale jest tu też adres. – Preshy z trudem odczytała pismo Lily. – Może powinnam tam pojechać. Syhde spojrzała na nią ostrzegawczo.

– O nie, beze mnie nigdzie nie pójdziesz, a ja teraz idę spać. – Ziewnęła. – Tylko nie rób żadnych głupstw, póki się nie obudzę, dobrze?

Sylvie chrapała w najlepsze mniej więcej po dwóch minutach. Preshy narzuciła płaszcz i zeszła do holu. Tak jak się spodziewała, Sam siedział przy barze.

– O nie, znowu ty! – jęknął, gdy poklepała go w ramię. – Czy człowiek nie może się nawet napić w spokoju?

– Ze mną? Nie. Moja przyjaciółka Sylvie właśnie przyleciała z Paryża. Pokazałam jej notes Lily. Niewykluczone, że trafiłam na ślad Bennetta.

Podawała mu czarną książeczkę. Spojrzał na stronę z nazwiskiem Bennett Yuan.

– Myślisz, że to on? Wzruszyła ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Ale Lily go znała, a to jedyny Bennett, jakiego tu znalazłam. Telefon jest odłączony. Może nikt już tam nie mieszka.

– Jutro sprawdzimy. – Odwrócił się do baru.

Preshy poczekała jeszcze chwilę w nadziei, że zmieni zdanie i pojedzie z nią, ale nic takiego się nie stało. Sam nie zaproponował też, żeby z nim została i dotrzymała mu towarzystwa. W końcu odwróciła się i wyszła na zewnątrz.

Szanghaj był jak inna planeta w świetle halogenów, najeżony wieżowcami lśniącymi jak gwiazdy. Na ulicach przelewały się setki ludzi, ostre zimowe powietrze przesycił ostry zapach jedzenia z ulicznych straganów. Preshy złapała taksówkę, wsiadła i podała adres Bennett Yuana.

Mieszkał, jak się okazało, w imponującym wieżowcu, wzniesionym z różowego granitu. Wejścia strzegły dwa stare brązowe lwy, ustawione przy drzwiach zgodnie z zasadami feng shui – miały zatrzymać w budynku dobre chi. Na patio szumiała pięknie oświetlona fontanna. Portier w liberii przytrzymał jej drzwi.

– Szukam pana Yuana Bennetta – zaczęła z nadzieją.

– Bardzo mi przykro, ale pan Yuan już tu nie mieszka.

A więc szukała Bennetta Yuana, nie Yuana Bennetta, a zatem nie może chodzić o tego Bennetta. Ale wolała się upewnić.

– Przyjechałam aż z Paryża, żeby się z nim spotkać. Może wie pan, gdzie go znajdę?

– Bardzo mi przykro, ale pan Yuan wyprowadził się po śmierci żony.

– Żony?

– Tak, proszę pani. Ana Yuan pochodziła z bardzo znanej szanghajskiej rodziny. Pojechała do Suzhou, pięknego miasteczka pełnego kanałów. Nazywają je chińską Wenecją.

– Wenecją? – powtórzyła zdumiona.

– Tak, proszę pani. Niestety, pani Yuan potknęła się, uderzyła w głowę i wpadła do kanału. Utonęła, proszę szanownej pani. Pozwolę sobie powiedzieć, że nigdy nie widziałem takiej rozpaczki jak u pana Bennetta. Szukał świadków wypadku, ale nikt nic nie widział, nikt też nie wiedział, dlaczego tamtego dnia sama pojechała do Suzhou. Podobno pan Bennett szłochał na pogrzebie, ale nie odziedziczył majątku żony i nie było go stać na ten luksusowy apartament. Wyprowadził się wkrótce po jej śmierci i później już się tu nie pokazał, proszę pani.

Preshy podziękowała odźwiernemu i poprosiła, żeby zamówił jej taksówkę. W hotelu poszła od razu do baru. Sam nadal tam był. Wspięła się na sąsiedni stół.

Spojrzał na nią.

– Tylko mi nie mów, że przysłaś prawić dalsze kazania.

– Nie, chociaż powinnam. Sam, nie uwierzysz – zaczęła. Opowiedziała mu historię Bennetta Yuana i o tym, jak jego żona utonęła w kanale w Suzhou.

– Ale nadal nie mogę uwierzyć, że to mój Bennett – zakończyła.

– Ha! Czego ci jeszcze trzeba, Rafferty? Podpisanego przyznania się do winy? Oczywiście, że to

on. – Sięgnął po szklanę. – A właściwie czemu pojechałaś tam sama? Wszystko mogło się zdarzyć.

– Och nie, nie – zapewniła. – Bennett nie podniósłby na mnie ręki. I nadal nie wierzę, że to on, to tylko seria zbiegów okoliczności. Ciągle nie wiemy, czy to ten sam człowiek.

Sam z jękiem opróżnił szklanę.

– Rafferty, powinnaś iść do psychiatry – sapnął.

– Może i tak. – Zsunęła się ze stołka. – I powinnam wiedzieć, że nie mam co liczyć na współczucie z twojej strony.

– Nie potrzebujesz współczucia – zawołał za nią. – Tylko logiki!

W pokoju Sylvie chrapała głośno. Preshy ściszyła telewizor i do świtu oglądała chińskie programy, cały czas pogrążona w myślach o Bennecie Yuanie. Czyżby dwa utonięcia naprawdę były tylko zbiegiem okoliczności?

Rozdział 63

Na pogrzebie Lily zjawili się tylko sześć osób, w tym Preshy, Sylvie i Sam. Preshy wystąpiła w białym płaszczu od Valentino, Sylvie włożyła stary beżowy prochowiec burberry, a Sam był w czerni, bo nie miał nic innego. Oprócz nich Lily opłakiwali Mary-Lou Chen, zabójcza w białej brokatowej sukni, otulona długimi szalem, Ben, znajomy Lily, do którego Preshy zadzwoniła, i drobny staruszek z rzadką bródką i rozwianymi włosami, w starym szarym ubraniu.

W świątyni podpalili kadzidełka i cienkie bambusowe patyczki i patrzyli, jak dym wzbija się w górę. Podobno towarzyszy duszy Lily w drodze do nieba. Mała grupka opłaconych żałobników szła za trumną na miejsce pochówku. Grali na bębnach i cymbałach i zawodzili pieśń pogrzebową. Za nimi biegła banda roześmianych uliczników i bezpański pies. To najsmutniejszy pogrzeb, jaki można sobie wyobrazić, przemknęło Preshy przez głowę.

Po pięknej twarzy Mary-Lou płynęły łzy. Ze smutkiem zwiesiła głowę. Po pogrzebie handlarz antykami podszedł do niej, podał jej rękę i złożył kondolencje, i zaraz się oddalił. Stała nad grobem obok staruszka, ale nie rozmawiali ze sobą. Po kilku minutach i on odszedł od grobu. Podszedł do Preshy i pozostałych, uklonił się i uściśnął im dłonie.

– Dopiero niedawno poznałem Lily – zaczął. Kiedy mówił, cienka bródka drżała. W zamglonych oczach malował się smutek. – Byłem przyjacielem jej matki. Przed śmiercią powierzyła mi coś, co miałem przekazać Lily w jej czterdzieste urodziny. Jak być może wiecie, te urodziny wypadają kilka miesięcy temu, więc przyszedłem do Lily. Dałem jej naszyjnik w puzderku z czerwonej skóry. Opowiedziałem całą historię i wytłumaczyłem, na czym polega wartość naszyjnika.

Patrzyli na niego zdumieni.

– Naszyjnik? Skinął głową.

– I to nie zwyczajny naszyjnik, ale taki, którego historia jest chyba równie cenna jak klejnoty, z których go wykonano. – Zadrżał na zimnym wietrze. – Ale teraz nie czas rozmawiać o klejnotach. Na pewno znajdziecie naszyjnik babki wśród rzeczy Lily. Teraz należy do pani.

Wcisnął Preshy wizytówkę.

– Jestem do pani usług, panno Rafferty. – Skłonił się i oddalił, zniknął wśród zamglonych drzew.

– Jak to: naszyjnik babki? – Preshy zastanawiała się na głos. – Ten ze zdjęcia?

– Ze zdjęcia, które zaginęło – dodał Sam.

– Och... – Zrozumiała, do czego zmierzał, i przypomniała sobie, że tylko Bennett był w jej mieszkaniu.

– Idzie Mary-Lou – mruknął Sam. – Zachowuj się jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nigdy nic! Preshy już zapomniała, co to znaczy. Mary-Lou podeszła charakterystycznym kocim krokiem i uśmiechała się smutno, gdy Preshy przedstawiała jej swoich towarzyszy.

Otarła oczy i podziękowała, że przyszli.

– Przyjaźniłyśmy się z Lily od dziecka. Tylko my byłyśmy mieszkańcami w chińskiej szkole i trzymałyśmy się razem. Teraz jest inaczej, dzisiaj właściwie się nie liczy, kim są twoi rodzice. Czasy się zmieniają – dodała z bladym uśmiechem. – Byłabym zaszczycona, gdybyście zechcieli pojechać

ze mną do domu Lily na herbatę.

Wynajęli samochód z kierowcą i teraz jechali do domu Lily za Mary-Lou. Na miejscu zrzuciła szal. W tradycyjnej chińskiej białej sukni do ziemi była piękna i spokojna.

– Witam was w imieniu Lily – zaczęła niskim, gardłowym głosem, i Presly pomyślała, że choć okryta od stóp do głów, jest bardzo seksowna. Ukradkowe spojrzenie na Sama przekonało ją, że on także to zauważył.

Przysiadły z Sylvie na niskiej, twardej kanapie, Sam jednak powiedział, że postoi. Mary-Lou podała herbatę i małe okrągłe bułeczki z nadzieniem z lotosu. Sama przycupnęła na drewnianym krześle naprzeciwko gości.

– Przykro mi, że było tak mało osób na pogrzebie – zauważyła Presly. – Myślałam, że Lily miała więcej przyjaciół, którzy chcieliby się z nią pożegnać.

Mary-Lou wzruszyła ramionami.

– Mówiłam już, że była samotnicą. Nie lubiła towarzystwa, żyła tylko pracą.

– Zaskakujące, że produkowanie replik wojowników Xi'an może tyle dla kogoś znaczyć – zauważył Sam i upił łyk herbaty. Rozsmakował się w chińskiej herbacie.

Mary-Lou zmieszana się nagle.

– Owszem, to się może wydać dziwne. Obie dorastałyśmy w biedzie. Lily miała obsesję na punkcie pieniędzy, nie wojowników Xi'an.

– A pani? – Zatrzymał spojrzenie na pierścionku z pięciokaratowym brylantem na jej palcu.

Patrzyła na niego bez mrugnięcia fantastycznych bursztynowych oczu.

– Oczywiście. Nie podobało mi się ubóstwo.

– Zatem Lily pozostawiła zapewne spory majątek? Zirytowała się.

– Nie przeglądałam jej rzeczy, panie Knight, ale wiem, że jej świat był bardzo ograniczony. Widzi pan to, co miała. O ile wiem – dodała – Musiała chyba mieć prawnika, kogoś, kto się zajmował jej prawami, kto sporządził testament?

– Jak wszyscy Chińczycy, nie zwierzała się nikomu ze spraw osobistych. Nie wspominała nic o prawniku, a pracowałam z nią wiele lat. Wiem natomiast, że w sypialni jest sejf. Jeśli miała coś, co chciała ukryć przed wzrokiem innych, zapewne schowała to właśnie tam I wiem, gdzie jest klucz. Ciągle go przekładała w nowe miejsce – dodała z uśmiechem – ale wiecznie zapominała, gdzie, więc zawsze mi mówiła. Teraz powinien być pod swetrami w szafie. – Wstała – Sprawdzimy?

Poszli za nią do sypialni. Mary-Lou wyjęła klucz z szafy i wręczyła Samowi.

– Proszę otworzyć. – Rozsunęła ubrania i ich oczom ukazał się mały szary sejf.

W środku było bardzo niewiele. Trochę złotej biżuterii, jadeitowe kolczyki plik dokumentów po chińsku. Mary-Lou rzuciła na nie okiem – Akt własności domu – wyjaśniła. – Należał do rodziny jej ojca później do niego. Jej matka go odziedziczyła, a z czasem przeszedł w ręce Lily. Jest cenny.

– A konta bankowe? Skrytki? – Sam patrzył twardo, ale Mary-Lou się nie spieszyła.

– Miała oczywiście konto firmowe. Może pan przeszukać cały dom panie Knight. Lily miała tylko czterdzieści lat i żadnej rodziny. Nie spodziewała się śmierci. Nie sądzę, żeby w ogóle pomyślała o testamencie – Więc co się stanie z jej majątkiem?

Mary-Lou wzruszyła ramionami w charakterystyczny dla niej koci sposób.

– Wszystko odziedziczy najbliższy żyjący krewny, czyli zapewne pani Rafferty.

Presly spojrzała na nią zdziwiona.

– Och, nie uważam, żeby... pani była jej przyjaciółką, pani powinna to dostać...

– Później o tym porozmawiamy – zdecydował Sam. – Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby w wolnej chwili przeszukała pani cały dom. Może znajdzie pani coś jeszcze. Dokumenty bankowe, papiery, coś takiego.

– Oczywiście. – Mary-Lou odprowadziła ich do drzwi. – I jeszcze raz bardzo dziękuję za

wszystko, co zrobiliście dla Lily. Co za tragedia, że utonąła w Wenecji, akurat w Wenecji. Nadal nie mam pojęcia, co tam robiła.

W samochodzie Sam stwierdził:

– Oczywiście, że wie.

– Co wie? – zapytały jednocześnie Preshy i Sylvie.

– Wie, co Lily robiła w Wenecji. Wie, bo także tam była. Leciła tym samym samolotem do

Paryża, co ja.

– O Boże... – szepnęła Preshy. – Myślisz, że miała coś wspólnego ze śmiercią Lily?

– A masz inny pomysł? I wiesz co? Idę o zakład, że to wszystko wiąże się z naszyjnikami twojej

babki.

Rozdział 64

W hotelu zdecydowali, że Preshy zaprosi Mary-Lou na drinka, a Sam z nią porozmawia. Umówili się w barze w Siódmym Niebie.

Mary-Lou zjawiła się spowita obłokiem drogich perfum, piękna jak zwykle. Obiecała, że poszuka w domu dokumentów, choć osobiście wątpiła, by coś znalazła.

– Oczywiście zajmę się interesami – dodała, pijąc martini z wódką i jak zwykle z trzema oliwkami.

Preshy podziwiała jej urodę, podkreśloną teraz prostym czarnym kostiumem, z długimi kolczykami błyszczącymi wśród lśniących włosów.

– Proszę się nie przejmować – zapewniła. – I nie spieszyć. Życzę pani powodzenia w interesach.

– Dziękuję. – Mary-Lou uśmiechnęła się skromnie i ostrożnie rozejrzała po dużej sali. Nigdy nic nie wiadomo, może Bennett wrócił do Szanghaju i zjawi się właśnie tutaj?

– A co z naszymi? – zapytał Sam i zobaczył, że przez twarz Mary-Lou przemknął grymas.

Napiła się drinka i odparła:

– Niestety nic nie wiem o żadnym naszymi. Lily nie nosiła dużo biżuterii.

– Mówię o naszymi babki – wyjaśnił Sam. Strzelał w ciemno i liczył, że trafi w dziesiątkę. Ale na darmo.

– To niestety sprawa pani Rafferty – odparła Mary-Lou. – Mnie to nie dotyczy.

Nieco później stwierdziła, że musi już iść. Pożegnali się i obserwowali, jak idzie przez bar, emanując pewnością siebie.

– Panno Chen! – zawołał za nią Sam. Odwróciła się. – Mogę o coś zapytać?

Skinęła głową.

– Oczywiście.

– Była pani kiedyś w Wenecji? Otworzyła szeroko oczy.

– Przykro mi, ale nawet nie byłam w Europie. – Odwróciła się i wyszła.

– Kłamie – orzekł Sam. – Ciekawe, dlaczego.

Preshy też się nad tym zastanawiała. I nad Samem. Bardzo jej pomagał. Może szuka tematu następnej książki? Nie czuła się już przy nim tak nieswojo; ba, właściwie mógłby się jej spodobać. Oczywiście w innych okolicznościach.

Nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, potrzebowali też oddechu, więc poszli na kolację do Whampo Club przy Bund. Sylvie wybrała właśnie ten lokal ze względu na nowoczesną chińską kuchnię. Cały czas dyskutując o Mary-Lou, jedli chrupiące paski węgorka, pysznego kurczaka, jajka wędzone w herbacie, pieczoną wieprzowinę. Na deser zamówili dwukrotnie gotowane chińskie gruszki z migdałami, grzybami i ziarnami lotosu, a do tego spróbowali kilkunastu z czterdziestu rodzajów herbaty oferowanej przez kiperę.

Sylvie orzekła, że jedzenie jest rewelacyjne, i poszła do kuchni pogratulować kucharzowi, Jeremy'emu Leongowi, i poinformować go, że wypróbuje kilka jego pomysłów u siebie w Verlaine.

– No i? – zapytał Sam. Spojrzał na Preshy.

– No i co? – Odwzajemniła spojrzenie spod długich rzęs.

– Nadal uważasz, że jestem mordercą?

Zarumieniła się po uszy.

– Och, ja... To znaczy... Nie... – Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tylko mnie nie okłamuj, Rafferty. Podejrzewałaś, że jestem w to zamieszany, a ja nie starałem się za bardzo wpłynąć na zmianę twojego zdania, tak?

– Tak. – Skinęła głową. I, jak to ona, palnęła prosto z serca: – Ale i tak cię lubię.

Sam śmiał się jeszcze po powrocie Sylvie.

A Preshy powiedziała prawdę. Mimo wszystkich obiekcji wobec niego, naprawdę go lubiła.

A później Szanghaj należał do przeszłości. Mary-Lou pozostała nierozwiązaną zagadką; Lily spoczęła obok matki i rano wracali do Paryża. Preshy miała nadzieję, że kuzynka spoczywa w spokoju. Wiedziała jednak, że sama nie zazna spokoju, póki nie pozna całej prawdy.

Rozdział 65

Paryż

Po powrocie do Paryża Sam wynajął pokój w hotelu d'Angleterre, niedaleko antykwariatu Preshy. Zostawił bagaż w pokoju i poszedł z nią do jej mieszkania.

Wcześniej zdążyła zadzwonić do ciotki Grizeldy i poinformować ją, że wraca, a starsza pani, wiedząc, jak bardzo jest przywiązana do kota, wysłała Miau specjalną przesyłką kurierską. Opryskliwa konsjerżka wpuściła kotka do domu i karmiła go podczas nieobecności Preshy. Teraz Miau witała ją radosnym miauczeniem. Preshy ścisnęła ją, całowała, szeptała czule i raczyła kocimi smakołykami. Zaparzyła kawę i usiadła na kanapie naprzeciwko Sama, ponuro wpatrzona w wygasły kominek.

– Nie mamy dowodów, że Mary-Lou była w Wenecji – stwierdziła.

– Nie, ale policja mogłaby sprawdzić listy pasażerów i cudzoziemców wjeżdżających do kraju. Nie mamy też żadnych dowodów, że Bennett James, ewentualnie Bennett Yuan, czy jak się tam naprawdę nazywa, zamordował żonę, ale założę się o każdą sumę, że to zrobił. Jedno z nich dwojga zamordowało Lily.

– Jak możesz tak mówić? – Łypnęła na niego groźnie. – Nie masz żadnych dowodów. Zresztą sekcja wykazała, że Lily utonęła. To był nieszczęśliwy wypadek.

– Podobnie jak śmierć Any Yuan. Musisz się przyjrzeć dokładniej Mary-Lou – nalegał. – Ktoś zabił Lily z powodu naszyjnika babki. A ja wiem, że ona była w Wenecji.

– Nie mogę. – Preshy miała łzy w oczach. Ostatnie miesiące były okropne; brakowało jej siły.

Sam nerwowo przeczesał włosy rękami.

– Dlaczego nie? Boisz się poznać prawdę? Zdenerwowała się.

– A co to niby ma znaczyć?

– Daj spokój, Rafferty, wolałabyś nie wiedzieć, jeśli się okaże, że boski Bennett albo śliczna i jakże smutna Mary-Lou mieli coś wspólnego ze śmiercią Lily.

– Przestań! – Preshy odwróciła się. – Po prostu przestań, dobrze? Sam wstał.

– Wiesz, Rafferty, twój problem polega na tym, że zawsze o wszystkim jesteś dobrego zdania.

– A twój, Samie Knight, że nigdy tego nie robisz. Zresztą ty akurat nie służyłeś policji pomocą, gdy chcieli wyjaśnić tajemnicę zniknięcia twojej żony.

Patrzyli na siebie wrogo; między nimi pojawiła się przepaść, jakby pękła pokrywa tektoniczna. Sam skinął głową.

– Masz rację. Ale znasz stare przysłowie: z dwóch grzechów nie powstanie jeden dobry uczynek. Najwyraźniej tym razem się sprawdza.

Preshy patrzyła, jak wkłada płaszcz.

Przy drzwiach jeszcze się odwrócił. Pamiętał, co mu powiedział wróżbita w świątyni – odpowiedź na drugie pytanie jest w rękach kobiety. Wiedział, że chodziło o Rafferty. Tylko ona może rozwiązać tę zagadkę.

– Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Preshy miała łzy w oczach. Była zmęczona po długiej podróży, wyczerpana wydarzeniami ostatnich dni. Sam nie miał prawa tak jej traktować. Już go nie lubi. I nigdy go nie polubi. A jeśli do niej zadzwoni, nie będzie z nim rozmawiała. Nigdy więcej.

Zapłakana, zadzwoniła do Bostonu.

– Co jest? – zapytała Daria?

Preshy słyszała szcęk naczyń – najwyraźniej przyjaciółka jest w kuchni i gotuje coś pysznego. Nagle zapragnęła znaleźć się tam, w tej kuchni, gdzie wszystko jest zwyczajne, normalne, nie ma tajemnic i niewyjaśnionych morderstw. Opowiedziała Darii wszystko ze szczegółami i powtórzyła słowa Sama.

Kiedy skończyła, nie było słycać szcęku naczyń. W słuchawce panowała cisza. Daria odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Presh, nie wydaje ci się, że Sam ma rację? W końcu twoja kuzynka nie żyje. Wiem, wiem, to podobno był wypadek, ale jej rzekoma przyjaciółka była w Wenecji, Sam ją widział. Ale się tego wypiera. A co z żoną Bennetta? Jeśli to ten sam facet, a Sam jest o tym chyba przekonany, czego o tobie nie można powiedzieć, zataił to wszystko przed tobą, Może nie? A przecież ona zginęła tak samo jak Lily. Coś tu jest nie tak, Presh. Jedno z nich ją zabiło, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. I coś z tym zrobić.

Ale co? Zastanawiała się nieszczęśliwa Preshy. Leżała w ciemności, obok ciepłego ciała Miau, wsłuchana w kocie mruczenie, wdzięczna losowi, że koty nie zadają pytań i nie oczekują odpowiedzi. Ani działania.

Rozdział 66

Była pod prysznicem, gdy rozdzwonił się telefon. Nie zwracała na niego uwagi, rozkoszowała się gorącym strumieniem na obolałych kościach. Dlaczego nie włącza się automatyczna sekretarka? No tak, już od dawna trochę wariuje.

Telefon nie dawał za wygraną, nagle stanęły jej przed oczyma same czarne scenariusze. Dzieje się coś złego... czyżby coś się stało małej? Bo kto inny dzwoniłby tak uporczywie? Przerazona, wyskoczyła spod prysznica i mało brakowało, a potknęłaby się o Miau, która z poważną miną siedziała pod kabiną prysznicową. Jej też się nie podobał dźwięk telefonu... który ciągle dzwonił...

Preshy porwała ręcznik, rzuciła się do sypialni i podniosła słuchawkę, ale wtedy telefon umilkł. Opadła na łóżko, odgarnęła mokre włosy z twarzy. Odczekała kilka minut, ale gdy telefon nie zadzwonił, wróciła do łazienki i zaczęła smarować się balsamem. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Darii, ale jeśli to ona, zaraz znowu się odezwie. Zresztą to mogły być ciotki albo Sylvie. Albo Sam, choć po wczorajszym wieczorze było to mało prawdopodobne. Chyba że chciał ją przeprosić, pomyślała z nadzieją.

Zerknęła w lustro i zaczęła wklepywać w twarz krem, który, zgodnie z obietnicami producenta, miał usuwać skutki upływu czasu. Może czasu, ale co ze stresem? Mogła już policzyć zmarszczki wokół oczu! I do tego ma kurze łapki!

Podskoczyła, gdy ciszę przerwał ponowny dzwonek. Miau zamiauczała. Preshy uderzyła się w duży palec u nogi, gdy pędziła do telefonu. Krzywiąc się z bólu, na jednej nodze dotarła do aparatu. Wiedziała, że to Sam. Już ona mu pokaże!

– Jeśli to ty, Samie Knight – odezwiała się lodowato – nie chcę z tobą więcej rozmawiać.

Bardzo długa cisza, a potem rozległ się znajomy głos:

– Preshy, tu Bennett.

Stała jak wryta, zaszokowana. Krew odpłynęła jej z głowy, bała się, że zemdleje. Ugięły się pod nią kolana. Osunęła się na łóżko, cały czas ściskając słuchawkę w dłoni.

– Preshy? Mów coś, proszę – błagał. – Musimy porozmawiać. Muszę ci wyjaśnić...

Bennett coś do niej mówi... Że muszą się zobaczyć, że chce wyjaśnić...

– Odezwij się, Preshy, błagam, odezwij się – zaklinał miękko zmysłowym głosem, który przywoływał tysiące wspomnień upojnych chwil, tu, w jej łóżku. – Może mi nie wybaczysz, ale przynajmniej poznasz moją wersję wydarzeń. Błagam cię, Preshy, najdroższa, odezwij się.

– Nie chcę cię więcej widzieć – oznajmiła, zaskoczona, że wydobywa z siebie głos.

– Rozumiem, uwierz mi, rozumiem, co czujesz, ale jedno musisz wiedzieć, Preshy: nieważne, co się stało, zawsze cię kochałem. Proszę tylko o jedno spotkanie, żebym mógł ci wszystko wytłumaczyć. Preshy, nie mogę dalej żyć z poczuciem winy.

Opadła na poduszki i zacisnęła oczy. Łzy spływały jej po policzkach. Nie spodziewała się czegoś takiego. Myślała, że już o nim zapomniała. Koniec z dniami rozpacz... Czas zacząć nowe życie... A wystarczyło kilka minut, by szlochała jak dziecko.

– Zawsze cię kochałem, Preshy – szeptał gorąco. – Ale nie powiedziałem ci prawdy i nie mogłem

się z tym uporać. A prawda jest taka, że nie miałem pieniędzy, byłem biedakiem, który udawał bogacza, bo się zakochał. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Powiedziałem, że cię śledziłem? Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia i pod tym względem nic się nie zmieniło. Ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłem cię oszukać, nie mogłem się z tobą ożenić i żyć w kłamstwie, które sam zacząłem. I jednocześnie nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Nie dałem rady. Miałem tylko jedno wyjście – ucieczkę. Nie chciałem cię skrzywdzić, uznałem, że tak będzie najlepiej.

Milczała.

– Preshy, jesteś tam? – Długa cisza, gdy czekał na odpowiedź. – Powiedz coś, najdroższa – szeptał przez ściśnięte gardło, jakby i on płakał.

– Nie wiem, po co do mnie dzwonisz, Bennett – powiedziała w końcu. Usiadła, otarła łzy. Nie nabierze się po raz drugi na czułe słówka i miłosne deklaracje.

– Musimy się zobaczyć – nalegał. – Wszystko ci wytłumaczę. Musisz mi wybaczyć, bo tylko wtedy będę... będziemy mogli żyć dalej. Spotkajmy się w Wenecji, najdroższa. Błagam cię. Szkoda, że mnie nie widzisz, Preshy. Błagam cię na kolanach, żebyś się ze mną spotkała i pozwoliła wszystko wyjaśnić. Musisz mi zaufać.

Zaniknęła oczy, wyobraziła sobie Bennetta na kolanach, błagającego...

– Jeszcze coś – dodał nagle, cicho. – Wiem, kto zabił Lily, i to nie byłem ja, uwierz mi. Powiem ci wszystko, kiedy tu przyjedziesz. Tobie także grozi niebezpieczeństwo, Preshy.

O Boże. Co on opowiada? Przypomniała sobie, jak biedna Lily mówiła to samo. Musi się zobaczyć z Bennettem, musi poznać prawdę. I odzyskać spokój. Zaniknąć tę sprawę, inaczej będzie ją prześladować przez resztę życia.

– Dobrze – powiedziała spokojnie. – Przylecę jeszcze dzisiaj. W jego głosie zabrzmiała radość i ulga.

– Kochanie, tak się cieszę, że znowu cię zobaczę. Pokochasz to miasto. Teraz trwa karnawał, wszyscy noszą maski i przebrania i udają, że są kimś innym niż w rzeczywistości. Już wiem – zawołał nagle. – Załatwię nam bilety na bal. Przywieź przebranie. Udamy, że się nie znamy, zaczniemy wszystko od nowa, jak nieznajomi.

Usiłowała sobie to wyobrazić – na próżno. Przeszłość wywarła na nią zbyt wielki wpływ, by mogła udawać, że jej nie ma. Bennett chyba chwilowo zapomniał o Lily i grążącym jej niebezpieczeństwie, tak się zapalił do myśli, że znowu ją zobaczy.

– Podaj mi swój numer – powiedziała tylko. – Zadzwoń, kiedy dotrę na miejsce.

– Nadal cię kocham, Preshy – powiedział, zanim się rozłączył. – Nigdy nie przestałem.

A ona, mimo złamanego serca, mimo Lily, mimo mnóstwa wątpliwości, zastanawiała się, czy to prawda.

Bardzo długo siedziała na łóżku, pogrążona w myślach o Bennecie. Nie miała wątpliwości, że postępuje słusznie. Musi wyjaśnić do końca zabójstwo Lily i całą tę straszną sprawę. I musi poznać prawdę o nim, dowiedzieć się, jaki jest naprawdę.

Rozdział 67

Szybko zadzwoniła na lotnisko i zarezerwowała lot do Wenecji, w południe. A potem zaczęła się pakować. Może to wcale nie jest zły pomysł z tym przebraniem. Będzie mogła go obserwować, a on się nie zorientuje, że to ona.

Jej suknia ślubna nadal wisiała w najciemniejszym zakamarku szary, gdzie ją ukryła w plastikowym pokrowcu. Wyjęła pelerynkę obszytą futrem. Idealne przebranie – element ślubnego stroju, którego pan młody nigdy nie widział. Bezlitośnie zwinęła ją w kłębek i wcisnęła do torby podręcznej. Miała na sobie czarne dżinsy, czarny golf i płaskie pantofle. Nie potrzeba jej niczego więcej, bo nie zabawi w Wenecji długo. Ale musi się gdzieś zatrzymać.

Zadzwoniła do hotelu Bauer, ale usłyszała, że ze względu na karnawał nie mają wolnych miejsc. Podobnie jak inne hotele w mieście. W informacji turystycznej podano jej namiary na mały pensjonat niedaleko Rialto. To jej musi wystarczyć.

Zatelefonowała do konsjerżki i prośbami i przekupstwem przekonała ją, by nadal karmiła kota, i zastanawiała się, do kogo jeszcze zadzwonić.

Na pewno nie do Sama, bo tylko będzie się wtrącał, zresztą już z nim nie rozmawia. Musi załatwić to sama. Z tego samego powodu nie zadzwoni do Sylvie – przyjaciółka zrobi jej awanturę, powie, że oszalała, i tu akurat będzie miała rację, ale Preshy nie miała innego wyjścia. Daria także opada, ale musi zawiadomić cioteczkę G, dokąd jedzie i po co.

Ulżyło jej jednak, gdy nikt nie podniósł słuchawki, bo wiedziała, jak zareagowałyby ciotki. Powiedziałyby, że postradała zmysły i pod żadnym pozorem nie wolno jej jechać. Jeanie nigdy nie odbierała telefonu pod nieobecność pań domu, bo często dzwoniли cudzoziemcy, a że nie znała obcych języków, nie była w stanie przekazać wiadomości. Włączyła się sekretarka automatyczna.

– Cześć, to ja, chciałam wam tylko powiedzieć, że jadę od Wenecji, spotkać się z Bennettem – powiedziała. – Chce mi wszystko wytłumaczyć. Mówi, że wie, kto zabił Lily. I że to nie on. Muszę mu dać szansę się wytłumaczyć, prawda? – W jej głosie było więcej wątpliwości, niż się spodziewała. – W każdym razie lecę do Wenecji, muszę to załatwić. Jest karnawał, hotele są pełne, więc zatrzymałam się w pensjonacie Mara, niedaleko Rialto. – Podała numer telefonu i dorzuciła: – Zatrzymam się tam tylko na jedną noc, więcej czasu mi nie trzeba. Taką przynajmniej mam nadzieję. I naprawdę muszę się dowiedzieć, co się stało z Lily. Nie martwcie się, nie zrobię żadnego głupstwa – oznajmiła z nerwowym śmiechem. – Nic mi nie będzie. Po prostu muszę to załatwić. Bardzo was Kocham..

Wkrótce zobaczy Bennetta. Gdy samolot podchodził do lądowania na lotnisku Marca Polo, zastanawiała się, jakie uczucia budzi w niej ta myśl.

Wrzask Grizeldy postawił wszystkich na nogi. Mimi, Jeanie, Maurice i psiaki przybiegli w tej samej chwili. Grizelda, niezdolna wykrztusić słowa, leżała na łóżku i wachlowała się dłonią, żeby nie zemdleć. Spojrzała na telefon i wysapała:

– Wiadomość.

Mimi włączyła sekretarkę automatyczną i pokój wypełnił głos Preshy:

– Jadę do Wenecji.. Zobaczyć się z Bennetem... powiedział, że wie, kto zabił Lily...

– Och, *Mon Dieu*... – Mimi runęła na łóżko obok Grizeldy, a Jeanie pobiegła po wodę z lodem, podczas gdy Maurice otwierał okna. – Co za idiotka. Musimy ją powstrzymać.

Grizelda skinęła głową.

– Dzwon do Sama – zdecydowała, pijąc zimną wodę. – Wyślij po niego samolot. Powiedz, że spotkamy się w Wenecji.

Mimi wypełniła jej polecenie. Sam podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Jeśli to ty, Rafferty, przypominam ci, że ze sobą nie rozmawiamy.

– Ale wkrótce będziecie, mam nadzieję – odcięła się Mimi. I przedstawiła mu całą sytuację. – Jedź na lotnisko Orły, tam będzie czekał samolot. Spotkamy się na lotnisku w Wenecji. Natychmiast, Sam.

Nie musiała mu tego powtarzać. Niecałe pięć minut później siedział w taksówce, a po godzinie leciał już do Wenecji.

Podobnie jak starsze panie, z tym że one podróżowały gulfstreamem. Były bardzo spięte i milczące. Co jakiś czas Grizelda jęczała:

– Jak ona mogła? Jak mogła? A Mimi odpowiadała:

– Bo nadal nie ma pojęcia o mężczyznach. Biedactwo myśli, że jest zakochana.

Na lotnisku Marca Polo przez godzinę czekały na Sama. W końcu podbiegł do nich, wysoki i szczupły, w czarnej skórzanej kurtce i džinsach. Złapali wodną taksówkę do Rialto i poszli do pensjonatu Mara, gdzie się dowiedzieli, że owszem, signorina się zameldowała, ale teraz jej nie ma.

Sam dzwonił do Preshy na komórkę, ale ją wyłączyła. Grizelda zatelefonowała do hotelu Cirpriani i powołując się na stare wpływy, załatwiła im pokoje. Czekali na gondolę hotelową, żeby ich zabrała. Sam co chwila dzwonił do Preshy. Bezskutecznie.

W hotelu ciotki poszły się odświeżyć, a on znalazł bar i zamówił potrójne espresso. Był trzeźwy – musi być przytomny, jeśli ma uratować Preshy. Bardzo się o nią martwił.

Gdy zapadł zmrok, miasto ożyło. Kanałami mknęły gondole pełne przebierańców w najdziwniejszych strojach, przepełnione wodne tramwaje kursowały we wszystkie strony, na nabrzeżu tłoczyli się średniowieczni lekarze i damy lekkich obyczajów w kabaretkach, z czerwonymi kwiatami we włosach. Zewsząd dobiegała muzyka. Śmiech i gwar odbijały się od wiekowych ścian, niosły echem po lagunie, fajerwerki rozjaśniały niebo milionem gwiazd. Karnawał w Wenecji.

Sam skończył drugie espresso i po raz kolejny dzwonił do Preshy. Nic. Wybrał numer *pensione*. Nic. Grizelda i Mimi siedziały obok, milczące, patrzyły na fajerwerki, choć w ogóle ich nie widziały. Nie wiedział, jak je pocieszyć.

– Nie wiem, gdzie ona jest – przyznał. – Idę tam. Poderwały się.

– My też.

– Nie, nie możecie. – Nie chciał ich straszyć, mówiąc, że wyprawa może się okazać niebezpieczna. – Proszę, pozwólcie mi to załatwić. Zadzwoń, kiedy tylko będę coś wiedział.

– Obiecujesz? – spytały jednocześnie.

Skinął głową, ale pomyślał, że jeśli Preshy nie odbierze telefonu, nikłe są szanse znalezienia jej w mieście pełnym przebierańców. Ale ciotki i tak go nie posłuchały. Złapały następną łódź na plac Świętego Marka. Deptały mu po piętach.

Rozdział 68

Wenecja

Preshy siedziała w Quadri, ale zamiast o Bennecie, myślała o Samie. Zajmowała ten sam stół, przy którym kiedyś przekomarzali się nad drinkami. Niemal żałowała, że go tu teraz nie ma. Niemal, zauważyła. Jest samodzielna, musi sobie udowodnić, że poradzi sobie sama.

Miała na sobie brokatową ślubną pelerynkę z kapturem obszytym futerkiem i maskę ozdobioną piórami. Nie sądziła, by Bennett ją rozpoznał z nową, krótką fryzurą. I dobrze. Oczywiście ona zaraz go rozpozna. Czyż mogłoby być inaczej, skoro na zawsze utkwili jej w pamięci najmniejsze szczegóły jego twarzy i ciała?

Zdenerwowana upiła kolejny łyk kawy z grappą.

Szukał odwagi w kieliszku, pił, żeby przeżyć każdy kolejny dzień, odkąd jego żona przepadła bez śladu. Tylko że Leilani, w przeciwieństwie do Bennetta, nie wróciła.

Na dworze było ciemno, mgła otulała powoli lagunę, jak każdej zimy, kłębiła się szarą parą, jak tandetna dekoracja z horrorów lat pięćdziesiątych, o zombie i potworach z czarnej laguny.

Wyjęła telefon z torebki, włączyła go i zadzwoniła do Bennetta. Odpowiedział od razu, jakby czekał na jej telefon.

– Preshy – zaczął ochryple, z przejęciem. Wiedział, że to ona, od wielu godzin czekał, aż zadzwoni. – Tak się cieszę. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Puściła czułe słówka mimo uszu.

– Gdzie się spotkamy? – zapytała rzeczowo.

– Nie zgadniesz, gdzie odbywa się bal. W paacu Rendino. Pomyślałem, że to idealne miejsce na ponowne spotkanie. Porozmawiamy.

Skinęła głową.

– Dobrze.

– Będę w przebraniu, a ty? Przywiozłaś coś? ?

– Tak.

– Będę medykiem z czasów zarazy – roześmiał się cicho. – Jak tysiące innych tego wieczoru. Czarna peleryna i bryczesy, trójgraniasty kapelusz i biała maska. Rozpoznasz mnie?

– A jakże!

– A ty jak się przebierasz?

– Poczekaj, aż mnie zobaczysz. Spotkamy się w *palazzo*. – Po tych słowach się rozłączyła.

Telefon rozdzwonił się natychmiast, ale nie odbierała. Po kilku minutach ciekawość wzięła górę i odsłuchiwała wiadomość.

– Rafferty, gdzie ty się, do cholery, podziewasz? – wrzeszczał Sam. – Ciotki mi powiedziały, co wyprawiasz. Czy ty zupełnie oszalałaś? W kółko próbuję się do ciebie dodzwonić. Teraz jestem pośrodku laguny, w drodze na plac Świętego Marka. Wiem, że tam jesteś. Oddzwoń i postaraj się nie zrobić nic głupszego niż do tej pory.

Sam jest w Wenecji. „Nic głupszego niż do tej pory!” Jasne, jak znajomość z tobą, pomyślała. Sam miał talent do wyprowadzania jej z równowagi. Spotkanie z Bennettem będzie miłą odmianą. On przynajmniej był sympatyczny. Oczywiście póki jej nie rzucił.

Rozdział 69

Bennett przechadzał się wąską alejką łączącą mały placyk przed pałacem Rendino z brzegiem kanału. Z otwartych okien płynęła muzyka, we mgle, gęstej jak szara peleryna, migotały lampiony. Co jakiś czas' przecinały ją gondole pełne pijanych balowiczów, roześmianych i głośnych. Wszyscy nosili maski, wszyscy byli anonimowi. Nie mógł sobie wyobrazić lepszej scenerii dla tego, co zamierzał.

Jego przebranie przypominało strój medyka, zajmującego się chorymi podczas epidemii, która nawiedziła Wenecję w średniowieczu. Miał także laskę, którą medycy dotykali chorych, żeby się nie zarazić. Tylko że laska Bennetta była masywniejsza, cięższa, choć maskowały to kolorowe wstążki. Niewiele się różniła od pałki, którą się posłużył, zabijając swoją żonę, a później Lily.

Zerknął na zegarek. Minęła godzina, odkąd rozmawiał z Preshy. Nie mógł się jej doczekać.

Na placu Świętego Marka szalał roztańczony tłum. Na prowizorycznej scenie grał zespół muzyczny. Dźwięki trąbek niosły się z głośników, odbijały od starych murów. Całe miasto bawiło się na placach, w kamienicach, gondolach.

Lecz wąskie alejki odchodzące od placów świeciły pustkami. Pozamykano sklepiki i restauracje. Gęsta mgła oblepiała wszystko tak szczelnym całunem, że Preshy nie widziała nic na odległość wyciągniętej ręki. Śliczna ślubna pelerynka rozwiewała się, gdy szła szybko, stukając niskimi obcasami na kocich łbach. Po kilku minutach zatrzymała się i rozejrzała. Widziała jedynie szare ściany otulone mgłą. Nie przypominała sobie, by wcześniej tędy szła, ale tej nocy wszystko wyglądało inaczej, jakby sama Wenecja także się przebrała. Dookoła Preshy nie było rozbawionych imprezowiczów. Zdenerwowana, przyspieszyła kroku. Na pewno zaraz dojdzie do znajomej kawiarni czy sklepu.

Na małym kamiennym mostku usłyszała za sobą kroki. Nagle z mgły wynurzył się średniowieczny medyk, a za nim pół tuzina zamaskowanych postaci. Pogroził jej laską. Krzyknęła przerażona, ale nieznanymi roześmiali się tylko i odeszli.

Zaczynała wątpić, czy postąpiła słusznie. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Sama. Wyjęła telefon i zadzwoniła do niego. Odebrał od razu.

– Powiedz, gdzie jesteś – poprosił. – Błagam cię, Rafferty, powiedz, gdzie jesteś.

– Idę do pałacu Rendino. Mam się tam spotkać z Bennettem. Na balu karnawałowym. Jest przebrany za średniowiecznego medyka, ma białą maskę. Myślałam, że wszystko będzie dobrze, ale teraz się boję.

Nagle na końcu alejki dostrzegła znajomy skwer.

– Jestem na miejscu – powiedziała z ulgą i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest przerażona. – Nic mi nie będzie, po prostu spanikowałam, sama w ciemnych uliczkach.

– Nie ruszaj się! – zawołał Sam. – Poczekaj na mnie. I, Rafferty... Bez względu na wszystko nie rozmawiaj z Bennettem. Nie podchodź do niego, rozumiesz? Dobrze?

– Dobrze – powiedziała cicho i Sam się rozłączył. Telefon Sama rozdzwonił się ponownie. Grizelda.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Idę do pałacu Rendino, umówiła się tam z Bennettem.

– O nie, beze mnie tego nie zrobi – warknęła starsza pani i przerwała połączenie.

Preshy niepewnie zatrzymała się na skraju placyku. Zastanawiała się właśnie, co ma teraz zrobić, gdy objęły ją silne ramiona i poczuła znajomy zapach wody kolońskiej Bennetta.

– A więc jesteś, moja śliczna Preshy – szepnął jej do ucha. – W końcu. Odwróciła się gwałtownie – i spojrzała na przerażającą białą maskę średniowiecznego medyka. Ale z otworów maski patrzyły na nią błękitne oczy Bennetta, jego głos zapewniał, jak się cieszy, że ją widzi, że przyszła i pozwoli mu się wytłumaczyć... On wszystko jej wyjaśni i zaopiekuje się nią, ochroni przed zabójcą Lily. Patrzyła na niego, zahipnotyzowana.

– Jesteś taka piękna – szepnął. – Poznałem cię po chodzie, mimo przebrania. – Kaptur zsunął się z jej głowy. Dotknął dłonią krótkich złotych włosów. – Obcięłaś włosy – stwierdził z żalem. – A to one pierwsze zwróciły moją uwagę. Mówiłem ci to, pamiętasz?

Patrzyła na niego jak sarna oślepiona światłami samochodu. Muzyka z *palazzo* wypełniała jej uszy. Miała wrażenie, że to nie ona, lecz kto inny słucha Bennetta, ponownie ulega jego czarowi.

W głowie brzmiały słowa Darii:

– Trzydzieści dni rozpaczy, a potem będzie po wszystkim... Zacznesz wszystko od nowa... Nowe życie...

I głos Sama, mówiący, że Precious do niej nie pasuje.

– Zdecydowanie jesteś Rafferty – powiedział.

Jest silna, jest nową kobietą. Jest sobą, a nie marionetką Bennetta. Wyrwała się z jego objęć.

– Powiedz, po co mnie tu sprowadziłeś. I lepiej, żeby to była prawda, bo ci nie ufam. Chcę wiedzieć, dlaczego zostawiłeś mnie przed ołtarzem. I kto zabił Lily. Powiedz mi całą prawdę o sobie. Słucham.

Rozbawieni przebierańcy w przepływającej gondoli wołali coś do nich radośnie, ale Bennett nie zwracał na nich uwagi, cały czas wpatrzony w Preshy.

– Zaraz ci powiem, po co tu jestem – mówił miękko, hipnotyzującym głosem, jak zawsze. – Kocham cię, to jasne, i było mi wstyd. I opowiem ci o Lily. Ale najpierw... masz coś, co mi jest niezbędne.

Nagle chwycił złotą pelerynkę, odrzucił ją do tyłu, wpatrzony w szyję Preshy, jakby czegoś szukał. A potem powiedział tym samym spokojnym tonem, który przyprawił ją o dreszcz:

– Powiedz mi, gdzie jest naszyjnik.

Przerażona, cofnęła się o krok. No jasne! To dlatego ściągnął ją do Wenecji. Myślał, że ma bezcenny naszyjnik. O Boże, Boże, jaka była głupia, dała się nabrać! Przerażona zastanawiała się gorączkowo, gdzie się podziewa Sam. Rozejrzała się po opustoszałym placyku, szukając drogi ucieczki. *Palazzo* i huczna zabawa są tak blisko, ale jednocześnie równie dobrze mogłoby ją od nich dzielić tysiąc kilometrów.

– Nie mam naszyjnika – powiedziała, grając na zwłokę.

– Owszem, masz. Wiem, że Lily ci go dała. – Objął ją ponownie tak mocno, że nie mogła się ruszyć. – Tu chodzi o nas, Preshy – szeptał. – Mam kupca. Będziemy bogaci, ożenię się z tobą i nie przyniosę ci wstydu. Proszę tylko o jedno – powiedz mi, gdzie jest.

– Mam go w *pensione* – skłamała i zaraz tego pożałowała, bo jeśli tam pójdą, Sam jej nie odnajdzie. A przecież nie może do niego zadzwonić. Na Boga, gdzie on jest?

Bennett złapał ją za rękę.

– Popłyniemy tam.

Zaciągnął ją nad kanał. Zobaczył nadpływającą pustą gondolę i na chwilę wypuścił jej rękę, żeby skinąć na gondoliera. Preshy nie wiedziała jakim cudem, ale w ułamku sekundy odbiegła od niego i

w rozwianej pelerynie pędziła przed siebie.

Biegła cichymi, ciemnymi uliczkami. Mgła zasłaniała jej widok. Zdyszana, zatrzymała się. I usłyszała kroki.

Odwróciła się i biegła wzdłuż kanału, z powrotem. Musi się spotkać z Samem, to jej jedyna szansa, ale znowu się zgubiła. A kroki Bennetta? Za nią? Przed nią?

Nagle we mgle zabłyśły światła *palazzo*. Z okrzykiem ulgi rzuciła się w tamtą stronę.

Bennett wybiegł z bocznej uliczki. Złapał ją, z całej siły zacisnął dłonie na jej gardle.

Dusiła się, rozpaczliwie chwytając powietrze, oczy wychodziły jej z orbit. Znowu do niej mówił. Okrutne słowa płynęły nieprzerwanie. Wreszcie mówił prawdę.

– Nic do ciebie nie czułem, Precious – syknął. – Nic a nic. Oczywiście zależało mi na twoich pieniądzach, chciałem nawet zabić Grizeldę, żeby się upewnić, że je odziedziczysz. Potem zabiłbym ciebie. Ale Grizelda mi uciekła, a później się okazało, że po niej nie dziedziczysz i nic na tym nie skorzystam. Odszedłem. Nic dla mnie nie znaczysz, Preshy – mówił cichym, jedwabistym głosem. – Jesteś jak inne, nie liczysz się. Jesteś tylko kolejnym strzępem DNA, który wylądował w kanale. Jedyne, co ma znaczenie, to naszyjnik. A teraz bądź grzeczna i powiedz, gdzie jest *pensione* i gdzie ukryłaś naszyjnik. Bo inaczej zabiję cię od razu.

Jego słowa padały jak ciosy. Wszystkie jej piękne marzenia leżały w gruzach. Nie zostało nic, poza świadomością własnej głupoty. Nigdy jej nie kochał. Ba, nawet jej nie nienawidził. Nic dla niego nie znaczyła. Zabił Lily... a teraz zabije ją.

Gniew podziałał jak zastrzyk adrenaliny. O nie, nie umrze. Ale nie ma dość siły, by z nim walczyć. Musi myśleć, i to szybko. Jeśli mu powie, gdzie jest naszyjnik, zabije ją, jeśli tego nie zrobi, także. W panice zaczęła się szamotać, ale tak mocno ścisnął ją za gardło, że nie mogła nawet krzyczeć. Słyszała zbliżające się kroki, charakterystyczny stukot wysokich obcasów w alejce za nimi.

Bennett także usłyszał. Odwrócił się na ułamek sekundy... i spojrzał prosto w otwór lufy.

Cioteczka G, otulona najlepszym futrem z norek, tym ciemnoniebieskim, trzymała, na ile Preshy zdołała dojrzeć, rewolwer z rękojeścią wykładaną macicą perłową. Mimi, cała w bieli i srebrze, z kroplami deszczu w platynowych włosach, wyglądała jak rozjuszona walkiria. Przypominały postacie z filmu o Jamesie Bondzie z lat sześćdziesiątych.

W głosie Grizeldy pojawiło się drżenie, gdy powiedziała:

– Puść moją siostrzenicę, bo inaczej zaraz cię zastrzelę.

– Ależ proszę, strzelaj. – Bennett zasłonił się Preshy, wykręcił jej ręce do tyłu. – Choć nie pojmuję, czemu miałabyś to zrobić. Właśnie mówiłem twojej siostrzenicy, jak bardzo ją kocham. Przeprasiłem za wszystko i wytłumaczyłem, co się stało. Musi mi tylko powiedzieć, gdzie jest naszyjnik, i ją odzyskasz.

Mimi, wpatrzona w ciemność za jego plecami, grała na zwłokę:

– Jaki naszyjnik?

Ale Bennett widział, gdzie patrzy. Odwrócił się w tej samej chwili, gdy Sam go zaatakował. Puścił Preshy, która osunęła się na ziemię z głuchym łoskotem, Bennett upadł na nią, a Sam przykrył go sobą. Grizelda rzuciła się w ich stronę, wymachując rewolwerem, a Mimi wołała o pomoc.

Preshy nie była pewna, co się wydarzyło potem. Z twarzą wtuloną w mokry bruk słyszała krzyki zmieszane z muzyką, odgłos biegnących stóp... i strzał.

– O Boże. Ciotka Grizelda go zabiła.

Wstała i zobaczyła ciotkę wpatrzoną w dymiący rewolwer, Mimi z dłońmi na uszach i Sama, który biegł za Bennettem.

Dobiegł już do kanału, ale Sam deptał mu po piętach. Czekająca pusta gondola, przycumowana do biało-niebieskiego słupa na nabrzeżu. Bennett skoczył, zaczepił stopą o linę, poślizgnął się i upadł. Uderzył głową w słup. Wstał, zachwiał się i runął do wody.

Preshy i pozostali podbiegli do kanału. Zimna ciemna woda falowała lekko. Szara mgła opadała jak całun. Po Bennecie nie było śladu. Wypadek idealny.

Rozdział 70

Zastrzeliłam go – stwierdziła ciotka Grizelda drżącym głosem.

– Nie jego, tylko mnie! – Sam zdjął kurtkę i wskazał zakrwawione ramię.

Grizelda zakryła sobie usta dłońmi.

– O Boże! Tak mi przykro. Oscar w kółko powtarzał, że nie umiem strzelać i kiedyś kogoś zabiję.

– Na szczęście nie dzisiaj. – Sam spojrzał na Preshy, ciągle wpatrzoną w wodę. Jakby się spodziewała, że Bennett zaraz się wynurzy, pomyślał ze złością. Boże, czy ona nigdy się nie nauczy? Przecież chciał ją zabić.

Tłumaczył sobie, że musi być delikatny, choć to ona wpakowała ich w kłopoty, i teraz będzie musiał po raz kolejny spowiadać się przed policjantami.

– Chodź, Rafferty. Bennetta już nie ma i nikt za nim nie zapłacze. Jestem przekonany, że zabił swoją żonę i Lily. To był groźny socjopata. Zabiłby każdego, kto wszedłby mu w drogę.

– Wiem – powiedziała z goryczą. Słowa Bennetta nadal brzmiały jej w uszach i pokręciła głową, chcąc je zagłuszyć. Ale nigdy nie zapomni zła w niebieskich oczach i słodkim głosem, który umiał czarować.

– Przykro mi, że was w to wciągnęłam. – Westchnęła znużona. – To moja wina, biorę wszystko na siebie. – Wyjęła telefon z kieszeni. – Zadzwońię po policję i wszystko im wytłumaczę.

Sam złapał ją za ramię.

– O nie. Zabierz Mimi i Grizeldę do hotelu, ja zajmę się policją. Preshy przypomniała sobie, jak mówił, że nie chce być wplątany w kolejną kryminalną sprawę, ale teraz sam zaproponował, że załatwi to z policją. Oczyma wyobraźni już widziała nagłówki: Podejrzany o zabójstwo zamieszany w kolejną zbrodnię.

– Nie pozwolę ci na to – sprzeciwiła się.

– Nie masz wyboru. Chociaż raz zrób tak, jak ci mówię, Rafferty.

– A co z twoim ramieniem? – zaniepokoiła się Grizelda.

– Z radością stwierdzam, że wujaszek Oscar się nie mylił. Większe krwotoki miewałem z nosa. No, idźcie już, wszystkie. Zobaczymy się w hotelu. I pamiętajcie, to był wypadek. Nic nie wiecie, nie było was tutaj. Oczywiście nikt was nie będzie pytał, bo wasze nazwiska w ogóle nie padną. Czekaćcie spokojnie, dobrze?

Trzy kobiety wróciły na plac Świętego Marka, a stamtąd hotelową łodzią do Cipriani. W apartamencie Grizeldy zamówiły kawę i ciasteczka, bo Mimi zdecydowała, że po tylu przejściach muszą sobie podnieść poziom cukru we krwi. Później Preshy opowiedziała dokładnie, jak wyglądało jej spotkanie z Bennettem. Przyznała, że to on chciał zabić ciotkę Grizeldę na górskiej drodze, powtórzyła wszystko, co jej powiedział.

– Czuję się nic niewarta – wyznała przez łzy. – Byłam kolejnym strzępem DNA, tak powiedział. I miałby rację, gdyby udało mu się mnie zabić.

– Wiesz, bezwartościowi są tacy jak on – zachnęła się Mimi. – Nie zależało mu na nikim, myślał tylko o sobie.

– I zobacz, co mu z tego przyszło – dodała ciotka Grizelda. Usiadła koło Preshy. Objęła ją ramieniem. – *Cherie*, nie wierz w ani jedno słowo tego potwora. Mówił te wszystkie okropne rzeczy, żebyś się poddała i dała sobą manipulować. Cieszę się, że nie żyje. I wiesz co? Wcale bym się nie martwiła, gdybym to ja go zabiła. Maitre Deschamps wybroniłby mnie. Uznałby, że to *Circe passionnel*, zbrodnia w afekcie. I na pewno załatwiłby zmniejszenie wyroku do kilku lat w przytulnej celi. Dla ciebie chętnie poszłabym za kratki, moja malutka.

– A teraz obrywa się Samowi – zauważyła Mimi. Zamówiły więc kolejny dzbanek kawy i więcej ciasteczek.

– Po tym wszystkim dobrze nam zrobi odmiana – zdecydowała Grizelda. Spojrzała na Mimi. – Może rejs dookoła świata?

– Musimy wybrać się na zakupy – zgodziła się przyjaciółka. – Pomyśl tylko o cackach, które w Chinach kupimy za grosze.

– Mimi! – Grizelda łypnęła na nią groźnie.

– No dobrze, może sobie darujemy Chiny – wycofała się Mimi. – Podobno w Japonii mają boskie perły.

Mimi zawsze popełnia gafy, pomyślała zrezygnowana Grizelda.

Rozdział 71

Świtało już, gdy Sam wyszedł z posterunku po złożeniu zeznań. Powiedział, że widział mężczyznę wpadającego do kanału niedaleko pałacu Rendino. Mężczyzna, o ile mu wiadomo, nazywał się Bennett Yuan albo Bennett James. Policjanci przesłuchali go, sprawdzili jego paszport, zapytali o zawód, gdzie się zatrzymał, po co przyjechał.

– Zatrzymałem się w hotelu Cipriani, z hrabiną von Hoffenberg – wyjaśnił. – Wybierałem się na bal *wpalazzo*, kiedy to się stało. Oczywiście rzuciłem się na pomoc, ale było już za późno. Nie było po nim śladu.

To wszystko prawda. Bennert zginął w wypadku, który sam spowodował, pomyślał znużony, idąc zaśmieconymi uliczkami. Mijał zmęczone pary w barwnych strojach, zespół pakujący instrumenty na placu Świętego Marka. Sunął gondolą po kanale, w którym Bennert James Yuan zakończył życie. Chińska rodzina jego żony dostrzegłaby w tym pewną sprawiedliwość. Złowrogie bóstwa rzeki zabrały go do siebie. Ani Sam, ani Rafferty i jej ciotki nie mieli z tym nic wspólnego.

W hotelu trzy kobiety siedziały obok siebie na kanapie, tuliły filiżanki kawy w dłoniach i czekały na niego z szeroko otwartymi oczami.

– No i? – zawołała Grizelda, ledwie stanął w progu.

– Wszystko w porządku. Policjant stwierdził, że dzisiaj wyciągną z kanału niejedno ciało. Ludzie piją, biją się, to normalne w karnawale.

Mimi naląła mu kawy, którą wypił z wdzięcznością. Był pusty w środku, wyczerpany. Rafferty mogła zginąć i to wszystko jego wina, bo zostawił ją samą. Tak samo jak Leilani. Nagle opuściły go wszystkie siły. Opadł na fotel.

Opowiedział im, co się wydarzyło na posterunku, zapewnił, że mogą spokojnie wyjechać.

– Ale co z Bennettem? – zapytała Preshy cichutko. Nie zdołała się opanować, musiała to wiedzieć.

– Kiedy go znajdą, będą musieli zidentyfikować. A potem wyślą go do Szanghaju, tak sędzę. – Wzruszył ramionami. – Ale to już nie nasza sprawa.

Preshy poczuła, jak kamień spada jej z serca. Stała się wolna, lżejsza, jak wtedy, gdy ścięła włosy.

– Wracajmy do Paryża – zaproponowała. – Chcę do domu.

Ciało Bennetta znaleziono następnego ranka, zidentyfikowano go na podstawie paszportu. Podróżował jako Bennett Yuan i konsul chiński zawiadomił o jego śmierci rodzinę Yuan. Po sekcji zwłoki wysłano do Szanghaju.

Co za ironia losu. Bennett miał być pochowany jak bogacz, którym tak bardzo chciał się stać za życia.

Rozdział 72

Szanghaj

Mary-Lou dowiedziała się o Bennecie, gdy spotkała się z recepcjonistką z siłowni.

– Taka tragedia – szepnęła dziewczyna ze łzami w oczach. – Taki przystojny, taki czarujący...

Dlaczego nieszczęścia przydarzają się najlepszym? – szepnęła.

– No właśnie, dlaczego – powtórzyła Mary-Lou spokojnie, choć w głębi duszy drżała.

Oczywiście w mediach pojawiła się wiadomość o śmierci Bennetta Yuana, ale w przeciwieństwie do informacji o wypadku jego żony, o nim nie mówiono wiele. Mary-Lou niczego nie czuła. Poza ulgą. Zastanawiała się, co się stało z naszymnikiem, ale gdy przypomniała sobie, że od niego zaczęły się jej tarapaty, zdecydowała, że woli tego nie wiedzieć.

Miała teraz własne życie. Prowadziła firmę Lily. Nikt nie zgłaszał do niej żadnych praw, więc po prostu ją przejęła. Zamieszkała też w ślicznym domku, w którym nie tak dawno szpiegowała przyjaciółkę.

Gdyby miała sumienie, uznałaby, że niczemu nie jest winna. Owszem, czasami podkradała Lily pieniądze, ale co z tego? Przecież nikogo nie za – biła, prawda? A teraz spotykała się ze starym znajomym Lily, Szwajcarem, który pośredniczył w transakcjach z bogatymi kolekcjonerami. Gdyby jeszcze miała naszymnik, niczego nie brakowałoby jej do szczęścia.

Rozdział 73

Wenecja

Preshy sączyła brandy i usiłowała wziąć się w garść. Nadal była roztrzęsiona. Wszystko działało się tak szybko... Dopiero teraz docierał do niej koszmar chwil z Bennettem, gdy już wiedziała, że chciał ją zabić. Dobrze, że na nowo nie uległ urokowi błękitnych oczu, nie uwierzyła w miłosne czary. Postawiła mu się, powiedziała, że nie chce tego słuchać. Zależało jej na prawdzie i dzięki Bogu poznała ją. Przeżyła szok, a Bennetta spotkała zasłużona kara, którą sam na siebie sprowadził. Sam, kochany Sam, którego niesłusznie podejrzewała, że jest w to zaplątany, okazał się jej bohaterem. On i ciotki ocalili jej życie.

Spojrzała Samowi w oczy znad szklanki i uśmiechnęła się. Odpowiedział tym samym. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

I wtedy zadzwonił telefon i nastrój przysł.

Sam podniósł słuchawkę. Mówił mało, o nic nie pytał. Po skończonej rozmowie spojrzał na trzy kobiety. Poszukał wzroku Preshy.

– To mój agent z Nowego Jorku – oznajmił z kamiennym spokojem, który zaniepokoił Preshy. – Na skałach niedaleko domu znaleziono czerwoną kurtkę. Policja sądzi, że należała do mojej żony. Chcą, żebym wrócił. Podejrzewam, że jeśli nie stawię się dobrowolnie, sprowadzą mnie siłą.

Preshy słyszała sapanie ciotek.

– I co zrobisz? – zapytała.

– Pojadę, oczywiście. Znam tę kurtkę. Rzeczywiście należała do Leilani, choć nie pojmuję, dlaczego włożyła coś tak ciężkiego w letni dzień.

Preshy się nie wahała.

– Pojadę z tobą. – Ciotki znowu jęknęły.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, żebyś się w to mieszała. Miałaś już dosyć kłopotów.

– Już się wmieszałam – odcięła się. – Wmieszałam się w twoje życie, Sam. Uratowałeś mnie. Naprawdę sądzisz, że odejdę, kiedy masz kłopoty?

– Ej... – Wzruszył ramionami. – Żadnych zobowiązań.

– Jadę i koniec – zdecydowała.

– Ma rację – zawtórowała jej cioteczka G.

– My też możemy pojechać, zapewnimy ci wsparcie – włączyła się Mimi. – Ale pewnie Preshy ci wystarczy.

Sam pokręcił głową i podziękował im z uśmiechem.

– Poradzę sobie... Sam – dodał, patrząc na Preshy.

– Preshy jedzie z tobą – zdecydowała ciotka Grizelda. – I to już. Zbierajcie się, załatwię wam samolot.

Chciał protestować, ale go nie słuchała.

– Sam – zawołała, gdy już był przy drzwiach. – Jesteśmy z tobą.

Sam milczał podczas lotu do domu. Zamknął oczy i Preshy miała nadzieję, że śpi. Był wyczerpany jak człowiek, który sięgnął dna. Nie pił już. Nie szukał odwagi w butelce.

Rozdział 74

Karolina Północna

Wylądowali na malutkim lotnisku. Sam od razu pojechał na posterunek, a Preshy zameldowała się w motelu. Będzie tuż obok, gdyby jej potrzebował.

Leżała na łóżku, oglądała CNN, śledziła wskazówki zegara, myślała o Samie, o ich przypadkowym spotkaniu, o tym, jak bardzo splotły się ich losy.

Przymknęła powieki i jego szczupła twarz stanęła jej przed oczami. Ciepłe piwne oczy za szklami okularów, wysokie, smukłe ciało w dzinsach i starej skórzanej kurtce, pękniętej w miejscu, gdzie przeszła ją kula cioteczki G. Sam nie sprawi kobiecie zawodu i dlatego wiedziała, bez cienia wątpliwości, że dla swojej Leilani oddałby życie. Tak jak dla niej.

Zadzwoił telefon.

– Jadę po ciebie – powiedział Sam. Wydawał się znużony. – Kupimy coś do jedzenia i pojedziemy do mnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Nie miała. Wyszła na zewnątrz, żeby na niego poczekać. Kiedy czarny wynajęty mustang zatrzymał się przy krawężniku, wsiadła szybko i spojrzała na niego. Był bardzo ponury.

– Jak było? – zapytała.

– W porządku. – Wzruszył ramionami.

W milczeniu przejechali kilka przecznic, zatrzymali się przed supermarketem i kupili pieczywo, masło, kawę, mleko i kilka puszek gumbo.

Droga wzdłuż oceanu wiła się niebezpiecznie, wiatr hulał, morze huczało, zanosilo się na zimowy sztorm. Skręcili w piaszczystą drogę, minęli drzewa, które Sam zasadził przed laty, i dojechali do szarego domu otoczonego werandą, z oknami wychodzącymi na wydmy i ocean. Sam opuścił ramiona. Na jego twarzy malowały się różne uczucia: ulga, radość, żal. Wyprostował się i spojrzał na nią.

– Witaj w moim domu – powiedział cicho. A potem wziął ją za rękę i razem weszli po drewnianych schodkach do środka. Tam czekał na nich ogromny salon z wielkim kamiennym kominkiem pośrodku. Na ścianach wisały posępne obrazy, jak się domyślała Preshy, pędzla Leilani. Wystarczyło jednak, by Sam otworzył okiennice, które chroniły dom przed sztormami i huraganami, by pomieszczenie wypełniło się delikatnym szarawym światłem, takim samym, jakie widzi się tylko o świcie, perlistym, delikatnym, czystym, jasnym. Czuła się jak na dziobie okrętu na pełnym morzu.

– Nic dziwnego, że tak kochasz ten dom – stwierdziła. – Zapiera dech w piersiach.

– Więc chodź na dwór i odetchnij pełną piersią – zażartował.

Po chwili stali na werandzie, wdychali zimne ostre powietrze, wsłuchani w wiatr i szum oceanu.

– Tu niedaleko jest ujście rzeki, rozległe bagna i spokojne rozlewiska – tłumaczył. – W trzcinie gniazdują kaczki, mangrowce rozpaczliwie czepiają się gruntu, hiszpański mech oplata wszystko jak pajęczyna na Halloween. W lecie wszystko się zmienia, słońce jest wszędzie, na horyzoncie mkną białe łódki, a światło jest zupełnie inne, złoto-błękitne. – Na pewno jest tu wilgotno – mruknęła.

Pomyślała o swoich włosach, a Sam się roześmiał. Coraz lepiej, pomyślała. Przynajmniej się śmieje, chociaż spędził kilka godzin na posterunku, wypytywany o zaginięcie żony. Nadal jednak nie wiedziała, co się tam dokładnie wydarzyło. Powie jej, kiedy zechce.

Sam rozpałił ogień w kominku, a ona podgrzała gumbo i pokroiła pieczywo. Wyjął butelkę wina i dwa kieliszki.

– Czerwone karolińskie? – zapytała i podejrzliwie uniosła kieliszek do ust.

– Co? – zapytał, unosząc brew.

– Cóż, to nie bordeaux – mruknęła, ale zaraz się roześmiała. – Ale jest niezłe, zwłaszcza w zimowe popołudnie po męczącej podróży.

– I przesłuchaniu – dodał i usiadł koło niej w białej kuchni. Upiła łyk wina i czekała. Czy powie coś więcej?

– Znaleźli kurtkę Leilani, morze wyrzuciło ją na brzeg, niedaleko stąd. Ciepłą zimową kurtkę. „Przecież pana żona zaginęła w lecie” – zauważył detektyw. – „Jak pan myśli, dlaczego włożyła taką kurtkę?” Odparłem, że nie wiem, że mnie też to dziwi. „Może dlatego, że taki gruby materiał chłonie wodę i łatwiej się utopić”, odparł policjant.

Preshy nerwowo wciągnęła powietrze.

– Powiedziałem, że to możliwe. – Sam zdjął okulary i znużonym gestem potarł oczy. – I wtedy pokazali mi, co znaleźli w kieszeni kurtki. – Wyciągnął rękę i spojrzał Preshy w oczy. – Obrączkę Leilani. Identyczną jak moja.

Opiekuńczo przykryła jego dłoń swoją. Na jej oczach Sam rozpadał się na kawałki.

– Pewnie ją zdjęła, zanim... – Urwała. Nie chciała tego mówić. Sam wstał.

– Idę na spacer. – Szukał kurtki w szafie. – Wrócę niedługo – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Zmartwiona Preshy zadzwoniła do Darii.

– Jestem z Samem – zaczęła.

– Wiem, Sylvie mi wszystko powiedziała. – Daria była zdenerwowana. – Więc jak, Presh? Czy to miłość?

– Nadal się denerwuję na sam dźwięk tego słowa. Ale nigdy nie czułam nic podobnego, nie byłam taka... przejęta, zatroskana, kiedy chodziło o mężczyznę. Czy to może być miłość?

– Może. I co teraz?

– Muszę mu pomóc. Och, Dario, w życiu nie widziałam człowieka równie zrozpaczonego, a teraz policja nie da mu spokoju, bo znaleźli kurtkę jego żony. Obrączka ślubna była w kieszeni. Myślę, że ją zabił, a ja nie wiem, co robić.

– Wracaj do domu, skarbie – poradziła Daria. – Dojdź do ładu ze swoimi uczuciami, a Sam niech sam rozwiązuje swoje problemy.

Ale Preshy nie mogła tego zrobić. Wiedziała, co czuje.

– Zostanę z nim do końca – powiedziała. Tak jak on został przy niej. I wiedziała, że zrobiłby to jeszcze raz. Był jej zbawcą, bohaterem.

Chciała, żeby był też jej kochankiem. Ale do tego może nigdy nie dojdzie.

Rozdział 75

Sam szedł po ubitym piachu tuż przy linii wody, a fale obmywały mu stopy, spod których uciekały kraby. Był sam, towarzyszył mu tylko huk oceanu i żalosne zawodzenie mew, a także posępny szelest bezlistnych gałęzi. I ryk wiatru. Otaczała go prymitywna dzikość. Siła oceanu.

Postawił kołnierz kurtki i szedł dalej. Leilani odeszła. Nigdy już jej nie zobaczy i nigdy nie zapomni. Nieważne, co się wydarzy, musi stąd odejść. Bez niej nie będzie tu jak dawniej.

Twarz wróżbity z szanghajskiej świątyni stanęła mu przed oczami. Wyraźna jak na fotografii.

– Szukam dwóch osób – powiedział wtedy. – Chciałbym się dowiedzieć, czy je odnajdę.

W uszach na nowo rozbrzmiały słowa jasnowidza:

– Pierwsza osoba, której szukasz, to kobieta. A odpowiedź kryje się w twojej duszy.

Sam miał wówczas na myśli Leilani. I wiedział, że wróżbita miał rację. Teraz zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, w którym momencie ją zawiódł.

Wsunął ręce w kieszenie i przestał myśleć, aż stał się jednością z żywiołami, zdał się na wiatr, towarzyszący mu huk oceanu. Jego dłoń poczuła coś w kieszeni. Skrawek papieru.

Pewnie stary kupon ze sklepu, pomyślał, wyjął go i zgniótł, żeby wyrzucić. I wtedy zobaczył, że to zielony arkusik, taki, jakich zawsze używała Leilani. Lubiła zieleń, twierdziła, że ten kolor ją uspokaja. Zobaczył jej pismo. A na górze było jego imię.

„ Najdroższy Samie, Patrzą na naszego kochanego psa, który leży tu koło mnie na werandzie. Staram się nie patrzeć na ocean, na którym teraz jesteś, który znasz tak dobrze, że właściwie mógłby być Twoją własnością. Twój pies jest już stary. Ma zamglony wzrok i płytki oddech. Zostało mu niewiele życia i nawet nie wiesz, jak mu zazdroszczę.

Nigdy nie pokocham ani tak, jak kocha nasz pies, jak kochasz ty, tak bezpośrednio, otwarcie, prosto. Tak łatwo. Czekałam, aż serce wskaże mi drogę, ale moje serce to martwy kamień, ołowiana bryła, która mi ciąży. Czekałam, aż obudzi się we mnie uczucie, aż wypełni mnie szczęściem, tak jak ciebie dzisiaj, gdy gwizdałeś pod nosem, szykując łódkę na nocną wyprawę. Dlaczego ja tak nie potrafię?

Przez całe życie próbowałam i nigdy nic z tego nie wyszło. Czasami udawało mi się zapomnieć, zatracić w obrazach, i to jedyna namiastka szczęścia, jakiego zaznałam. Ale najczęściej tylko błądziłam. I wiem już, że nigdy nie odnajdę właściwej drogi.

Nie jestem panią samej siebie. Inie jestem panią Ciebie, Sam. Nie jestem nawet panią naszego psa. Nie wytrzymam tego dłużej. Sam, pragnę jednego – stać się nicością. I dzisiaj wreszcie to się stanie. Za kilka minut pójdę na spacer na cypel, ten, który jest widoczny tylko podczas odpływu. Usiądę tam i poczekam, aż ocean po mnie przyjdzie. Ty jeden wiesz, jak bardzo boję się oceanu. Mówią, że samobójstwo to tchórzostwo, ale ja jestem bardzo dzielna, prawda?

I wtedy, Najdroższy, wreszcie będę wolna. Oboje będziemy.

Myślę o tym, jacy szczęśliwi byliśmy podczas podróży poślubnej w Paryżu. Bo byliśmy, prawda? Kiedyś pamiętałam to uczucie, ale teraz otacza mnie tylko ciemność.

Nie oplakuj mnie ani naszego kochanego psa, który, czuję to, wkrótce pójdzie moim śladem.

Żyj dalej, Sam. Bądź szczęśliwy, wiem, że potrafisz. Kochaj. I uwierz mi, że gdybym umiała, pokochałabym właśnie Ciebie.

Leilani Knight”

Sam starannie złożył liścik. Wsunął do kieszeni, gdzie umieściła go Leilani, przekonana, że znajdzie go zaraz po powrocie, bo zawsze wkładał tę kurtkę, idąc z psem na spacer. Zależało jej, by go znalazł i przeczytał, tylko on.

Z dłońmi w kieszeniach spacerował po plaży, aż wiatr osuszył jego łzy. Gdy doszedł do cypla, o którym pisała, zatrzymał się i patrzył na łachę piachu, odkrytą podczas odpływu.

Nadciągał przyływ. Patrzył, jak pierwsza fala zalewa piasek i się cofa.

Znowu poczuł łzy w oczach.

– Kochałem cię, Leilani! – zawołał przez wiatr. – Nigdy cię nie zapomnę.

Rozdział 76

Ledwie wszedł do domu, Preshy od razu wyczytała z jego miny, że coś się stało. Obserwowała niespokojnie, jak zdjął kurtkę i cisnął ją na krzesło. Wyjął z kieszeni zielony arkusik i wyciągnął w jej stronę.

– Napisała to do mnie – powiedział cicho. – Ale uważam, że zasługujesz na wyjaśnienie.

Wzięła liścik, nie odrywając oczu od jego znużonej twarzy. Miał martwy wzrok i nagle zrozumiała dlaczego.

– Od Leilani? – zapytała. Skinął głową.

– Zostawiła go w kieszeni kurtki, przekonana, że od razu go znajdzie. Ukrył się w załamaniu kieszeni i jakimś cudem policjanci go nie znaleźli. – Podeszedł do kominka i dorzucił drwa do ognia.

– Przeczytaj, proszę.

Preshy podeszła do okna i zaczęła czytać. Skończyła i stała w milczeniu przez dłuższą chwilę. Usiłowała dojść do ładu ze swoimi uczuciami.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – zapytała w końcu. – Miała wszystko. Sam usiadł.

– Depresja maniakalna to poważna choroba. Mówiła, że zażywa lekarstwa. .. ale kłamała. – Wzruszył ramionami.

Preshy uklękła koło niego i zajrzała mu w oczy.

– Teraz już znasz odpowiedź. Policjanci dadzą ci spokój, kiedy to przeczytają.

– Ale nie przeczytają.

– Jak to? Musisz im pokazać ten list.

– Nie! – Sam zareagował bardzo gwałtownie. – Nie pozwolę im czytać ostatnich słów Leilani. Pisała je do mnie.

Pochyliła się, oparła czoło o jego kolano.

– To jedyne wyjście – szepnęła miękko. – Musisz. Odepchnął ją, wstał, nerwowo przechadzał się po pokoju.

– Nie mówiłem o chorobie Leilani i nie zrobię tego teraz.

– Musisz – upierała się – to poważna sprawa, Sam. Widziałeś, jak poważna, kiedy cię przesłuchiwali. Jeśli im nie pokażesz listu, aresztują cię za morderstwo. A Leilani tego nie chciała, przecież wiesz.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu westchnął i przyznał jej rację.

Preshy poszła do kuchni po dwa kieliszki karolińskiego wina i wróciła do salonu.

– Wznieśmy toast – zaproponowała. Wiedział, co chciała powiedzieć, i ją uprzedził:

– Za Leilani, moją żonę. Cudowną istotę w moim życiu. Wypili.

Rozdział 77

Sam zadzwonił po policję. Pokazał im list Leilani, porównali go z innymi próbkami jej pisma, oddali mu czerwoną kurtkę i obrączkę, złożyli mu kondolencje i zamknęli sprawę. Wszystko skończyło się tak szybko, jakby nigdy się nie zaczęło.

Preshy została w domu nad morzem. Było im razem dobrze, okazywali sobie przyjaźń, przekomarzali się jak zawsze, ale bez dawnej złości. Chodzili na długie spacer, razem gotowali, pili wino przy kominku i gadali do nocy. Opowiadała mu o swoim życiu i słuchała jego opowieści. Czuli się, jakby znali się od lat, choć połączyły ich nieszczęścia.

Minęły dni, potem tydzień... i kolejny. Ale Preshy wiedziała, że nie może tu zostać, w emocjonalnej próżni, przyjaciółka, ale nie ukochana. Musi wracać do Paryża.

Aż pewnego popołudnia Sam złapał ją za rękę i powiedział;

– Chodźmy na spacer, zobaczymy zachód słońca.

Wiatr chwilowo ucichł i otaczała ich cisza. Nawet ocean tylko mrucał, a nie ryczał gniewnie jak zazwyczaj. Mewy śmigały nad falami, powietrze przesycił zapach soli i sosen. Sam trzymał ją za rękę, gdy pokonywali wydmy w drodze do zacisznego zakątka. Tam ją puścił i położył się na ziemi. Splótł ręce za głową.

– Chodź do mnie – zaproponował, patrząc na nią.

Posłuchała, położyła się obok niego, wpatrzona w złociste niebo, zabarwione na różowo zachodzącym słońcem. Ale znikło za szybko, podobnie jak jej czas z Samem. Musi wracać.

– Rafferty? Spojrzała na niego.

– Tak?

– Dobra z ciebie przyjaciółka. Skinęła głową.

– Fajnie. – Ale...

Czekała, ale Sam milczał.

– Ale co?

– Boję się to powiedzieć... żeby wszystkiego nie zepsuć. Usiadła, wpatrzona w niego.

– Powiedzieć... co?

– Chyba się w tobie zakochałem, Rafferty.

– Och... – rozpromieniła się. – A ja w tobie.

– Jak myślisz, to coś poważnego? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się. – I nic mnie to nie obchodzi. On także się uśmiechał.

– Mnie też nie. Chciałem się tylko zabezpieczyć, zostawić sobie furtkę na wypadek, gdybyś... Bo widzisz, ja wiem, że cię kocham. Jesteś jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa. Nie zostawiaj mnie, Rafferty, drugiej takiej nigdzie nie znaję.

– Och – mruknęła znowu, ale tym razem ich usta dzieliły zaledwie centymetry. A potem on ją objął i pocałował, a ona odwzajemniła pieszczotę. Zimny piach wpadł jej za sweter, ale jego ciepłe dłonie ją ogrzewały. Nie przejmowała się nawet piaskiem we włosach. Bo najważniejszy był ten nieśmiały początek miłości.

Po raz pierwszy kochali się tam, pod gwiazdzistym niebem, przy akompaniamencie szumu fal i szeptów wiatru, pieszczeni morską bryzą. Dobry początek, pomyślała Preshy.

Później tego wieczoru siedzieli na werandzie z kieliszkami wina w dłoniach, wpatrzni w szare fale, wsłuchani w szum wiatru.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała niespokojnie.

– Tak? – Spojrzał na nią z uśmiechem. Speszyła się.

– Podejrzywałam, że masz coś wspólnego ze śmiercią Lily. Myślałam nawet, że znasz Bennetta, że jesteś w to zamieszany. Oczywiście wtedy jeszcze nie znałam cię naprawdę – dodała pośpiesznie, a Sam się roześmiał.

– Więcej tego nie rób – mruknął.

– Nie będę – obiecała.

– I to wszystko?

– Co ci chciałam wyznać? Tak.

– Dobra, wybaczam ci w zaistniałych okolicznościach... – oznajmił i znów się roześmiał. – Daj spokój, Rafferty, nic się nie stało. Miałaś prawo się zastanawiać, co knuję. Ale teraz już koniec.

– Owszem. – Poczła ulgę. Przeszłość jest już zamknięta, czas iść dalej.

– Co teraz? – zapytała. Zamyślił się.

– Sprzedam ten dom. Będę żył dalej, może kupię nową łódź i nowego psa... zacznę znowu pisać.

– Brzmi nieźle – mruknęła. Spojrzał na nią.

– A ty?

– Och. – Wzruszyła ramionami. – Wrócę do domu. Do Paryża.

– Najpiękniejszego miasta na świecie. – Patrzyli sobie w oczy. Wziął ją za rękę. – Nie zostawiaj mnie, Rafferty – poprosił cicho.

– Dlaczego nie?

– Bo cię kocham. Była w siódmym niebie.

– Dziwacznie to okazujesz – stwierdziła z błyskiem w oku. – Dlaczego mnie nie pocałujesz?

Zrobił to. I nie tylko to, i tak minął kolejny tydzień, zanim wreszcie wyruszyli do domu, do Paryża, po nowe życie. Razem.

Rozdział 78

Paryż

Preshy nie było do dawna i Miau bardzo się nudziła. Siedziała dokładnie na środku łóżka Preshy, ze starannie złożonymi łapkami, z poważną miną na wąskim pyszczku, jakby nad czymś intensywnie myślała. Po pewnym czasie wstała, przeciągnęła się, wyprostowała po kolei czekoladowe łapki. A potem poszukała sobie zajęcia.

Najpierw poszła do kuchni, gdzie starannie obwąchała jedzenie, które rano przyniosła konsjerżka, ale nic jej nie zainteresowało. Skoczyła na kuchenny blat i obiegła całe pomieszczenie, zwinnie omijając przeszkody, aż natknęła się na kartonowy pojemnik z jajkami. Konsjerżka kupiła je, podobnie jak pieczywo, na przyjazd Preshy.

Miau była ciekawa. Szybko otworzyła pudełko. W środku czekało sześć brązowych jajek, którymi można się było bawić jak piłkami. Zwinnie wyłuskała pierwsze, potoczyła po blacie. Wychyliła łeppek znad krawędzi i patrzyła, jak z miłym trzaskiem ląduje na podłodze. Z zainteresowaniem obserwowała, jak z piłeczki robi się żółta plama. Zawróciła po kolejne jajko, wyjęła je z pudełka, potoczyła po blacie, patrzyła, jak się rozbija... Powtórzyła to jeszcze czterokrotnie, aż opakowanie było puste, a jajka leżały na podłodze. Potem poszukała sobie innego zajęcia.

Z zadartym ogonem, jak wszystkie syjamy – poszła do jadalni, troszkę już zmęczona. Kusiła ją ładna szklana misa na środku stołu, akurat odpowiedniej wielkości, by się w niej zwinąć w kłębek. Oparła łapki na brzegu, wymierzyła i skoczyła. Misa zachwiała się pod jej ciężarem, przewróciła i pękła. Miau przyglądała się jej znużona, ostrożnie ominęła odłamki, zeskoczyła na ziemię i poszła zobaczyć, co da się zrobić w salonie.

Stała w oknie, obserwując ruch uliczny i ludzi. Znużona, od niechcienia walnęła łapka w szybę, usiłując się wydostać. Niemożliwe.

Nagle poczuła przypływ energii, odwróciła się i skuliła, przycisnęła do ataku. Rzuciła się przez pokój, przeskoczyła nad kanapą, wspięła się po fotelu, wpadła do sypialni, przeskoczyła łóżko idealnym łukiem, odwróciła się, wskoczyła na pościel, zwinęła narzutę, zerwała się, kolejny sus i lot nad kanapą na półki, aż pospadały zdjęcia i pamiątki.

Siedziała na półce, z grzecznie złączonymi łapkami, bardzo z siebie zadowolona. Oparła łeppek o posążek wojownika z dynastii Xi'an, otarła się o niego. Mocniej. Figurka zachwiała się i przewróciła. Leżała na brzegu, a potem zaczęła się zsuwać. Zaciekawiona Miau wychyliła się znad krawędzi, by dokładnie wszystko widzieć. Figurka spadła i rozprysła się na sto kawałków. Dziwne. Podobnie jak jajka, które na początku są miłymi piłeczkami, a potem zmieniają się w żółtą masę, figurka też nie była tym, na co wyglądała.

Ponownie znużona, Miau wróciła na swoje miejsce w oknie, zwinęła się w kłębek i czekała na powrót Preshy.

Rozdział 79

W drodze do Paryża

Sam przespał większość drogi do domu. To sen spokojnego człowieka, myślała Preschy. Obserwowała go z czułością. Była gotowa się założyć, że tak spokojnie nie spał od lat. Ale teraz zaczynał, zaczynali razem nowe życie. Koszmary były już za nimi – rozpacz po utracie Leilani i podejrzenia władz, koszmar związku z Bennettem. Ich życie bardzo się zmieni.

Po głowie chodziło jej słowo „szczęście”. Czy wreszcie będzie szczęśliwa? A Sam? Miała nadzieję, że tak.

Pod nimi pojawił się Paryż, ciągle ośnieżony, ciągle najpiękniejszy.

Pilot oznajmił, że zaraz wylądują, i Preschy delikatnie trąciła Sama w bok.

– Prawie w domu – szepnęła, gdy zaspany przecierał oczy. – Wiesz co? – Uśmiechnęła się. – Dziś usmażę ci najlepszy omlet, jaki jadłeś.

– Brzmi nieźle – odpowiedział z uśmiechem.

– Nie majak w domu – stwierdził jakiś czas później, gdy otwierała drzwi.

Na dworze było zimno i mokro, ale w mieszkaniu przyjemnie syczały kaloryfery, a kot powitał ich radosnym piskiem i skoczył na nich z ciemności.

– Miau, kochanie. – Preschy ścisnęła zwierzaka i łokciem szukała włącznika światła. Po chwili zapłonęły lampy i przybysze ujrzeli obraz zniszczenia.

– Chyba była tu niezła impreza – stwierdził Sam.

– Och, Miau, co ty narobiłaś? – Preschy z przerażeniem patrzyła na strzaskaną szklaną misę, pozrzućane zdjęcia i bibeloty. W sypialni koc na łóżku był skotłowany, a w kuchni – porozbijane jajka na podłodze.

– To tyle, jeśli chodzi o omlet – mruknął Sam z kuchni. Ale Preschy oglądała szkody w salonie.

– Chodź tu! – zawołała Sama.

Naszyjnik połyskiwał wśród czerwonego jedwabiu, którym go owinięto.

– Naszyjnik babki – powiedziała zdumiona. – Lily ukryła go w posążku i wysłała do mnie. Zobacz tylko. Wspaniały.

Podniosła go i z wahaniem dotknęła wielkiej perły. Była zimna. Nagle przypomniała sobie, skąd pochodzi, i szybko odłożyła klejnot na stół. Przyglądali mu się z odległości.

– Przez niego Bennett zabił Lily – mruknął Sam. – Pewnie jest wart majątek. Żonę też zabił dla pieniędzy, a gdy ich nie dostał, szukał innego źródła dochodu. Niestety, padło na ciebie, Rafferty. A kiedy to mu się nie udało, uczepił się naszyjnika, ale Lily stanęła mu na drodze. Kiedy nie chciała mu go oddać, zabił ją. I nadal nie miał naszyjnika. A ślad, poprzez Mary-Lou Chen, prowadził do ciebie.

– I co teraz? – Patrzyła na złowrogą perłę lśniąca księżycowym blaskiem.

Sam założył jej naszyjnik.

– Wspaniały – powtórzył. Preschy się wzdrygnęła.

– Nie należy do mnie. Ukradziono go martwej cesarzowej. To część historii. Niech wraca tam,

gdzie jego miejsce, do Chin. Podaruję go im. Może umieszczą go w muzeum.

Skinął głową.

– Zadzwoń do ambasady. Na pewno się ucieszą. Wzięła kota na rękę.

– Gdyby nie ty, łobuzie, nigdy byśmy go nie znaleźli – stwierdziła, całując czekoladowe uszka.

Miau wbijała pazurki w jej ramiona i triumfalnie spojrzała na Sama. Mógłby przysiąc, że kot się z niego śmieje. Poszedł do kuchni, posprzątał rozbite jajka. Dzisiaj nie będzie omletu.

Preshy weszła za nim. Spojrzał na nią. Uśmiech rozpromienił jego twarz.

– Odłóż tego kota i chodź tu, Rafferty – polecił i otworzył ramiona. Miau obserwowała ze swego miejsca na blacie, jak Preshy do niego podchodzi, a potem ich usta łączą się w pocałunku.

W najbliższej przyszłości życie chyba trochę się zmieni.